

PIOTR GRANAT

„Zdechła mucha”

*Każdy z nas ma te chwile,
gdy myśl dudni w uszach,
a jedyne, co poza nią,
to brak odpowiedzi.*

ROZDZIAŁ 1

Szum wody go uspokajał. Wiedział, że tak będzie. Wiedział, że gdy tu przyjdzie, wszystkie jego zmartwienia rozplyną się wraz z nim w rwącej rzece, która od tysięcy lat płynie przez jego rodzinne miasto, dzieląc je na dwie równe części. Lekki wiatr, charakterystyczny dla otwartej przestrzeni, przyjemnie muskał mu twarz. Jego szpakowate włosy, teraz nieco przetłuszczone i posklejane, falowały wraz z kolejnymi podmuchami, w tej niemej współpracy siły przyrody i jego ciała. Zamknął oczy i trawił całe swoje przeszłe życie, które przed momentem zostało określone brunatną linią krawędzi mostu.

Stopy do połowy dociskały świat doczesny, jednakże druga połowa, wraz z palcami, była absolutnie wolna i gotowa na ostatni rozdział jego trzydziestosiedmioletniej tułaczki. Gdy o tym pomyślał, ciarki spłynęły po jego plecach. Ciepłe ciarki radości i oczekiwania oraz zimne – wspomnień i związanych z nimi goryczy. Jeszcze przed chwilą adrenalina kotłowała mu miliony myśli, rozliczeń i analiz co do kolejnego kroku. Teraz jednak, po przekroczeniu barierki mostu, był w stu procentach pewien, że podjął najlepszą decyzję w swoim życiu. Najlepszą i najprawdopodobniej jedyną, bo jak daleko sięgał pamięcią, jego żywot składał się z pasm porażek przeplatających się z sukcesami innych ludzi, które niejednokrotnie odnieśli jego kosztem.

Nie był gamoniem czy niezdarą. Nie był popychadłem, na ramiona którego można zrzucić niepotrzebne bagaże problemów, ani nie był ciamajdą, która ma dwie lewe ręce. Odkąd stał się świadomy własnego ego, poznał też zasady działania tego świata i zgodnie z samym sobą stwierdził, że nie ma zamiaru w nim uczestniczyć. Z początku było to tylko nieśmiałe wycofanie się za kurtynę najważniejszych spraw. Później natomiast, ze względu na wir wydarzeń w jakich się znalazł, dotarło do niego, że jedyną możliwością jest podjęcie radykalniejszych działań.

I tak oto stał na skraju rozwiązania umowy ze światem.

Jego blade, poplamione krwią dłonie ścisnęły barierkę mostu. Nie rozglądał się i patrzył z determinacją w swoje przeznaczenie. Oderwał chwyt i stanął z rozpartymi ramionami, jak ukrzyżowany. Sekundę później strach dał o sobie znać i złapał się z powrotem.

Zaszlochał.

Wystarczyło się lekko odepchnąć i oddać się w nieładzi rwącej rzeki. Granatowa koszula wzburzyła się od wiatru i urwała guzik, który z namaszczeniem przyszywał kilka dni wcześniej, siedząc na taborecie w kuchni. I chociaż była nierówno włożona w spodnie,

poplamiona i nieco przepecona, uznał, że mógłby bez problemu udać się na spotkanie z szefostwem swojej firmy, gdyby nie wydarzenia poprzedniego dnia i nocy. Te dwie zepsute, fałszywe i próżne szuje nazywające się pieśczośliwie zarząd spółki „L&J” – specjalizującej się we wciskaniu ludziom kitu – spotkała właściwa w jego mniemaniu kara.

– Wszystko w porządku? – usłyszał głos przekrzykujący szum wody i wiatru.

Nie reagował, trwając w zamyśleniu.

Brak sił psychicznych popychał go w ostateczność. Spodziewał się, że póki jest w miarę młody i silny, to wszelkie przeciwności da się jakoś ominąć. Przez lata karmił się nadzieją, że być może już jutro wszędzie słońce w jego życiu. Zakończą się mroczne wieki i ostatecznie jego duszę wypełni radość. Radość tak ogromna, która potęgowała się na jego duchowym koncie i rosła w odsetki, a on mógłby całość ostatecznie wypłacić. Wraz ze zwrotem za wszystkie krzywdy i niesprawiedliwości. Odszkodowanie od świata.

Bo przecież tak się dzieje w bajkach, prawda?

Naiwność.

Zbyt głęboko czuł, zbyt wiele postrzegał i zbyt dużo rozumiał, by istnieć bez przeszkód na tym świecie. Brnął jak w bagnie we wszystkim co go spotkało ze względu na swoją skrywaną emocjonalność, a wszystko to sprawiało, że stopniowo wyparowywały mu wszystkie siły i radości. Teraz był wrakiem, który ostatecznie osiadł na dnie, by móc tam spocząć na wieki. Słabe ogniwo ewolucji, które dawno temu powinno już wyrzucić w epoce romantyzmu. Dzisiejszy świat podcierał się takimi jak on. Żuł. Wypluwał. Deptał.

Pierwsza żona zostawiła go po sześciu latach małżeństwa twierdząc, że miłość dawno się wypaliła. Pozwoliła mu zatrzymać wszystko, oprócz jednego szczęścia jakie go w życiu spotkało – sześciolatniej córki Alice. Zapewniając, że tak będzie dla wszystkich lepiej, zniknęła w ciągu paru dni z jego życia, znajdując azyl w apartamencie bogatego inwestora. W jego portfelu, łóżku i samochodzie. Kobiety takie jak ona cały czas wybierają pomiędzy dwojgiem kandydatów, nawet będąc w związku.

Druga żona, która tak naprawdę nigdy ostatecznie nią nie została, obrzuciła go obelgami wraz z pierścionkiem zaręczynowym, gdy zwolnili go z pracy przez cięcia budżetowe. Nie taką wizję siebie w przyszłości miała, nie takie życie sobie narysowała. Nazwała go nieudacznikiem, kretynem i beznadziejnym kochankiem.

Córka, obecnie dziewięcioletnia dziewczynka, przestała przykładać uwagę do spotkań z ojcem, jako że przydzielono jej nowego tatusia. Bogatszego, weselszego, cwańskiego. Opuścił, by nie ranić siebie widokiem jej pięknych złotych włosów i by nie ranić jej, łzami nieudacznika, kretyna i beznadziejnego kochanka. Jedyne garstka zdjęć, które przechowywał na dnie serca i komputera pozwoliły mu na chwilę wzlatywać w górę, by chwilę później z bólem serca osiągnąć z powrotem dno. Przez kilka miesięcy dostawał nawet pocztą rysunki – koślawe, pogniecione, ale jakże piękne. Adres nadawcy wskazywał na bogaty apartamentowiec.

Przeklinał każdy dzień swojego bytu, który rozpruwał mu serce z powodu osamotnienia, żalu i rozpacz. Żadne prochy nie pomagały, żaden uśmiech nie trwał dłużej niż ułamek sekundy. Wspomnienia, które tak w sobie celebrował – te piękne i dostatnie – pożerały go od środka, jak groźny narkotyk. Dawały chwilowy zastrzyk piękna, które rozmazywało się po otwarciu oczu.

Brak bliskości, brak bratniej duszy, brak emocjonalnego oparcia był nie do zniesienia. Co dzień kładł się do łóżka w pozycji embrionalnej, tuląc się do poduszki, od czasu do czasu pochlipując. Zasnęło szybko, jak dziecko zmęczone płaczem. Skowyt połamanego serca odbijał się we wszystkich zakamarkach jego ciała i ostatecznie powodował wyłączenie świadomości oraz zapadnięcie w sen. Były to jedyne chwile, gdy nie cierpiał, gdy wspaniałe koloryty przybliżały mu rzeczy utracone, miały go pięknem.

Długo myślał nad sposobem odebrania sobie życia. Chciał mieć pewność, że pozbędzie się siebie raz na zawsze. W ostatecznym rozrachunku padło na skok z dużej wysokości. Na romantyczny lot wprost w taflę wzburzonej rzeki.

Uśmiechnął się delikatnie, jakby z ulgą. Wypiął dumnie pierś, pewien siebie i świadom własnej poczytalności, którą mu stopniowo odbierano od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Był gotów.

Puścił stalową konstrukcję.

Mocny podmuch uderzył go mocno w twarz tak, że stracił na chwilę oddech. Uznał, że wraz z kolejną falą wiatru, delikatnie przechylił w stronę płynącej kilkanaście metrów niżej rzeki. Resztę za niego załatwi fizyka.

Rozmyślał o samobójstwie od kilku lat, z roku na rok upewniając się co do podjęcia tej ostatecznej decyzji. Każda kolejna życiowa porażka była zarazem krokiem w kierunku tego mostu, ale to ostatnia noc sprawiła, że teraz stopy chciały delikatnie przechylić ciało do przodu.

Celebracja.

– Proszę tego nie robić! – usłyszał głos rwany wiatrem.

Wystraszony napał na barierkę, zdzierając chwytem kilka płatków rdzy.

– Odsuń się! To przemyślana i świadoma decyzja. To moje życie i mam prawo decydować – odkrzyknął.

– Z pewnością nie jest aż tak źle, by od razu kończyć z sobą. Proszę dać ze sobą porozmawiać – prosił głos.

– Nie ma o czym rozmawiać! Zostaw mnie. Błagam, odejdz.

– Zraniona miłość? Długi? Śmierć bliskiej osoby?

– Odejdz, bo skoczę. Zresztą, i tak skoczę. Tylko to przyśpieszysz i będziesz miała mnie na sumieniu. Daj spokój, nie potrzebujesz tego. Uznajmy, że zrobiłaś co mogłaś – odpowiadał z coraz większym poirytowaniem.

– Proszę pana, jestem pewna, że można coś poradzić. Że może się coś pięknego jeszcze stać, wystarczy poczekać, uzbroić się w cierpliwość.

– Nie! Czekałem już wystarczająco długo. Dasz mi w końcu spokój? Chcę ułożyć swoje myśli po raz ostatni.

– Czy to oznacza przemyślenie decyzji? – zapytał po chwili głos.

– Nie, chcę tylko do końca podsumować swoje życie. Nekrolog już dawno sobie wystawiłem. Mówiłem już, to świadoma i pewna decyzja.

– Jak masz na imię?

– Powiedziałem odejdz!

Po chwili refleksji uznał, że wcale nie musi podsumowywać swojego życia. Nie musi przejrzeć migawek z trzydziestu siedmiu lat, nie musi tworzyć chronologii swoich wyborów, ani myśleć, co by zrobił inaczej. Musi za to spojrzeć oczami wyobraźni w piękne szmaragdowe oczy swojej ślicznej córeczki Alice.

Śmiejącej się z dartej kartki papieru. Uczącej się siadać na nocniku. Przewracającej się o piłkę i podgryzającej wszystko, co jej wpadło w ręce. Wraz z nią przewijać kolejne miesiące, spoglądać jak znika w drzwiach przedszkola, niosąc worek w kapciami na zmianę. Jak śpiewa pierwsze wyuczone piosenki i recytuje wierszyki. Podziwiać jej pierwsze dumne przedstawienie, gdy zestresowana stała w rzędzie dzieci, w koślawym stroju uszytym przez kobietę, którą niegdyś poślubił. Zatrzymać ten czas jak najdłużej, rzeczywistość zmieść pod dywan i w tej jednej chwili trwać.

Trwać. Stale.

Trwać. Całą wieczność.

Trwać. Aż do końca życia.

Zamknął oczy i ponownie oderwał dłonie od barierki. Wszelkie zmysły były już dawno wyłączone. Pozostała jedynie piękna wizja wykreowana w jego wyobraźni. Kąciki jego ust uniosły się mimowolnie.

Poczuł szarpnięcie. Mocny uścisk na ramieniu powstrzymał jego swobodne przechylenie. Zepsuł cały plan. Zniszczył wszystko.

– Nie możesz! – krzyknęła kobieta, do której należał uścisk. – Nie pozwolę ci.

– Puszczaj – powiedział płaczącym tonem, jako że jak zwykle coś nie szło po jego myśli.

– Porozmawiajmy.

– Nie.

– Opowiedz mi co się stało.

– Nie.

– Puszczę cię, ale obiecaj...

– Nie.

– ...że się przytrzymasz.

– Nie.

– I nic nie zrobisz zanim nie opowiesz mi wszystkiego.

– Nie.

– Proszę.

Odwrócił głowę i ich spojrzenia się zbiegły. Kobieta patrzyła na niego przeskłoniami, współczującymi oczami, które dla Roberta wydawały się być nieskazitelnie piękne. Ich błękit był jakby nie z tej ziemi. Jaskrawy i nasycony, w przeciwieństwie do szarości panującej dookoła. Jej gładką cerę pokrywały nieliczne zmarszczki w okolicach oczu i kącików ust. Mogła mieć co najwyżej trzydzieści pięć lat i starzała się nad wyraz pięknie.

Robert poczuł lekkie zamroczenie z powodu nieoczekiwanej sytuacji. Przesyt adrenaliny i stresu w jego ciele sprawił, że niemal mdłał. Przed jego oczami pojawiły się czarne plamki, a obraz stopniowo tracił na ostrości. Piękno oczu kobiety hipnotyzowało tak bardzo, że przez kilka długich sekund patrzył w nie z przerażeniem i zainteresowaniem.

Lekkie oszołomienie spowodowało, że kątem oka dostrzegał śnieżnobiałe skrzydła pokryte piórami, które wyrastały kobiecie z pleców. Gdy uświadomił sobie, że to absolutnie niemożliwe, drgnął i powróciło mu trzeźwe myślenie. Po skrzydłach nie było ani śladu.

Jego dłonie mimowolnie chwyciły z powrotem barierkę i uścisk na ramieniu automatycznie zelżał. Kobieta powoli cofnęła rękę, nie spuszczając go z oczu. Robert zdał sobie sprawę, że jak na tak drobną istotę, która mogła mieć co najwyżej 165 centymetrów wzrostu i 55 kilo wagi, w jej uścisku drzemała potężna siła, która powstrzymała jego ciało przed śmiercią.

– Umowa stoi? – zapytała delikatnie.

– Dobrze, opowiem.

Robert cofnął nieco stopy i spoczął całym ciężarem ciała na krawędzi mostu. Oparł się o barierkę i wziął głęboki oddech, by móc zacząć swą opowieść.

ROZDZIAŁ 2

– Urodziłem się w biednej i wielodzietnej rodzinie. Często jedno z drugim idzie w parze, bo wiesz, im więcej dzieci, tym więcej obowiązków na rodzicach i mniej czasu na pracę. No i oczywiście mniej pieniędzy na utrzymanie każdego z nas. Gdyby była nas dwójka, to jeszcze. Ale miałem czworo braci i dwie siostry. Ja byłem siódmy w rodzinie i ostatni. Nie jest dobrze, gdy jesteś najmłodszy, a każdy ze starszych walczy o teren i chce pokazać, że on rządzi.

Byłem więc popychadłem. Bracia mnie gnoili od małego, chociaż nie mogę powiedzieć, że nie stawali też w mojej obronie. Ale chronili mnie tylko przed obcymi. Kiedyś, pamiętam, jakiś starszy trzy lata dzieciak z podstawówki natarł mnie śniegiem, aż krew poleciała mi z nosa. Nie pamiętam czym mu zawiniłem, ale zapewne nie było to nic szczególnego. Starszy o trzy lata brat, Adam, widział to z okna w swojej klasie. Wiesz, mała wieś, jedna szkoła. Wszyscy w tych samych godzinach siedzieli w ławkach. Ja akurat wracałem do domu. Gdy zobaczył krew na śniegu, otworzył okno klasy, i wyskoczył z pierwszego piętra prosto w usypaną od odśnieżania górkę. W środku lekcji, wyobrazasz sobie to? Podbiegł do nas, ja już klęczałem zakrwawiony na kolanach i tylko słyszałem tupot, że ktoś biegnie. Następne, co słyszałem, to plaśnięcie, jak jego pięść uderza tamtego prosto w szczękę. Chłopak padł znokautowany i leżał jak martwy przez kilkanaście sekund. A może i minut, nie pamiętam dokładnie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Adama, jak patrzy na mnie z politowaniem i się głupio uśmiecha, że dostałem wycisk. Podniósł mnie i kazał spadać do

domu. Tak się dbało o rodzeństwo właśnie. Wstawiliby się za mną zawsze i wszędzie, ale pośród nich dostawałem wycisk. No i ten wycisk jakoś na tyle często dostawałem, że wyrosłem na sierotę, mimożę i ciapę.

Swoją drogą, brata Adama zawiesili na dwa miesiące w szkole po tym incydencie. A chłopak chciał się zemścić, ale o tym później. Adam dziś jest kierowcą ciężarówki i jeździ po całej Ameryce. Mało mam z nim kontaktu. Ale jak jest duża rodzina, to i relacje są płytsze między jej członkami. Tak mi się przynajmniej wydaje. Najlepszy kontakt miałem z najstarszą siostrą. Była zarazem najstarsza w rodzinie. Gdy ja się rodziłem, ona miała już 18 lat, więc często mnie niańczyła i zastępowała matkę. Z nią się przez to najbardziej zżyłem i do dzisiaj mieliśmy normalny, chociaż i tak sporadyczny, kontakt.

A pozostali? Każdy powędrował w swoją stronę. Dwóch braci to pamiętam tylko z dzieciństwa, bo szybko się wynieśli z domu – Łukasz i Piotrek. Miałem jeszcze czwartego, ale zginął w wypadku motocyklowym, gdy miałem osiem lat. Bartek miał dwadzieścia. Uwielbiał szybkie motory i tak to się dla niego skończyło. Nie wyrobił na jednym zakręcie i uderzył w drzewo. Głupia śmierć, w środku dnia, pusta ulica. Przez kilka lat chodziło za mną poczucie winy. Jak dziś pamiętam naszą ostatnią rozmowę, gdy grzebał przy swoim motorze przed domem, a ja obserwowałem. Nie miałem pojęcia, co robi, ale jako dzieciak czułem, że to coś wspaniałego i magicznego.

– To jak młody, dowalamy do gazu? – zapytał merdając przy linkach i śrubkach.

– Dowalamy! – krzyknąłem i uniosłem z radości piąstkę do góry.

– To przynieś mi skrzynkę z narzędziami.

Przez następną godzinę wymieniał układ wydechowy, a ja śledziłem każdy jego ruch. Podawałem mu po kolei narzędzia i trzymałem śrubki. Gdy skończył zdjął rękawice, otarł czoło od potu rękawem i zmierzwił mi włosy. Uwielbiał to robić zawsze kiedy się dogadywaliśmy.

– Pomogłem? – zapytałem z wypiekami na twarzy.

– Dzięki młody. Jasne, że pomogłeś.

Chwilę później wsiadł na motor po raz ostatni.

Czułem się winny.

Do dziś mam wyrzuty sumienia, że nie mogłem być na jego pogrzebie. Ze stresu miałem nerwobóle żołądka. Wszyscy myśleli, że to zapalenie wyrostka robaczkowego, ponieważ zwijałem się z bólu i płaczu. W szpitalu okazało się, że to zwykły stres i trauma. Dość gówniany powód, by ominąć pogrzeb brata, prawda? Ale moje życie składało się z samych takich nieudacznictw.

Jeszcze była jedna siostra, Zośka. Z nią też miałem dobry kontakt, bo była mi najbliższa wiekiem. Rok starsza, z nią się najbardziej dogadywałem. Z nią się mogłem bawić bez poczucia, że mnie niańczy albo chce zgnoić przy najbliższej nadarzającej się okazji. Obecnie prowadzi biuro rachunkowe w Warszawie. Mąż, dzieciaki, własna działalność. Czasem napisze kartkę na święta albo wyśle maila pytając co słyhać. Rzadziej dzwoni, a jak już, to tylko z czymś bardzo ważnym. Myślę, że taki słaby kontakt między rodzeństwem wynikał, jak już mówiłem, z wielkości rodziny oraz skrajnej patologii, jaka u nas panowała. Brat czy siostra kojarzy się mimowolnie z dzieciństwem, do którego nie chce się wracać.

Matka zmarła na zawał gdy miałem dwanaście lat. Dla mnie to była śmierć z przepracowania, bo nie miała ani jednej wolnej chwili od pracy i zajmowania się dziećmi. Spała po kilka godzin dziennie i pracowała na dwie zmiany – w zakładzie krawieckim oraz sklepie monopolowym. Nie biła nas, nie krzyczała. W tym wyręczał ją ojciec. Dla dzieci była wiecznie wyrozumiała i spokojna. Zawsze wyglądała bardzo staro. Miała męskie spracowane ręce, ale pachniała kwiatami. Gdy byłem mały, uwielbiałem się do niej przytulać i chłonąć jej zapach, który kojarzył mi się z bezpieczeństwem. Niestety, nie miała na to wiele czasu. Wiadomo, dużo dzieci, praca.

A ojciec? Również człowiek pracy, ale z dyktatorskimi zapędami. Ustawiał wszystko i wszystkich pod siebie. Gdy coś nie chodziło jak w zegarku, bił i wrzeszczał. Uważał, że dyscyplina to podstawa. Ja go nienawidziłem, bo złamał mi rękę. Oczywiście przypadkowo, chcąc mnie porządnie spruć, czy jak to mawiał, wychować. Mimo wszystko uraz pozostał. Szarpnął mnie za mocno, gdy ze strachu złapałem się kaloryfera. Trzy miesiące w gipsie i duża blizna na prawej ręce. Potem nieco spuścił z tonu, ale nie na długo. Jednak, jakby nie patrzeć, był to porządny człowiek i miał dobre intencje. Powtarzał to, co było w jego domu i trzymał w przekonaniu, że zrobiło to z niego dobrego człowieka. Po śmierci Bartka, rozpił się całkowicie. Dzieci odchowane, dużo czasu dla siebie, ale dusza pełna gorzycy. Gdy zmarła mama, zdarzało mu się wypić, ale tylko jak wszystko miał zapięte na ostatni guzik i nic mu nie siedziało na głowie.

I tak oto wyglądała i wygląda moja rodzina. Pierwszy krok do tego jaki się stałem. Jedną z wypadkowych mojego pobytu tutaj, na tym moście. Już wtedy byłem nieudacznikiem i popychadłem, ale jakoś nie miałem wewnętrznych sił, by było inaczej. Ślepo godziłem się na taki los i uznałem, że tak już musi być i nie da się tego zmienić. Być może, gdybym nie cierpiał na depresję i miał więcej energii, wszystko potoczyłoby się inaczej.

A tak mam znowu sobie za złe, że nie zmieniłem się w porę. Młody człowiek, charakter się kształtuje, można wszystko. Wystarczyło chcieć. Teraz też tak sobie mogę

wmawiać, ale wiem, że depresja zakorzeniła się we mnie zbyt głęboko. Stała się mną. Wniknęła we wszystkie sfery mojego życia, zastąpiła całkowicie moją osobowość i charakter. Gdyby jej nie było, nie byłoby i mnie. A ja, bez tego co mi znane, byłbym jeszcze bardziej na tym świecie zagubiony...

Depresja jest przeświadczeniem, że życie jest pełne podłych marzeń, pomyślałem. Pewnego rodzaju nieświadomioną ideologią, która nie pozwala się porzucić.

Jak człowiek raz umiera, to nie da się go potem wskrzesić, ani psychicznie, ani fizycznie. Z ciepłego robi się zimny, nigdy odwrotnie. Tak właśnie zabiła mnie depresja, tak jak wypadek zabił mojego brata.

Pierwszy raz u psychologa byłem jakoś w podstawówce. Chichy, spokojny, zawsze małowówny i dający sobą pomiatać. Trafiłem tam, bo mnie najstarsza siostra zaciągnęła. To było krótko po tym incydencie ze złamaną ręką, ponieważ pamiętam jeszcze jak ze stresu stuknąłem gipsem o blat biurka pani psycholog. Była to bardzo miła i dobra kobieta, o ile tak można mówić o wszystkich psychologach, którzy tacy właśnie muszą być, by ludzie się przed nimi otworzyli. Słuchała mnie, dopytywała, udawała zainteresowanie. Teraz domyślam się, że mógł w to być zamieszany kurator. Wizyty miałem dwa razy w tygodniu, i przez te kilkanaście spotkań opowiadałem jej o swoim życiu szkolnym i rodzinnym, czasem zagłębiając się w marzenia i fantazje, o których nie mówiłem nikomu innemu. Bałem się wyśmiania i szyderstw. Chciałem zostać pilotem odrzutowca, więc pod łóżkiem chowałem zdjęcia, plakaty, naklejki z gum i wszystko inne związane z lotnictwem. Pamiętam też, że trzymałem tam książkę Fiedlera „Dywizjon 303”, którą przeczytałem chyba z dziesięć razy.

Matka zawsze mi powtarzała:

– Dorośnij w końcu. – Brzmiało to jak rada i skarcenie zarazem.

– Po co mam dorastać? Starość jest taka fajna? – pytałem.

Każdy z nas pod łóżkiem trzymał swoje skarby. Była to nasza prywatna skrytka, do której nikt inny nie zaglądał. Panował między nami cichy układ, że tamtych rzeczy nie ruszamy, ani nie niszczymy – jako że wszystko inne było wspólne. Tak bardzo szanowałem tę zasadę, że nawet nie wiem co pozostała część rodzeństwa trzymała pod swoimi łózkami. Może też po części się bałem, że jak sam zajrzę, to ktoś może zrobić mi to samo i wystawię się na pośmiewisko. Ja, taki gówniarz z biednej rodziny, a chce zostać pilotem odrzutowca –

podśmiewałem się często sam z siebie, by porzucić te niemożliwe do spełnienia marzenia i zając się czymś normalnym. Matka pewnie wiedziała o naszych skarbach, ale uszanowała naszą prywatność. Musiała wiedzieć jak to ciężko nie mieć własnego prywatnego kącika, do którego nikt nie zagląda. Ojciec pewnie nie wiedział, bo od sprzątanania była ona, a i tak pewnie jakby zajrzał, to miałby to gdzieś.

Tak czy siak, u tej pani psycholog dowiedziałem się, że mam zaburzenia depresyjne, jestem typowym introwertykiem i reaguje na wszystko emocjonalnie, wypalając się od środka. Pomimo że z zewnątrz tego nie widać. Dała skierowanie do psychiatry, a ten wypisał mi jakiś lek. Od tamtego momentu, z niewielkimi zaledwie przerwami, dzień w dzień łykałem jakieś prochy, które sztucznie pobudzały mi chęci do życia. Przy każdym obiedzie kładłem koło szklanki z kompotem małą magiczną tabletkę, zmieniającą mi chemię w mózgu na czas jej działania. Tak jak zacząłem w podstawówce, tak skończyłem się faszerować wczoraj, gdy uznałem, że dalsza egzystencja nie ma sensu.

Tabletki nie powodowały jakichś ogromnych zmian. Raczej czułem, że potrafią wytworzyć we mnie nieco mocniejsze i intensywniejsze chwile radości oraz pomagały zapomnieć o całym świecie. Chwil radości nie było dużo. Wszystkie te sytuacje mógłbym zliczyć na palcach jednej ręki. Ale też nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież jeżeli miałbym szczęśliwsze życie, to i najprawdopodobniej nie popadłbym w depresję.

Pierwsza szczęśliwa chwila, jaką pamiętam, to gdy ojciec kupił samochód. Starego poloneza, w którym wszystko trzeszczało. Nigdy nie miałem ciągot do motoryzacji, ale chętnie obserwowałem jak Bartek i ojciec grzebią, albo udają, że grzebią w silniku i wymieniają się mądrymi komentarzami. Widziałem okruczki szczęścia na ich twarzach, dzięki czemu sam stawałem się uśmiechnięty. Może to głupie, ale o świecie zapominałem także, gdy przy dużej prędkości wystawiałem głowę za otwarte okno i pozwalałem rozpedzonemu powietrzu smagać mi twarz. Teraz, gdy o tym myślę, to było w tym nieco z poczucia wolności, tak jak to jest w przypadku latania odrzutowcem.

Druga szczęśliwa chwila to moja pierwsza miłość, z którą spędzałem po lekcjach w liceum każdą możliwą wolną chwilę. Jestem pewien, że nie było to tylko zauroczenie. Różnica pomiędzy miłością, a zauroczeniem, polega na dostrzeganiu wad. Miała na imię Justyna i była kobietą o pięknych szarych oczach. Nie była to taka szarość, jaka jest widoczna jesienią za oknem, smutna i ponura – ale szarość piękna, która sprawiała, że była faktycznym kolorem, a nie jego brakiem. Nigdy później takiej pięknej szarości nie widziałem, mimo że przez całe życie było jej dookoła mnie pełno. Ale tym, co najbardziej pokochałem w Justynie, była jej wyrozumiałość i akceptowanie mnie takiego, jakim byłem. Nie zadawała

niepotrzebnych pytań, nie próbowała mnie zmienić, nie dziwiła się nigdy moim zachowaniem. Była to jedyna, poza rodziną, osoba, która kochała mnie takiego jakim byłem i jestem. Byliśmy razem pół roku, potem niestety przeprowadziliśmy się do Stanów Zjednoczonych, gdzie ojciec wyleciał miesiąc wcześniej za lepszą pracą. Jeszcze przez półtora roku pisaliśmy do siebie przynajmniej raz w tygodniu i obiecywaliśmy sobie, że się spotkamy. Potem jednak kontakt słabł, aż w końcu na zawsze umarł. Zabiła go odległość i zimno tekstu pisanego. Telefonu niestety nie mieliśmy.

Przez to załamane się całkowicie. Tłumaczyłem sobie, że przecież sto lat wcześniej ludzie potrafili na siebie czekać całymi latami, wysyłali gońców, gołębie pocztowe, pisali listy, tak jak my. Ale czasy się zmieniły, wszystko przyspieszało. Rozwój technologiczny, rozwój duchowy i emocjonalny. Kontakty między ludźmi się spłyciły, stawiając ilość ponad jakość. A ja tylko chciałem zamknąć się w pokoju i to wszystko przeczekać. Przeczekać, aż się ustabilizuje, zatrzyma. Aż nie będzie ciągłych zmian, ciągłej wędrówki w nieznanie i podążania ciemnym tunelem, na ślepo, w całkowitą pustkę.

Wciąż pamiętam nasz pierwszy pocałunek, który był jednocześnie najromantyczniejszą chwilą w moim życiu. Wcześniej wydawało mi się, że takie momenty można spotkać jedynie na filmach. To było na skraju lasu, tuż przed zachodem słońca. Miejsce i godzina zupełnie przypadkowo złożyły się na idealny moment na pocałunek. Nie planowałem tego, jednakże pod wpływem impulsu otaczającej chwili, musnąłem jej wargi, by po chwili poczuć mocny i słodki smak jej ust.

– A wiesz, że to jest przypieczętowanie umowy? – zapytała szeptem.

– To ja poproszę kopię.

I pocałowałem ją raz jeszcze.

Trzecia szczęśliwa sytuacja to narodziny mojej córki. Ślub i pierwszą żonę pomijam, bo to, co mi zrobiła później, wytarło całe szczęście z naszego związku. Czulem się z nią szczęśliwy, ale tak naprawdę byłem ciągle oszukiwany i manipulowany. Wszystko okazało się sztucznym szczęściem, wartym tyle, co zapach sztucznych kwiatów na oknie. Narodziny, to coś zupełnie innego. Tworzysz nowe życie, które jest z tobą na wieki powiązane. Ta wykreowana więź jest najsilniejsza ze wszystkich. Alice była bardzo podobna do mnie. Jako dziecko prawie nigdy nie płakała. Gdy stało się coś dla niej przykrego, zaciskała pięści i czerwieniała na twarzy. Oczka się jej szklily, ale rzadko kiedy płynęły z nich łzy. Płakała jedynie w samotności, ale bardzo cicho i tak, by nikt nie widział ani nie słyszał. Płacz był dla niej czymś upokarzającym i bardzo dobrze to rozumiałem. Ojciec zna najbardziej swoje dziecko, kiedy widzi w nim samego siebie. Była bardzo samoświadoma, jak na swój

młodziutki wiek. Chłonęła wszystko i wszystkich, świdrując otoczenie wzrokiem i analizując impulsy. Godzinami obserwowałem, gdy jeszcze jako niemowlak, stopniowo dowiaduje się, że ta kluska wystająca z niej, to rączka i jest w stanie nią poruszać. Powiesz zapewne, że każde dziecko takie jest, ale moja Alice była najwspanialsza i jedyna w swoim rodzaju. Jedyna osoba w moim życiu, dla której zrobiłbym wszystko.

Przez dziewięć lat trzymałem się dla niej przy życiu.

Teraz, gdy prawdziwy ojciec był dla niej tylko ciekawostką, a jej nowe życie nie miało nic wspólnego z moją beznadziejną osobą – nadszedł czas na pomyślenie o mnie. Jestem pewien, że gdyby nie współczucie, wszyscy zgodziliby się na ten rodzaj eutanazji, którą sobie serwuję. A ja nie potrzebuję współczucia. Poczucie, że ktoś ci współczuje jest równie upokarzające co publiczny płacz. Jestem pewien, że moja Alice mogłaby to potwierdzić.

Mogłaby.

W międzyczasie, pomiędzy tymi przełomowymi chwilami szczęścia, zdarzyły się moje prace, których nienawidziłem. No dobrze, może poza pracą na magazynie, która dzięki regularności, braku zmian i jednostajności wywoływała we mnie pewien rodzaj zadowolenia. Obecnie jestem... albo raczej byłem księgowym oraz przedstawicielem handlowym i sprzedawałem każde badziewie, jakie szef podsunął mi pod nos. Najczęściej sprzęt kuchenny, importowany z Chin. I teraz porównaj sobie mnie – ciapowatego magazyniera i sprzedawcę mikserów z zadbanym inwestorem nieruchomości, którego drugim hobby jest zbijanie majątku na giełdzie. Nic dziwnego, że moja żona mnie zostawiła. Wcale nie mam o to do niej pretensji. Wybrała lepszą opcję, zmieniła mnie na lepszy model.

Do dziś pamiętam jak mi powiedziała, że chce rozwodu. Wieczorem, gdy nasza córka smacznie spała, przyszała z kuchni, gdzie przygotowywała konfitury i usiadła na fotelu naprzeciwko sofy, na której siedziałem i przeglądałem jakieś papiery gwarancyjne do chińskiego szajsu.

– Robert, mam ci coś do powiedzenia – powiedziała zimnym i spokojnym tonem. Prawie tak, jakby nie miała duszy.

Zawsze zwracała się do mnie po imieniu, gdy chodziło o coś poważnego.

– Wal śmiało, kochanie – rzuciłem, nie odrywając wzroku od stosu kartek.

– Odchodzę.

Bąłem się wtedy na nią spojrzeć. Wiedziałem, że gdy podniosę wzrok, ujrzę osobę, którą kocham, a ona mi tego nie odwzajemni. Jedno słowo sprawiło, że zacząłem się cały trząść. Trwało to najwyżej kilka sekund, ale walka z moim sercem, by nie pękło, wyczerpała

mnie całkowicie. Na tyle, że chciałem się natychmiast położyć spać i obudzić tak, jakby nic nigdy takiego nie powiedziała.

– Zabieram Alice ze sobą – dokończyła, gdy nie dałem żadnej odpowiedzi.

Kiedy człowiek siedzi wieczorami, nie mając ani chwili dla siebie, bo chce związać koniec z końcem, ma prawo wybuchnąć po takim impulsie. I nie, nie był to emocjonalny wybuch, nie było awantury, krzyków ani rękoczynów. Po prostu implodowałem do środka. Wybuch, który nastąpił tylko i wyłącznie wewnątrz mnie, zostawiając zgliszcza, natomiast otoczenie pozostawiając nietknięte.

– Dlaczego? – zapytałem resztkami sił.

Tym razem musiałem na nią spojrzeć, by pożegnać dotychczasowe życie i żonę. Zapewne ostatni raz siedzącą w tym miejscu i odbywającą ze mną normalną rozmowę. A jeszcze rano wszystko wydawało się w porządku. Oboje wstaliśmy do pracy, pożegnaliśmy się całusem i zjedliśmy wspólny obiad, śmiejąc się z brykania naszej córki.

– Tak będzie dla nas lepiej. Wszystko już przecież dawno się wypaliło.

– Nie chcesz spróbować tego naprawić? Dać jeszcze jednej szansy?

– Nie chcę takiego życia. – Uniosła dłonie ogarniając nimi pokój. – To też nie życie dla Alice. Długo nad tym myślałam i tak po prostu będzie najlepiej.

– Masz kogoś na oku?

– Tak. Poznałam go na wyjeździe integracyjnym dwa miesiące temu.

Nie chciałem się unosić ani wyzywać jej od egoistycznych dziwek, jaką była. Nie chciałem jej dawać kazania o honorze, miłości, zasadach i innych abstrakcyjnych dla tej bezdusznej istoty pojęciach. I tak by nie zrozumiała, wciskając mi, że nie potrafię się pogodzić z tym, iż jestem zerem.

Moralność. Każdy ma swoją.

Osoby bez duszy mają lepiej w życiu. Potrafią się ustawić, nie zaprzatając sobie głowy jakimiś wyniosłymi frazesami. Potrafią na zimno zrównać człowieka z ziemią. Tego samego, któremu deklarowało się miłość i wierność do końca życia.

Całą noc płakałem. Sam, po cichu, tak by nikt nie widział.

ROZDZIAŁ 3

Robert Harys poczuł pieczenie oczu i ciepłe łzy spłynęły mu po policzkach. Siedział na barierce mostu i stukał w nią nogami, by zająć czymś umysł i odwrócić myśli od traumatycznych wspomnień. Jakies dwa metry dalej siedziała jego współtowarzyszka i obserwowała jego ruchy. Chłonęła każde zdanie jego opowieści, a jej serce wypełniało nieuchronne współczucie, którego Robert tak nienawidził, gdy było skierowane do niego.

Był wczesny ranek. Słońce parło coraz wyżej i jesiennymi promieniami delikatnie podgrzewało ich ciała, równoważąc tym samym chłodne podmuchy wiatru.

Robert usłyszał trzaśnięcie samochodowych drzwi i cichy stukot kroków. Wiedział, że to policja. Siedział już tu wystarczająco długo, by ktoś zadzwonił i nakapował na niezdecydowanego samobójcę. Za plecami doszedł do niego metaliczny i zniekształcony dźwięk krótkofalówki.

– Potrzeba psychologa? – zaskrzeczało urządzenie.

– Tak. Jest ich dwoje. Kobieta i mężczyzna. Oboje siedzą na barierce, skierowani w stronę rzeki. Dajcie tu Laurę, ona ma wprawę ze skoczkami. Pogadam z nimi do tego czasu, bez odbioru.

Policjant zbliżał się ostrożnie, jak do zwierzyny, która w każdym momencie może czmychnąć. Robert nie widział go, lecz po krokach poznał, że dla funkcjonariusza jest to całkowicie nowa sytuacja, na którą nie wie jak zareagować. Mało kto wybierał to miejsce i to miasto na swój ostatni lot w przepaść.

– Posłuchajcie – zaczął bardzo asekuracyjnym tonem. Przez jego głos przemawiał strach. Bał się, że będzie świadkiem ostatnich słów i spojrzeń dwójki samobójców, a przecucie, że mógł tym śmierciom zapobiec, będzie prześladowało jego umysł do końca życia. – Możemy porozmawiać chwilę? Na pewno jest jakieś rozwiązanie.

– Ja nie chcę skakać, tylko ten człowiek. Rozmawiałam właśnie z nim i słuchałam jego historii – wtrąciła kobieta.

– Proszę pana – zwrócił się do Roberta policjant. – Niech pan da sobie pomóc. Jestem pewien, że—

– Nie chcę rozmawiać z nikim innym, prócz niej. Pan się lepiej odsunie, bo skoczę. – Robert odwrócił głowę, by przyjrzeć się gliniarzowi oraz by zapobiec byciu ściągniętym z mostu siłą. Był to czarnoskóry młodzik, na którym mundur wyglądał jak zbyt duży garnitur na komunię. Oceniał jego wiek na około dwadzieścia pięć lat.

– W porządku, będę się trzymał na dystans. Jak macie na imię?

– Ja jestem Anna, a to jest Robert – odpowiedziała spokojnie kobieta. – Myślę, że to dobry pomysł, by pan się nie wtrącał.

Wymieniła spojrzenie z Robertem, a ten poczuł się tak, jakby mieli jakiś cichy układ. Własną paczkę, do której nikt nie ma wstępu.

– Po prostu będę tu stał, i w razie czego służył pomocą, dobrze? Możesz na mnie liczyć, Robercie.

– Najlepiej by było – odezwał się Robert – jakby pan wsiadł do radiowozu, zgłosił fałszywy alarm i pojechał na komisariat, zapominając o całej sprawie.

– Mów mi Dwayne – odparł policjant oblizując ze stresu wargi. – Nie mogę teraz odjechać i skłamać, że nic się nie dzieje. Przykro mi. – Wziął głęboki oddech i widząc całkowity brak reakcji kontynuował: – Psycholog jest już w drodze. Jeżeli możesz, to poczekaj chwilę, a z pewnością ci pomoże. To cudowna kobieta, potrafi odmienić spojrzenie na życie. Powinieneś z nią najpierw poroz—

– Jeżeli nie chcesz odjechać, to chociaż się nie odzywaj! – krzyknął Robert. Nie chciał być niemiły, jednak chciał być pewien, że policjant zrozumie. – Stój tam gdzie stoisz i nie zbliżaj się ani kroku.

Odwrócił się i usiadł okrakiem na barierce, tak by ogarniać wzrokiem zarówno przepaść i Annę, jak i ulicę z policjantem. Po chwili milczenia przesunął się kilkanaście centymetrów do tyłu i oparł o rudy filar mostu. Zrobiło mu się znacznie wygodniej. Anna poruszyła się w jego kierunku, by nie zwiększać dystansu, ale Robert zatrzymał ją gestem dłoni.

– Na czym to skończyliśmy? – zapytał unikając kontaktu wzrokowego.

– Opowiedz mi o swojej pracy – powiedziała spokojnie Anna, delikatnym i kojącym tonem. Robert uznał, że ma piękny, kobiecy głos.

ROZDZIAŁ 4

Zawsze chciałem mieć pracę, która w pierwszej kolejności będzie mi dawać satysfakcję i poczucie spełnienia, a w drugiej dopiero pieniądze. Niestety, takie rarytasy są dostępne tylko dla wybranych, dobrze ustawionych i wykształconych szczęściarzy. Ja ani wybrany, ani dobrze ustawiony, ani wykształcony, ani szczęściarz. Więc moja robota musiała być do dupy.

Wcześniej pracowałem w magazynie i zaklejałem kartony. Przeszawiałem je z miejsca na miejsce, sortowałem i czasem wydawałem, gdy nie było drugiego pracownika na zmianie. Magazynowaliśmy kilkanaście firm, a po roku pracy byłem niemal w stanie rozpoznać każdy produkt po jego kodzie kreskowym. Szef nie chciał mnie wywalić, bo miałem dobry system

ładowania kartonów na półki i zapamiętywania, gdzie je zostawiłem. Sam wymyślił, że najlepiej będzie sortować wszystko według firmy i wagi, ja jednak wolałem układać wszystko według własnego wzorca, co się bardziej sprawdziło, było znacznie wydajniejsze i oszczędzało miejsce. Kluczem do sukcesu w tym przypadku było pole podstawy ładunku. A zmiana mnie na kogoś innego, oznaczałaby gruntowną reorganizację magazynu, by świeżak mógł się we wszystkim połapać. Nie było to zabezpieczenie przed wylaniem, jak to większość pracowników myślało, a jedynie lepsza strategia segregowania, która dla wszystkich poza mną była chaosem.

W pewien dzień nie było gościa od wydawania paczek, bo zapewne leczył kaca po imprezie, czym uwielbiał się chwalić, szefowi natomiast wciskał kit o niewydolności nerek i wizytach lekarskich. Wtedy też łądowałem setki małych pudeł ze sprzętem na samochód dostawczy z ogromnym napisem „L&J”. Była to nowa firma goszcząca nasz magazyn, a kierowca lekko spłoszony i z głową w chmurach, starał się ogarnąć kolejne faktury i zamówienia.

– A te cyferki po ukośniku, to co oznaczają? – zapytał.

– To jest numer serii. Wyższy numer oznacza nowszą serię, a co za tym idzie dłuższy okres gwarancji producenta – tłumaczyłem ze spokojem i wskazywałem palcem kolejne pozycje. – Czasem są to po prostu daty bez kropek, ale tutaj numerują sprzęt zapewne od zera. Czyli od momentu, gdy fabryka ruszyła.

– A co to oznacza? – Absolutna niewiedza malowała się na jego twarzy.

– To oznacza, że najlepiej sprzedawać te sprzęty z niższym numerem po slashu, bo są starsze – odpowiedziałem najprościej jak umiałem. – Chociaż gwarancja w przypadku sprzętu i tak liczy się od daty zakupu. Często jednak nie ma wsparcia technicznego dla tak starych modeli, bo te tutaj mają ładnych parę lat. Wszystko zależy od polityki firmy producenta.

– Dobra, pieprzyć to. – Machnął ręką. – Ładuj jak leci. To akurat nie moje zmartwienie.

– Skoro tak pan mówi – mruknąłem pod nosem i kontynuowałem wsuwanie kartonów na tyły dostawczaka. Zostawiłem go gapiącego się w kilka stron cyferek i symboli.

– A ta literka? – Podeszedł do mnie, gdy zatrzasnąłem tylne drzwi i pacnął palcem w kartkę.

– To pierwsza litera kraju, w jakim zostało to wyprodukowane. T to Tajwan, C to Chiny, I to Indie.

– Czyli nie chodzi tu o żadną wersję produktu? – Zmarszczył brwi.

– Absolutnie nie. Najwidoczniej te modele sprzętu kuchennego produkowane są w trzech różnych krajach.

– Dość bystre spostrzeżenia. Pracuję w tej firmie od kilku lat, a wcześniej tego nie wiedziałem.

Zaczął grzebać w kieszeniach i wyciągnął małe pudełeczko przypominające miniaturową papierośnicę. Otworzył je z namaszczeniem i wyciągnął mały kartonik.

– Proszę – rzekł ze sztucznym uśmiechem i wręczył mi wizytówkę. – Może chciałby pan u nas pracować? Mamy wolny staż na stanowisku przedstawiciela handlowego. Po trzech miesiącach próbnych, gdy pan się spisze, podpisujemy umowę.

– Ale ja się zupełnie na tym nie znam. – Spuściłem wzrok.

– Nikt się na początku na robocie nie zna. Oferujemy szkolenia. Wydaje mi się, że to lepsza praca niż na magazynie.

– W porządku, przemyślę to. Gdzie mam się zgłosić?

– Proszę zadzwonić pod ten numer na wizytówce dzisiaj po osiemnastej. Wtedy dogadamy szczegóły.

I tak oto dostałem rzekomo lepszą pracę. Bałem się jej i boję do dzisiaj, chociaż już nie powinienem. Cały czas miałem wrażenie, że nie potrafię ogarnąć wszystkich swoich obowiązków i balansuję na granicy całkowitej klęski. Ta robota na początku była dla mnie całkowitą nowością. A ja nie lubię nowości. Wolę to, co mi znane, gdzie potrafię się odnaleźć.

W każdym razie, „L&J” to firma zajmująca się sprzedażą sprzętu kuchennego. Nie produkuje, nie serwisuje, ale po prostu rozprawdza mniej znane i tańsze marki na rynek. Większość z tego wszystkiego to gówno, które rozleci się parę sekund po wygaśnięciu gwarancji. I to tylko wtedy, gdy ze sprzętem będzie się obchodzić tak delikatnie, jak z poparzoną dzieckiem. A jaka jakość towaru, taka i cała firma, a w szczególności zarząd.

Richard Lester to szef, sprawca sporej części siwych włosów na mojej głowie. Typ osoby ciągle niezadowolonej oraz ciągle twierdzącej, że można dać z siebie jeszcze więcej. Zarozumiały dupek, mający się za boga, który trafił w odpowiednią niszę na rynku w odpowiednim czasie. Podręcznikowy przykład osoby potwierdzającej powiedzenie, że głupi ma zawsze szczęście. Prócz ciągłego poczucia wyższości i przedmiotowego traktowania, które tak samo irytuje jak i wpędza w depresję, posiada także jeszcze jedną ogromną wadę – syna, który miał mi okazję wcisnąć wizytówkę.

Na pierwszej rozmowie, po przejrzaniu moich referencji, szef powiedział z szerokim uśmiechem:

– Robercie, to może być twoja szansa.

– Szansa na co? – zapytałem.

– Nie wiem na co, ale zajebicie motywująco to brzmi. – Wyszczrzył jeszcze bardziej kły, poklepał po ramieniu i podsunął do podpisania umowę na okres próbny.

Później dowiedziałem się w co wdepnąłem. Ta praca była niczym bagno, w którym człowiek zapada się centymetr po centymetrze, by na koniec ugrzęznąć po uszy. Ale nie miałem wyjścia, musiałem zarabiać w jakiś sposób pieniądze. Stale tłumaczyłem sobie, że jeszcze tydzień i rzucam tę robotę. Marzyłem o powrocie do magazynu, jednakże już znaleźli kogoś na moje miejsce. Przeglądałem także ogłoszenia w prasie. Nie chcieli nikogo z moimi kwalifikacjami, a raczej ich brakiem.

I tak też trwałem w pracy, która wysysała ze mnie najmniejsze radości. Wysysała nawet neutralne uczucia, zmieniając je w przygnębiające. I jeszcze ten syn.

Richard Lester Junior – bo tylko zarozumiałe dupki może nazwać w ten sposób swojego syna – to z pozoru sympatyczny i skromny gość, zupełnie niepodobny do swojego ojca, zarówno z wyglądu jak i charakteru. Gdyby nie nazwisko, nikt nie byłby w stanie powiedzieć, że tych dwóch łączą jakiejkolwiek więzy krwi. Mógłbym nawet podejrzewać, że jest adoptowany, ale zarozumiałe dupki nie adoptują dzieci.

Mój pierwszy dzień w pracy wyglądał zupełnie tak samo jak każdy następny, z tym wyjątkiem, że do każdej sekundy dochodził stres związany ze strachem przed pogubieniem się w nowych obowiązkach. Stopniowo niżyłem w miarę poznawania tajników sprzedaży i księgowości, ale narastał kolejny, wynikający z podłości szefa oraz jego syna. Jako że firma nie mogła sobie pozwolić finansowo, przez pazerność szefa, na oddzielne stanowisko księgowego, za niego robiłem ja. Zajmowało to przeciętnie połowę dnia, podczas gdy drugą poświęcałem wyszukiwaniu klientów i oferowaniu im naszego asortymentu. Z racji swoich niechęci do nachalności oraz oszukiwania ludzi, traktowałem tę drugą połowę jako dodatkową malutką premię, ponieważ za tę część płacił tylko prowizją od sprzedaży. Za księgowego robiłem na pół gwizdka, co też nie spodobało się Richardowi Lesterowi i przydzielił mi dodatkową funkcję tworzenia raportów sprzedażowych. Z początku wydawało mi się, że szef chce mnie uchronić od męczącego mnie dzwonienia do ludzi, ale ostatecznie okazało się, że nie widzi mu się fakt, że nic nie robię przez pół dnia, a skoro siedzę w pracy, to mógłbym też robić coś pożytecznego.

– Harys, pozwól na chwilę. – Skinął na mnie głową, co przypominać mogło wykonanie dziwnego uniku.

Biurko Lestera było podwójne, pomimo że większą jego część stanowiła pusta płaska przestrzeń. Nic szczególnego na nim nie trzymał, w przeciwieństwie do zawałonych klastrami i papierami pracowników. Domyślam się, że specjalnie kupił wielki kawał mebla, by podkreślić swoją rangę szefa. Zza niego wyglądał nieco jak sędzia, który nie ma specjalnie nic do roboty, oprócz ponaglania i rzucania okiem na wyniki. Oprócz segregatora z umowami pracowników, na blacie znajdował się zszywacz, rolka taśmy klejącej i kilka długopisów wetkniętych w przyborek pełen spinaczy. Stał tam jeszcze komputer, który przez większość czasu pokazywał wygaszacz ekranu. Przedstawiał tworzące się i układające kolorowe rury. Lester od czasu do czasu poklikiwał na komputerze, przeglądając fora myśliwskie i bliżej nieokreślone strony z terenowymi samochodami.

Na maile odpisywał dopiero po kilku godzinach, a wszystkie raporty, sprawozdania i dokumenty życzył sobie w formie papierowej, pod warunkiem, że zawartość jednego nie przekraczała pięciu stron. Był na tyle oszczędny, by do tego kupować ryzy papieru najgorszej jakości, które mogły z powodzeniem przypominać papier toaletowy A4, a także rozkazał drukować wszystko w jakości roboczej. Nie był jednak na tyle nowoczesny, żeby przestawić się na formę elektroniczną – tańszą, szybszą i wydajniejszą.

Sam drukarki nie posiadał. Podejrzewam, że to z powodu jego minimalnych umiejętności obsługi komputera, sprowadzającej się do obsługi przeglądarki internetowej oraz klienta poczty e-mail. Za niego drukował Junior, który miał u siebie kserokopiarkę i drukarkę w jednym. Wystarczyło jedno skinięcie Lestera i już miał na papierze wszystko, czego potrzebował. Wysyłek mniejszy niż kilka kliknięć myszką.

– Tak, szefie? – po chwili byłem już przy jego biurku.

– Praktycznie codziennie od drugiej po południu siedzisz i nic nie robisz – odparł z grymasem. – Dłubiesz w tej książce telefonicznej i nigdzie nie dzwonisz.

– Ja—

– Ja zdaje sobie sprawę – kontynuował – że możesz kiepsko dogadywać się z klientami. – Obleciał mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ale twoje wyniki sprzedażowe są tragiczne.

– Rozumiem, szefie – odpowiedziałem poruszony jego krytyką.

– Tragiczne! – podniósł głos. – Poznałem się trochę na tobie, Harys, i widzę, że ze względu na twój styl bycia nie ma szans, żebyś coś sprzedał.

Spoglądał na mnie z pogardą i uniesionymi brwiami. Jego oczy nie wyrażały nic więcej poza wywyższeniem i ocenianiem z góry.

– Ale ja nie mam płacone od godziny po drugiej po południu. Traktuję to jako małą prowizję, gdy uda mi się coś sprzedać. Chciałbym być księgowym na cały etat, ale firma jest za mała, żeby...

– Harys, kurwa! – parsknął. – Kogo ty próbujesz oszukać? Popatrz na niego – wskazał grubym i żółtym paluchem na pracownika z siwymi skroniami, noszącego tęgie okulary. Rozmawiał przez telefon. – Patrz, jak napierdala! Gęba cały dzień mu się nie zamyka. Mój najlepszy sprzedawca. Pozostali są średniego gówna warci. Ty natomiast jesteś gównem wart. – Zrobił nieokreślony gest w powietrzu. – I nie zwalaj na to, że firma jest za mała.

– W takim razie po drugiej będę siedział do domu? – zapytałem i kaszlnąłem z zakłopotaniem. – I tak szef nic nie traci, że ja tu siedzę

– Tracę! Bo się nie spisujesz cały dzień. Jesteś w wieku produktywnym! Marnujesz się, Harys.

– Skoro tak szef uważa... – zawiesiłem głos.

– Dlatego dostaniesz nowe zadanie! – orzekł z triumfem w głosie. – Będziesz robił raporty sprzedażowe. Takie jak ci napiszę.

– Nie wiem, czy będę umiał.

– E tam, kurwa. Nauczysz się. Do tej pory tworzył je Junior, więc zrobi ci szybkie szkolenie. Ja go będę wcześniej do żony i dzieciaka puszczał, żeby trochę z nimi posiedział – zarządził stanowczo.

– Dobrze, a jak z...

– Wynagrodzenie jak księgowego. A roboty na góra dwie godziny – wyszczerzył się.

Kilka dni później wcale mnie nie zdziwiło, że stworzenie tylu wymaganych przez niego raportów i monitorowanie wydajności pracowników to zajęcie na dłużej niż dwie godziny. Gdy zrobiłem się w tym naprawdę dobry, zajmowało mi to średnio około trzech. A pracowałem na etat i płatność za nadgodziny była niemożliwa. Tak więc na początkowym etapie zostawałem nawet do wieczora, byle tylko spełnić to, czego ode mnie oczekiwano. Wszelkie prośby o zmniejszenie zakresu obowiązków albo płatność za nadgodziny była zbywana przez Lestera machnięciem ręką, a przez Juniora parsknięciem. Oboje za to byli zgodni w tym, że jak mi się nie podoba, to mogę wypierdalać. Raz mi nawet Lester pokazał ilu miesięcznie aplikuje osób do firmy „L&J”, udowadniając mi tym samym, że nie będą za mną płakać.

Wdrożenie mnie w tworzenie raportów sprzedażowych było momentem przemiany sztucznie uśmiechniętego Juniora, w prawdziwie podłego Juniora.

Niedaleko spada jabłko od jabłoni, pomyślałem wtedy. Pomimo całkowicie innej aparycji, Lesterzy byli bardzo podobni charakterem. Junior miał wyostrome wszystkie te cechy, które stary Lester ukrywał pod arogancją i naburmuszeniem.

– Czytać i robić. – Junior rzucił mi na biurko książkę i jakiś skoroszyt. – To poradnik do arkuszy kalkulacyjnych i prezentacji. – Pacnął palcem w książkę. – A to przykładowe raporty, które kiedyś robiłem. – Pacnął w skoroszyt.

– A nie pokażesz mi jak to się robi? – zapytałem wyciągając rękę po materiały i patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Nawet małpa to załapie – parsknął. – Zrób mi od razu monitoring Bernarda. Z wczoraj i z zeszłego tygodnia. I dwa raporty sprzedaży firmy Ergo-Net. Potraktuj to jako test.

– Dobrze, postaram się, chociaż nie wiem, czy mi się uda, skoro mi nie pokazałeś.

– Mówię ci, nawet małpa to ogarnie. Melduj się do ojca jak skończysz, ja spadam do domu – rzucił już wychodząc, odwrócony plecami.

Gdyby nie pomoc Bernarda, mógłbym siedzieć wtedy i do rana, a powinienem się wyrobić przed wyjściem starego Lestera. A Lester spojrział, pokręcił nosem i powiedział, że się nada, jeżeli dodatkowo zrobię wykaz nieudanych sprzedaży i spis potencjalnych firm oraz klientów w danym regionie, by podsuwać je innym pracownikom. A osób marnujących swoje życie tam gdzie ja było około dziesięciu.

Junior to typ konfidenta, który połową gęby uśmiecha się do ciebie, a drugą połową nadaje za twoimi plecami o wszystkich potknięciach. I niech by to były chociaż jakieś faktycznie warte uwagi sprawy, ale gość robił problem z krzywo złożonego podpisu, pogniecionej faktury czy braku papieru toaletowego w kiblu. I mówię poważnie, a to moja ulubiona historia, która wzbudza we mnie śmiech z rozpaczy.

To zdarzyło się w zeszłym roku, jakoś na początku lata. Junior ciągle kręcił się po korytarzu, jakby miał sraczkę, a chyba miał, i co chwilę widziałem go jak szybko przemyka koło mojego stanowiska. Nie nazwę tego pokojem, ponieważ firma mieściła się w biurze w stylu „nowoczesnym” i zamiast ścian wszędzie były wstawione szyby. Ten, kto był ważny i się liczył miał na szybach żaluzje, ja z oczywistych względów nie miałem. Posiadali je tylko Lester i Junior.

Niemniej jednak, Junior latał w tę i z powrotem co kilkanaście minut i kątem oka obserwował czy się przypadkiem ktoś się na niego nie gapi. A ja się gapiłem, jako że każdy szybki ruch mnie często rozprasza i mimowolnie skupiałem na nim uwagę. Junior zapewne odebrał to na opak, że niby go obserwuję i się z niego nabijam, bo musi latać co chwila do kibla się wypróżnić.

Ale w końcu i mnie potrzeba złapała. Poszedłem do toalety i zrobiłem co musiałem. Przepraszam, że o takich rzeczach ci mówię, ale to dość zabawna historia. Zrobiłem, oraz niefortunnie zużyłem do końca jedyną rolkę papieru, która i tak była zabiedzona przez tego gościa srającego płynami. Nie przejąłem się tym zbytnio, ponieważ dla mnie starczyło i wróciłem z powrotem wypełniać faktury, drukować umowy i robić raporty.

Nie minęło kilka minut i znowu zobaczyłem Juniora jak cały czerwony i spięty zasuwa drobnym kroczkiem do kibla. Już domyślałem się, co może się stać, jako że stary Richard Lester to straszna sknera i oszczędza nawet na srajtaśmie. A ta rolka, którą wykończyłem wyglądała mi na ostatnią.

Zleciało dobre kilkanaście minut i zadzwonił mój telefon.

– Jeżeli to miał być żart, to może cię on pozbawić roboty – usłyszałem w słuchawce głos Juniora odbijany echem z kibla.

– Jaki żart?

– Nie rób ze mnie głupka. Przyjdź i podaj mi jakiś papier.

– A skąd ci wezmę? Trzeba iść i kupić. Polityka oszczędności w firmie, pamiętasz? Nawet umowy drukuję teraz w najgorszej jakości roboczej.

– Drwisz sobie ze mnie? Zapierdalaj do sklepu albo pogadamy inaczej! – wyrzeszczał do słuchawki. – Myślisz, że taki jajcarz z ciebie?

– Co ty się do mnie przyczepiłeś, człowieku? Mało ci pomiatania mną na co dzień? Mam robotę. I tak będę musiał zostać pewnie po godzinach, jak zawsze, i nikt mi za to nie zapłaci. Więc, cześć.

Mogłem mu iść po ten pieprzony papier, ale zamiast tego wolałem podsunąć mu pod drzwi jego skoroszyt ze starymi raportami.

– Pokazałbym ci kim dla mnie jesteś, ale jesteś nikim, więc ci nic nie mogę pokazać – usłyszałem stłumiony głos za drzwiami, pełen wstydu i rozpacz.

Chyba załapał aluzję.

Wróciłem do stanowiska i zwiększyłem głośność w radiu, które stało u mnie biurku, nastawione na stację ze starymi przebojami. Właśnie leciało *All You Need Is Love*.

ROZDZIAŁ 5

Robert i Anna zalewali się łzami ze śmiechu ku autentycznemu zdziwieniu policjanta, który wciąż oczekiwał na przyjazd psychologa. Dziwne zachowanie dwójki na barierce odebrał jako napad szaleństwa, lecz dla postronnego obserwatora wyglądałoby to jak niecodzienna randka.

– Czy nie warto dla takich chwil żyć? – zapytała Anna.

Robert jednak wiedział, że to tylko chwilowy przypływ endorfin, który zniknie równie szybko jak się pojawił. A wtedy powróci filtr szarości, przez który obserwował świat. Trwał jednak w tym ułamku radości, czerpiąc z niego pełnymi garściami, ponieważ zdawał sobie sprawę, że będzie to jego przedostatni pokaz doraźnego szczęścia, jaki mu serwuje rzeczywistość. Ostatnim będzie ułamek sekundy przed śmiercią, gdy jego rozpedzone ciało zbliży się błyskawicznie do szumiącego potoku rzeki.

– To tylko wspomnienie. Nie mogę żyć wspomnieniami. Próbowałem przez ostatnie kilka lat, jednak to wyniszcza od środka. – Robert momentalnie przybrał poważną minę. – Przykrych wspomnień jest dużo więcej.

– A nie możesz tak żyć, by przyjemnych wspomnień było więcej?

– Próbowałem.

Zamilkł. Spoglądał w zamyśleniu na ulicę i budynki.

– Ludzie są sztuczni, fałszywi – kontynuował po dłuższej chwili. – Potrafią udawać zainteresowanie, miłość czy troskę. A to tylko makijaż na charakterze, który rozplywa się z każdą chwilą spędzoną na ich krytycznej analizie. Przybierają tożsamości zastępcze byleby tylko nakarmić swoje ego. Szukają, w czym druga osoba może im się przydać. Czy może zaspokoić seksualnie, czy może wspomóc finansowo, czy potrafi zrobić to i owo, czy opowiada ciekawe rzeczy, czy urozmaici szare życie? A potem chcą drugiego zmiąć i wyrzucić za siebie. Iść dalej, szukać następnej osoby, która będzie przydatna w jakikolwiek sposób. Robią podłe rzeczy, ale nie traktują tego jak coś złego. Tłumaczą sobie: „To jest złe dopiero jeśli nas na tym przyłapią”.

– Tak właśnie działa ten świat – potwierdziła Anna.

– To nie dla mnie.

– Kwestia przyzwyczajenia.

Robert nie odpowiedział. Obiegał wzrokiem dryfujące po niebie chmury.

– Wiesz... – zaczął. – Lubię to złudne przeświadczenie, że wszystko toczy się kołem mojego dobra.

- Sądysz, że tak miało być?
- Tak, wszystko. Ale z drugiej strony wszystkiego żałuję.
- Gdybyś nie żałował, to by cię tutaj nie było.
- Właśnie dlatego sędzę, że tak będzie dla mnie najlepiej. – Wskazał rwący potok. – Ten, kto stał się dla świata takim, jakim świat jest dla niego, przegrał walkę o dobro. Ja przegrałem. Stałem się złym człowiekiem.
- Dużo w tobie sprzeczności – stwierdziła Anna i zadrżała z zimna od podmuchu wiatru.
- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. – Opuścił wzrok.
- Czy coś się stało? – Spojrzała na Roberta podejrzliwie. – Czy nie powiedziałeś najważniejszego?

ROZDZIAŁ 6

Wczoraj po południu straciłem pracę i narzeczoną.

Ostatni dzień w pracy spędziłem w spokoju, za biurkiem. Wykonywałem telefony do partnerów biznesowych, tłumaczyłem się z beznadziejnych ofert mojej firmy i błagałem o jakiegokolwiek chęci współpracy. Tylko po to, by zyskać pieniądze, które zamiast na rozwój firmy, zostaną przeznaczone na zachcianki Lesterów. A potem zrobiłem z tego raport. W zasadzie, jedynym celem istnienia spółki „L&J” było balansowanie na skraju bankructwa. Jak najdłużej i jak najtaniej. Wszystko było równie tandetne, co sprzedawany przez nas sprzęt kuchenny. Wszystko, prócz własności samych Lesterów, którzy zagarniali do własnej kieszeni większość zysków z każdego kontraktu i każdej sprzedaży. Zamiast rozwoju, stawiali na rozkład – powolną agonię, która miała pociągnąć na dno wszystkich pracowników, łącznie ze mną. Oni natomiast, na trawie ze złota, odpłynęliby w kolejny interes, z którego można wyssać jak najwięcej.

– Harys, ten dzień musiał kiedyś nadejść.

Kwadrans przed końcem pracy przyszedł do mnie stary Lester i rzucił pojedynczą kartkę papieru na biurko. Na górze, pod nagryzmołoną datą, widniało pogrubione słowo „Wypowiedzenie”.

Nawet wypowiedzenie wydrukowali mi w najgorszej jakości roboczej, pomyślałem.

Po chwili zjawił się Lester Junior i stanął obok ojca z założonymi rękami. Uśmiechał się krzywo, obserwując z radością moją reakcję, wdeptując mnie myślami w ziemię.

– Wypłatę dostaniesz dopiero, gdy zamkniesz ten miesiąc – dodał, gdy z moich ust nie padło żadne słowo. – Jak zawsze oczekuję pełnego raportu, który mi streścisz. Bez żadnego zbędnego pierdolenia i wykresów.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Dlaczego, co? – warknął ze zniecierpliwieniem. Zadawanie pytań zamiast wydawania rozkazów było dla niego ujmą.

– Dlaczego wypowiedzenie – powiedziałem cicho.

– Uznajmy, że cięcia budżetowe. Poza tym, nie oszukujmy się, kiepsko ci szło.

– I nie oszukujmy się – wtrącił Junior – mój ogrodnik ma wyższe kwalifikacje od twoich.

– Faktycznie, mój również – zaśmiał się podle Lester. Jego charkot przypominał wycie świni. – Ale to Ukrainiec, więc jego wykształcenie tutaj jest niewiele warte.

– Harys za to ma polskie korzenie. Matka czy tam babcia. – Machnął ręką od niechcenia Junior. – Kiedyś coś tam pierdolił.

Milczałem.

– To jak z tymi korzeniami, Harys? – zapytał cynicznie, gdy zauważył brak mojej reakcji.

– Rodzice byli Polakami.

– Powiedz coś po polsku, Harys. Macie taki fajny język, szeleszczycie jak tarמושona reklamówka.

Oboje zarechotali, a Juniorowi było aż tak do śmiechu, że pacną ręką o kolano.

– Dobra, koniec żartów. Twoje obowiązki przejmie Franklin. – Lester wskazał paluchem w kierunku, w którym w linii prostej stało biurko Josepha Franklina, poczciwego introwertycznego pięćdziesięcioparolatka. – Póki ta firma jeszcze dycha.

– I póki Franklin jeszcze dycha – mruknąłem.

Niejednokrotnie każdy z nas musiał zostawać dłużej po pracy, by się ze wszystkim wyrobić. Teraz biedny Franklin będzie musiał tyrać za dwóch, i to najprawdopodobniej bez żadnej podwyżki.

– Co?! – warknął znów Lester, krzywiąc się od niedosłyszania.

Lester Junior naładowywał się każdym negatywnym napięciem, które płynęło z mojego ciała. Gdy zauważył żyłę na mojej skroni, pełną wstydu, stresu i rozpacz, zakołysał się na palcach, jakby chciał się unieść z radości ku niebu.

– Rozumiem – odparłem. – Raport dokończę jeszcze dzisiaj, żeby jutro go przedstawić na spotkaniu.

– To jutro rano ostatni raz widzę twoją dupę, Harys.
Jestem pewien, że miał wtedy ochotę na mnie splunąć.

W drodze do domu zacząłem przeczuwać, że to nie jedyna przykrość jaka mnie spotka tego dnia. W końcu nieszczęścia chodzą parami. Układałem tysiące możliwości na powiedzenie mojej narzeczonej, że straciłem pracę. Analizowałem tysiące jej reakcji. Jednakże wszystkie miały to samo, pełne żalości i pogardy spojrzenie, przez które przebijała myśl, że popełniła największy błąd swojego życia w momencie stworzenia ze mną stałego związku. Lub jakiegokolwiek związku.

– Trzeba naprawić kran w kuchni – powiedziała oschle, gdy przekroczyłem próg mieszkania, nawet na mnie nie spoglądając. Mignęła mi tylko szybko przechodząc z kuchni do pokoju, wycierając ręce w ręcznik, sprawiając wrażenie, że jest w trakcie wykonywania bardzo ważnych domowych spraw.

W istocie, całymi dniami przesiadywała w domu, pisząc na pół etatu do popularnego babskiego czasopisma „FQ”, którego rozwinięciem było „Female Quality”. Nawet na te pół etatu zarabiała więcej ode mnie, czego nie omieszkała mi wypominać przy każdej nadarzającej się do tego okazji. To był jej pierwszy punkt zaczepny przy wszystkich utarczkach słownych, sprzeczkach i kłótniach. Jeden z wielu, gdy uświadamiała mnie o mojej beznadziejności. Jednakże teraz będzie go musiała przemodelować, jako że godzinę wcześniej przestałem w ogóle zarabiać.

– Lisa, jest sprawa. Musimy porozmawiać – zacząłem, byleby tylko jakoś zacząć.

– Miałaś przynieść ziemniaki z piwnicy, przed pójściem do pracy – usłyszałem jej głos z pokoju.

– Dobrze, zaraz przyniosę. – Stałem w progu pomieszczenia i objąłem ją wzrokiem.

– Teraz mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Ty masz zawsze jakieś ważne rzeczy, które przeszkadzają ci w spełnieniu najprostszego obowiązku – westchnęła pompatycznie.

Znałem dobrze ten rodzaj westchnięcia. Wymuszone, teatralne, pełne pogardy i zażenowania. Im dalej się znajdowałem, tym głośniejsze wzdychała – tak, że bym słyszał. Westchnięcia w jej wykonaniu zastępowały całe zdania, wszystkie o negatywnym znaczeniu. Mógłbym uznać ironicznie, że stworzyła cały odrębny język westchnień.

– No co takiego ważnego masz mi do powiedzenia? – odwróciła się do mnie, przerywając krzątanie się przy jakiejś bardzo ważnej pracy domowej. Najprawdopodobniej była to ta sama praca domowa, którą wykonywała zawsze – udowadnianie mnie i sobie, że

ona coś robi, a ja nie. Mogłoby to być nawet zwykłe podniesienie wazonu z kwiatami i przetarcie pod nim kurzu. Wystarczyło zaafelowanie, krzątanie i naburmuszenie, a już wiedziałem o co chodzi. Często dodawała do tego również westchnięcie.

– Dostałem dziś wypowiedzenie. – Staralem się powiedzieć to bez skruchy, by nie prowokować do ataku. – I tak nie lubiłem tej pracy. Jutro zadzwonię do magazynu i zapytam, czy nie szukają—

Westchnięcie.

Spojrzenie pełne żalości i pogardy.

A zwykłe „rozumiem” by wystarczyło...

„Rozumiem” padające z ust kobiety jest najlepszym komplementem dla mężczyzny.

– Wiesz co? Mam już tego dosyć – rzuciła oschle. – Do niczego się nie nadajesz, nic nie umiesz zrobić, nawet najprostszej pracy nie potrafisz utrzymać. A ja, głupia idiotka, zgodziłam się za ciebie wyjść.

– Przecież znajdę kolejną. Jest dużo pracy w mieście – wyjaśniłem, przyłapując się na małym kłamstwie. Pracy, owszem, było dużo. Ale nie dla osób bez żadnych kwalifikacji.

– I co? Będziesz znów jeździł z wózkiem po magazynie czy kopał rowy? A może chcesz sprzątać ulice? Chociaż pewnie nie, bo nawet w domu nie potrafisz posprzątać! – zaczęła wrzeszczeć. – Może od razu napiszę ci flamastrem na tekturce: „Jestem życiowym nedorajdą, masz drobne?”.

– Lisa, proszę cię, nie rób z tego awantury. Myślisz, że chciałem tego? Mówiłem ci, jacy są Lesterzy.

– Ty zawsze szukać winnych wokoło siebie, a sam jesteś niewiniątkiem! Pierdolę takie życie. – Minęła mnie i wyciągnęła z szafy z przedpokoju dwie torby. – Od tej pory masz całe łóżko dla siebie. Za dwie godziny mnie tu już nie będzie.

– To koniec? – zapytałem oszołomiony.

– Ewidentny – warknęła.

– Przecież to tylko praca, znajdę kolejną! – Rozłożyłem bezradnie ręce i po raz kolejny obserwowałem jak życie dzieje się bez mojej wiedzy i zgody.

– Tu nie chodzi tylko o pracę. Uzbierało ci się przez te dwa lata. Po prostu czar przysł, pogódź się z tym.

– Nie chcesz spróbować tego naprawić?

– Nie chcę, mam dość. Nie taką wizję siebie w przyszłości miałam, nie takie życie sobie narysowałam. Jesteś nieudacznikiem, kretynem i beznadziejnym kochankiem!

– Ale—

– A ten pierścionek zaręczynowy wciśnij jakiejś innej naiwnej trzpiotce.

Ściągnęła agresywnie pierścionek z palca i wepchnęła mi do dłoni. Pamiętam jak dziś moment, w którym się jej oświadczałem. W parku, przed wschodem słońca, po tym jak całą noc spędziliśmy spacerując i rozmawiając.

Dwie i pół godziny później już jej nie było.

Jak za machnięciem magicznej różdżki. Tak właśnie wydaje nam się, że przyszła zmiana. A to tylko nasze przyzwyczajenie ugrzęzło, jako że zmiana jest naturalnym stanem rzeczy. A machnięcia różdżki są wirem napędzającym cały świat.

Gdy usłyszałem ostatnie trzaśnięcie drzwiami, usiadłem na kanapie i siedziałem jak martwy, wgapiony ślepo w okno. Niebo wczoraj było wyjątkowo szare, całkowicie pozbawione swojej błękitności. Takie, jakby padało bez przerwy, od stu lat.

Przez kilka godzin o niczym nie myślałem. Czuję jak otępienie zabija mi wszelkie załączki myśli, pozwalając jedynie uczuciom od czasu do czasu spływać do serca. Rosła we mnie nienawiść, żal, ból, smutek i wszechogarniająca melancholia. Straciłem cały grunt pod nogami, który był jedynym mi znanym środowiskiem. Potrafiłem się w nim odnaleźć. Przychodziło mi to z ogromnym trudem, jednakże pozwalało na egzystencję, która w tym momencie była ze mnie wysysana przez tępe spoglądanie w okno. Nawet nie wiem czy mrugałem, ponieważ szczypały mnie oczy. Ale może to przez łzy.

Miałem nadzieję, że ten moment w moim życiu nigdy nie nastąpi. Dobrze zdawałem sobie sprawę, że pojawiał się u innych, że nadchodzi niespodziewanie. I to wtedy, gdy jeszcze przed chwilą wszystko było w najlepszym porządku. Moment, w którym stwierdzasz, że przegrałeś swoje życie.

Chwil, w których uznawałem, że coś spieprzyłem było mnóstwo, lecz przegrana jest jedna. Przegranej nie da się wycofać ani wynieść resztek tego, co się ostało. Przegrana definitywnie przekreśla jakiegokolwiek szanse na poprawę. A przegrani odchodzą. Zawsze. Nie ma sensu się wyklócać, skoro nie ma możliwości zmiany wyniku.

Chwila mojej przegranej była właśnie wtedy. To wcale nie tak, że dążyłem do niej nieświadomie, bądź sam sprowadzałem na siebie nieszczęścia. Przecież nikt nie życzy sobie źle. Na tym to właśnie polega. Żłudnie dążymy do lepszego jutra, by ostatecznie się przekonać, że to wcale nie tak miało być.

Przegrałem. Ze swoim udziałem, czy bez – to już bez znaczenia.

Siedziałem i myślałem o tych wszystkich ludziach, którzy siedzą przegrani, podobnie jak ja. Czy również zupełnie inaczej wyobrażali sobie swoje życie? Czy za odrobinę marzeń o komforcie psychicznym również przypłacili mimowolnym zrujnowaniem wszystkiego? I jakie mają wyjścia, prócz podejrzenia sobie żył? Mogą się jeszcze powiesić, utopić lub skoczyć z dachu. Strzelić w głowę, połknąć tabletki. Takie są właśnie bramki z wygranymi, dla takich jak ja.

Ludzie nie popełniają samobójstwa, ot tak sobie. Jest to trudna decyzja, gdy dochodzi się do ustalonego z samym sobą konsensusu, że już nie warto. Nie warto żyć, nie warto się starać i nie warto wpędzać się po raz kolejny w to samo dno. Myśl „to faktycznie nie ma już żadnego sensu” przynosi ulgę. Wszystkie zmory życia natychmiast się wyciszają, a problemy pustoszeją. Jednocześnie pojawia się ponury spokój, który pozwala skrupulatnie zaplanować swoje ostatnie chwile.

Już wiem dlaczego starzy ludzie tak łatwo godzą się na śmierć. Ponieważ wspomnienia to wszystko, co im pozostało. Podobnie jest z samobójcami, którzy akceptują wydany na siebie wyrok z identycznego powodu.

Jestem pewien, że wszystkie listy samobójców są podobne. Pisane ładnym i starannym pismem, bez przekreśleń, bez błędów. Dziękują, przepraszają, godzą się. Wyjaśniają resztkę otwartych spraw. Płynie z nich spokój, harmonia i pewien rodzaj delikatnej miłości, którą przez całe życie chcieli obdarować świat.

– Tato, tato! Patrz! – krzyknęła pewnego razu Alice. – Zdechła mucha!

– Gdzie kochanie? – zapytałem unosząc wzrok znad gazety.

– W pustej paczce po cukierkach! Fuuuuj – wykrzywiła usta i zasłoniła je drobną dłonią. – Zabierz ją.

– Być może dla niej były tam wspaniałe skarby, o których mogła sobie tylko do tej pory pomarzyć. Przepiękna i kusząca paczka po cukierkach czekała na nią na stole. – Uśmiechnąłem się do niej czule.

– Ale ja już wszystkie zjadłam – zachichotała. – No weź, zabieraj. Wyrzucisz razem z papierkiem? – Spojrzała prosząco.

Alice uważnie zbadła mnie wzrokiem. Jej ogromne, okrągłe i szmaragdowe ślepka pomrugiwały od czasu do czasu i chłoneły mnie jak gąbkę. Kolor oczu miała po mamie, podobnie jak i kolor włosów, który wskazywał wtedy na ciemny blond, jednakże byłem pewien, że z wiekiem pociemnieją do pełnoprawnego szatynowego. W tamtej chwili jej włosy

sięgały gdzieś do ramion. Gdzieś, ponieważ w większości sterczały niesfornie na boki, każdy w swoją stronę.

Była dość wątła i blada jak na swój wiek, ponieważ do drugiego roku życia miała problemy z przyjmowaniem pokarmów. Ale pomimo tego, jej wypukłe jak u lalki policzki były cały czas zarumienione, a rumieniły się jeszcze bardziej gdy cieszyła się i była zadowolona.

Uśmiechnąłem się najprawdopodobniej po raz ostatni.

Wydaje mi się, że na kanapie w mieszkaniu przez kilka godzin siedziałem tępo wgapiiony w przestrzeń. Wtedy też powstała we mnie pewna chora idea, którą zamierzałem zrealizować. Dzika rząda zemsty, niepodparta żadnymi wyższymi ideałami, mimo to dająca ogromne poczucie realizacji i postępowania właściwie. Mogłem się stać ręką sprawiedliwości, która w zwierzęcy sposób zrówna wszystkie wyrządzone krzywdy.

Gdy niebo zszarzało na tyle, by przybrać pierwsze odcienie czerni, wstałem i zapaliłem światło. Chciałem napisać list. Bez zbędnych tłumaczeń, bo i tak by nikt nie zrozumiał. Bez moralizowania i długiego myślenia nad kartką. Zaledwie podstawowe informacje dla kogokolwiek, który go przeczyta.

Mieszkanie wydawało się wyjątkowo małe. Na trzydziestu sześciu metrach kwadratowych nie mieściło się nic ponad próbę przeżycia z dnia na dzień. Żadnych wymyślnych urządzeń, żadnych gadżetów czy błyskotek dających powody do dumy, nadających status. Nic, czym można było się pochwalić komukolwiek.

W jednym pokoju stare, lekko odrapane meble, dorwane z przeceny jako towar z ekspozycji. Dwa regały, półka i szafa – i tak za dużo jak na tak małą powierzchnię, co sprawiało, że pokój robił się jeszcze mniejszy. Przy kanapie duża ława, nigdy nie rozkładana ze względu na brak miejsca i brak gości. Do niej dosunięty drewniany fotel z poniszczonym granatowym obiciem, przeważnie obrócony w kierunku telewizora, jako że jedno z nas siedziało na fotelu, a drugie na kanapie. Jedynie w lepsze dni siedzieliśmy obok siebie.

Biuro było w drugim pokoju, tam pracowała Lisa. Teraz puste, z jedynie kilkoma pogniecionymi papierkami w szufladach i wypisanym długopisem na blacie. Łóżko było jedno, rozkładane, kupione z trzeciej ręki. Po rozłożeniu brakowało miejsca na poruszanie się po podłodze, więc z łóżka wchodziło się praktycznie od razu do przedpokoju. I tak z trudem, ponieważ trzeba było dosunąć całkowicie krzesło do biurka i przymknąć drzwi wejściowe do pokoju, by została jedynie niewielka szpara na przejście. Kiedyś te drzwi wymontowałem, by

ułatwić poruszanie, ale po którejś kłótni z Lisą kazała mi je wstawić z powrotem. Powiedziała, że nawet nie chce oddychać tym samym powietrzem co ja i zamykała się na całe dnie, wychodząc jedynie do łazienki i do lodówki. Ja spałem na kanapie.

Wszystkie te myśli i wspomnienia zaczęły się we mnie kotłować gdy rozglądałem się po mieszkaniu w poszukiwaniu kartki i długopisu.

ROZDZIAŁ 7

Starszy mężczyzna wracał ze spaceru w parku, gdy na moście ujrzał radiowóz z otwartymi na oścież drzwiami. Powiódł wzrokiem w kierunku, który wskazywały drzwi, tak jakby był to wyciągnięty palec wskazujący, i ujrzał kobietę i mężczyznę siedzących okrakiem na barierce mostu. Mężczyzna nieustannie mówił do kobiety, która wydawała się pilnie słuchać. Nie widział jej twarzy, jako że była odwrócona plecami. Ale pomimo słabego starczego wzroku, w twarzy mężczyzny dostrzegał zawód. Ukryty gdzieś pomiędzy grymasami i czytelny tylko dla tych, którzy widzieli w życiu wiele cierpienia. Kilkanaście metrów od nich stał młody czarnoskóry policjant, który niecierpliwie przebierał z nogi na nogę i rozglądał się w obie strony drogi, jakby kogoś oczekiwał.

Widok ten dla staruszka był groteskowy i abstrakcyjny. Przez chwilę myślał, że kręcą jakiś film, toteż zatrzymał się na chwilę i bacznie przyglądał całej scenie. Zdjął grube okulary i przetarł je delikatnie koszulą, by lepiej widzieć. Jednakże po założeniu ich z powrotem, nadal nie dostrzegał żadnej ekipy filmowej i kamer, toteż ruszył powoli nie bacząc już na to, że wpakuje się nieproszony na plan.

Mężczyzna na moście dostrzegł staruszkę, a jego oczy przybrały jeszcze smutniejszy i zawiedziony wyraz. Starszy mężczyzna poczuł się jak nieproszony gość, jednakże to była jedyna możliwa droga, by mógł wrócić do domu.

– Przepraszam, dzieje się coś? – podszedł niepewnie do policjanta i zapytał.

– Dwójka samobójców. Albo przynajmniej jeden, ten mężczyzna. – Dwayne wskazał palcem Roberta, tak jakby na moście było kilku mężczyzn. – Proszę nie przeszkadzać i udać się w swoją stronę.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytał delikatnie dziadek.

– Nie wydaje mi się.

Dwayne chwycił staruszkę pod ramię, jakby chciał go odprowadzić, jednakże szybko zrezygnował. Przez chwilę pokręcił się w miejscu i odwrócił z powrotem do Roberta i Anny, by nie stracić ich z oczu.

– Nazywam się William Patrick Crick, panie policjancie – wypiął dumnie pierś na tyle, na ile pozwalał mu chory kręgosłup. – Myślę, że mógłbym porozmawiać z tym człowiekiem i przemówić mu do rozsądku.

– Obecnie czekamy na przyjazd psychologa. Myślę, że to najje—

– Mój syn popełnił samobójstwo! – krzyknął Crick i lekko zakasłał, gdyż jego stare struny głosowe nie były przyzwyczajone do takiego wysiłku. Kilka odkaszlnięć wydawało się je oczyścić z pajęczyn. – Prawie pół roku temu!

Robert odwrócił głowę i przyjrzał się uważnie staruszkowi. Był to kościsty, lecz postawny siedemdziesięcioparolatek, który poprzez grube szkła okularów patrzył mu prosto w oczy, mimo że był dobre kilka metrów dalej. Plamy wątrobowe cętkowały całą jego twarz, najbardziej uwidaczniając się na przerzedzonej łysiną czaszce, na której gęstsze partie siwych włosów zachowały się jedynie nad uszami. Spodnie miał nieco przykrótkie z wciągniętą w nie koszulą, co dla Roberta było cechą charakterystyczną dla każdego poczciwego staruszka. Sympatycznego wyglądu dodawały mu także szelki, które od razu przywodziły Robertowi na myśl własnego dziadka. Jego dziadek, ojciec ojca, nosił szelki ze względu na raka, którego nabawił się pod koniec życia. Schudł tak, że każde spodnie sprzed choroby wymagały dodatkowego podwieszenia.

Robertowi zrobiło się ponownie przykro. Jak zwykle.

– Mój syn powiesił się 23 marca tego roku – kontynuował Crick. – Wiesz jaką przykrość sprawił tym swojej rodzinie? Do dziś nie mogę się z tym pogodzić.

– Ja już nie mam rodziny – skwitował Robert. – Nie chcę z nikim innym rozmawiać, prócz tej kobiety.

– A więc tu cię boli. – Crick uniósł triumfalnie rękę w górę, jakby właśnie go rozgryzł. – Samotny człowiek w swoim bólu, praca do kitu, brak miłości i spełnienia. Czasem może się wydawać, że wybór jest dokonany. Nigdy jednak nie ma przekreślonej drogi z powrotem, nawet jeżeli powrót miałaby trwać całe życie.

– A co pan o mnie może wiedzieć? – Robert zmarszczył brwi.

– Nic. Nie wiem zupełnie nic – zadumał. – Ale chętnie się z tobą na życia zamienię. Jesteś młody, silny. Tyle pozostało do przeżycia.

– Każdy ma swój czas i wykorzystuje go jak może – odparł Robert, nie wiedząc co powiedzieć.

– Mój został skrócony, o dużo za dużo – westchnął Crick. – Od pół roku walczę z rakiem. Został mi najwyżej rok. A czuję jakbym mógł dość do setki!

– Przykro mi to słyszeć. Mój czas też został skrócony, ale na własne życzenie.

– Możesz żyć, ale nie chcesz. Ja nie mogę żyć, ale chcę. To ci dopiero ironia losu.

Z rozmowy wyrwał ich warkot samochodu. Od strony parku nadjechał stary pomarańczowy Dodge z nieco startym od piasku lakierem. Zahamował tuż przy radiowozie z piskiem, jednakże nie opon, lecz klocków hamulcowych. Ze środka wysiadła zadbana i młoda blondynka, która tylko w jeden pokrętny sposób pasowała do pojazdu – wyglądali jak piękna i bestia.

– Kogoś ładnie popierdoliło, żeby mi kazać takim gratem jechać – rzuciła arogancko do policjanta. – Ty jesteś Dwayne Murphy? Jestem Laura Sanders, znamy się chyba ze słyszenia.

– Tak. Miło mi. – Wymienił z nią delikatny uścisk ręki i wskazał palcem na Roberta. – To tamten.

– A ta kobieta?

– Rozmawia z nim, próbuje go odwieść od skoku.

– Nieźle – rzuciła. – Ktoś odwala moją robotę. Sam tu jesteś? Gdzie jest twój partner?

– Wypełnia od rana protokoły. Było kilka morderstw w nocy, wszyscy mają pełne ręce roboty.

– No tak, mówili w radiu. Ile ofiar?

– Dużo. Chyba pięć. Być może to ten sam sprawca.

– To dość niepokojące. W takim małym mieście rzadko zdarza się coś takiego.

– Słyszałem, że masz doświadczenie ze skoczkami, to prawda? – zapytał Dwayne z nieskrywanym zaciekawieniem, jakby właśnie poznawał kogoś sławnego.

– Miałam dwa latawce. Ale spławika żadnego.

– To znaczy?

– Oboje skakali z budynku, a ten tutaj chce do wody.

– Uratowałaś ich?

– Można tak powiedzieć. Zagadałam ich na tyle długo, że musieli skoczyć na strażacki materac – odparła i wskazała palcem w stronę rzeki. – Tutaj, jak widzisz, to raczej niemożliwe.

Dwayne stał jeszcze bardziej skołowany. Laura odwróciła się na obcasie w stronę barierki i ruszyła pewnym kobiecym krokiem do Roberta. Szła z gracją i zmysłowością,

Robertowi przypominającą nieco sekretarkę–kusicielkę, która pochyła się za nisko po upuszczoną kartkę, aby zwrócić uwagę szefa. Jej życie mocno się od tego nie różniło. Część swojej kariery obeszła skrótem, korzystając niejednokrotnie ze swojego atrakcyjnego wyglądu. Była idealnym przykładem na potwierdzenie teorii, że piękni mają w życiu łatwiej – a zwłaszcza kobiety. Zdawała sobie z tego całkowicie sprawę i używała wszystkich możliwych kobiecych chwytów, byleby zajść jak najwyżej, póki jest młoda i atrakcyjna. W miarę starzenia, chciała osiąść na wygodnej mieliźnie i pozostać tam nienaruszona w dobrobycie, który wypracowała sobie za młodu. Wiedziała, że ma to niewiele wspólnego z godnością i szacunkiem do samej siebie, jednakże profity wynikające z takiego zachowania przyćmiły wszelkie wyższe wartości.

Robert zmrużył oczy, by jej się przyjrzeć z daleka i dobrać odpowiednią reakcję. Sytuacja już dawno zaczęła się wymykać spod jego kontroli, co wcale nie było dla niego nowym doświadczeniem życiowym. Nawet samobójstwo, które skrupulatnie zaplanował, był w stanie spieprzyć niczym rasowy życiowy nieudacznik.

Laura miała blond włosy spięte w zalotną kitkę, dyndającą jak wahadło napędzane swobodnym nonszalanckim krokiem. Jeden niesforny kosmyk włosów, który nie dał się spiąć gumką, opadał jej na policzek. Miała mocne rysy twarzy, wręcz wyciosane. Odpowiedni makijaż jednakże przeobrażał te ostre krawędzie w piękną i spójną buzię z charakterem. Komponującym się z całością dodatkiem były okulary z grubymi, czarnymi oprawkami, nadającymi znamiona inteligencji. Jej jasnoniebieskie oczy wiały chłodem i zyskiem.

Była zbyt pewna siebie – takie osoby go przerażały. Bez problemu mogła narzucić mu swoje zdanie, zgnieść, zdeptać i wypluć. To przez takie osoby siedział właśnie na barierce mostu.

– Posłuchaj, nie musisz tego robić – powiedziała czule, lecz sztucznie. Dla Roberta zabrzmiało to jak wyuczona formułka. – Porozmawiajmy.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że nie muszę, aż taki głupi nie jestem – rzucił jej arogancko. – Ale za to chcę.

– Przykro mi, że zdecydowałaś się na tak drastyczny krok – mówiła bez zająknięcia, baczenie mu się przyglądając. – Ale czy nie warto tego przemyśleć? Możemy przeanalizować wszystkie alternatywne rozwiązania razem.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

– Pozwól sobie pomóc.

– Powiedziałem, że nie chcę z tobą rozmawiać. Tak trudno to zrozumieć? Mam kogoś lepszego do rozmowy. Kogoś kto chce mi naturalnie pomóc, a nie dlatego, że musi i mu za to płacą – odparł stanowczo.

– W porządku, w porządku – powiedziała Laura robiąc krok do tyłu. – To czy ja mogę w takim razie posłuchać? Chciałabym poznać twoją historię, wtedy z pewnością będę mogła coś doradzić.

– Nie obchodzą mnie twoje rady. Nie chcę ich słuchać. Jeżeli chcesz, bym rzucił się już teraz, to śmiało gadaj dalej. – Robert gestykulował agresywnie. – Chcesz mnie wkurzyć swoimi wymuszonymi próbami niesienia pomocy? Dobrze ci idzie! Już raz powiedziałem, że nie chcę z tobą rozmawiać i nie mam zamiaru się powtarzać!

Laura stała jak wryta z szeroko otwartymi oczami. Jej pewna siebie poza lekko zwiotczała.

– Jeżeli—

Chciała coś powiedzieć, ale przerwała. Robert zszedł na drugą stronę barierki i przechylił się całym ciałem w stronę rzeki, by pokazać, że jest bliżej skoku niż pozostania na moście. Jednym gestem, który dotarł do wszystkich, zaprezentował bez wahania swój wybór.

Anna zasłoniła usta z przerażenia. Dwayne nabrał powietrza w płuca i zamarł. Chciał zacisnąć oczy ze względu na obawę przed koszmarami przez resztę życia, jednak pozostawił je przymrużone, gdy wygrał naturalny odruch ciekawości. Crick cały zbladł i zacisnął ze stresu pięści, a jedyny posmak czerwieni pozostał mu na drżących policzkach.

Robertowi wydawało się, że całe otoczenie zastygło, oczekując biernie na dalszy przebieg jego gestu rozpaczki. Z ulgą zdał sobie sprawę, że zadziałało. Szczując ich swoim życiem mógł wywierać wpływ, gdy jego prośby i wymagania nie były spełniane. Jednakże z drugiej strony poczuł się jak bezradny idiota, który musiał korzystać z ekstremalnych zachowań, by jakkolwiek dotrzeć do ludzi.

Spadł we własnych oczach jeszcze niżej, na poziom tych wszystkich, których nienawidził. Po tej myśli zwolnił nieco uścisk na barierce, jednak przed całkowitym puszczeniem powstrzymał go brak odwagi. Wiedział także podświadomie, że musi dokończyć historię, wszystko wyjaśnić i ostatecznie zamknąć rozdział w poczuciu, że jest jak w pełni napisana powieść.

Podciągnął się z powrotem i odzyskał równowagę. Postanowił jeszcze nie siadać.

– Zamkniesz się? – zapytał z podłym szaleństwem w głosie. Całe życie czekał na moment, w którym będzie mógł kontrolować sytuację. Iskra niepoczytalności zabłysnęła w jego czerwonym od przeżyć oku.

– Zamknę się, jeżeli coś mi obiecasz – powiedziała Laura cichym drżącym głosem. –
Postoję sobie tutaj i pozwolisz mi posłuchać o czym mówisz.

– Żartujesz sobie? Warunki mi stawiasz?

– Proszę cię. Chciałabym cię poznać. Na pewno warto.

Coś w nim drgnęło. Trafiła w czuły punkt, z czego zdawał sobie w pełni sprawę. Pozwolił się polechtać, nawet jeżeli miało to być sztuczne i wyuczone. Rzadko kiedy spotykał się z tym w codziennym życiu, toteż nawet namiastka zainteresowania sprawiała, że poczuł się ważny.

Usiadł na barierce z powrotem.

– Dobrze – powiedział z odrobiną łaski.

Teatr należał do niego.

– Napisałeś list pożegnalny? – padło z ust Anny po długiej grobowej ciszy.

Gdy Robert spojrzał jej w oczy, cały świat dookoła nagle przestał go obchodzić. Siedziała spokojna jak zawsze. Jej spojrzenie płonęło ciepłym zrozumieniem, którego nigdy tak mocno nie doświadczył.

– Nie przejmuj się nimi, rozmawiaj ze mną – powiedziała łagodnie. – To co z tym listem?

ROZDZIAŁ 8

Napisałem, chociaż sam nie wiem dla kogo. Zostawiłem go po prostu na stole w kuchni, obok rachunków, ulotek i innych zbędnych papierów. Kilka stron zapisanych starannym i wyraźnym pismem, zaadresowanych w zasadzie do ogółu cywilizacji. Wyjaśniłem swoją sytuację, swoje motywacje i przedstawiłem argumenty. Zrobiłem to bardziej dla samego siebie, by zrobić ostateczne podsumowanie, wygarnąć wszystkie za i przeciw w przyjemnej dla oka formie listu. Nie zależy mi na tym, by ktokolwiek go przeczytał. Być może, gdyby istniała jeszcze jakakolwiek osoba na tym świecie, którą obchodzę – wtedy mógłbym go pozostawić w widocznym miejscu, zakleić w zdobioną kopertę i podpisać. Z drugiej jednak strony, gdyby istniała taka osoba, to zapewne bym nie popełniał samobójstwa.

Pewnie chcesz wiedzieć, co napisałem.

„Zawsze chciałem spokojnie istnieć i nie wadzić nikomu. Snuć się gdzieś w swoim świecie i co jakiś czas zahaczać o ten świat ogólnodostępny, tylko by załatwić najważniejsze sprawy. Marzyłem by nie wpaść w tarapaty, by nikt mi celowo nogi nie podłożył oraz by mieć gdzieś tę swoją jedyną przystań, w której znajdę ciszę, spokój ducha i ukojenie.

Ale marzenia może i się spełniają, ale nigdy nie okazują się być tym, czym powinny. A może to tylko ja jestem jakiś trefny? Czy marzenia innych po spełnieniu są tymi wszystkimi fantazjami przełożonymi w rzeczywistość? Jeżeli tak, to nie mam tu czego więcej szukać. Przecież ile razy można się zawodzić na świecie, którego wartości i zasady odrzuca mój własny organizm. Moje serce się nie przyjęło tutaj, zupełnie jak nieudany przeszczep.

Są ludzie, którzy robią okrutne rzeczy, zostawiając całe rodziny i przyjaciół. Wpędzają ich w rozpacz swoim egoistycznym postępowaniem, podczas gdy szczęście mają na wyciągnięcie ręki. Ja, osoba samotna i pozostawiona przez wszystkich, zapomniana i zepchnięta na margines, postanowiłem zrobić to, co zrobiłem dopiero po głębokiej analizie. Przeglądając w głowie wszystkie możliwe relacje, doszedłem do wniosku, że wszystkim będzie obojętne co zrobię oraz co się ze mną stanie. Wieść o śmierci będzie dla nich takim samym szokiem, jak śmierć kolejnego anonimowego szaraka, którego przypadkiem widzieli. Zamyślą się na moment w chwili refleksji, a następnie powrócą do swoich codziennych obowiązków, zmywając z siebie poczucie, że mnie kiedykolwiek znali. Są i tacy, których moje czyny mogą ucieszyć lub chociaż wywołać lekkie zadowolenie. Oczywiście na zewnątrz przywdzieją grymas tej samej refleksji, jednakże wewnątrz nastąpi uczucie co najmniej ulgi lub też nawet radości. Stwierdzą, że wszystko wydarzyło się tak jak powinno, lub też uznają, że samoistne naprostowanie się spraw oznacza łatwiejszy dla nich byt. Mimo że raczej nikomu nie zawadzałem, to z pewnością kilka takich osób mógłbym wymienić.

A kogo to faktycznie zaboli? Mógłbym z pewnością wskazać na rodzinę, gdybym jakkolwiek jeszcze posiadał. Córka, którą kocham ponad życie, została zindoktrynowana przez matkę i nowego ojca, by znała mnie tylko jako pewnego pana, który bawił się z nią w dzieciństwie. I nie ma się tu co dziwić ani wskazywać na wredne i złośliwe zachowanie nowej pary, ponieważ tak było dla niej lepiej i zapobiegło wielu niepotrzebnym cierpieniom jej młodziutkiej duszyczki.

Być może kiedyś, gdy dojrzeje, wspomni mnie albo zapyta kim byłem. Wtedy będzie można wskazać jej cmentarz i wytłumaczyć, że zmarłem śmiercią naturalną. Bo przecież na każdym etapie ewolucji słabe jednostki ginęły naturalnie, pozbawione umiejętności i możliwości do życia. Tak więc w przyczynie zgonu proszę mi wpisać „selekcja naturalna”.

Z poważaniem, Robert A. Harys.

P.S. Przepraszam za wszystko co zrobiłem.”

ROZDZIAŁ 9

Kilka drzew rosnących tuż przy korycie rzeki zaszumiało. Ich gałęzie zafalowały delikatnie, zrzucając przy tym parę liści, które to swobodnie, bez pośpiechu, dotknęły tafli wody. Robert odprowadził je wzrokiem, gdy spływały wraz z nurtem i zatrzymał spojrzenie na czubkach swoich butów. Dostrzegł na nich odpryski krwi zmieszane z piachem. Całość tworzyła zaschnięte gródki przypominające mizerne rodzyunki na ciastku.

– Czy ja mogę coś powiedzieć? – próbował się wtrącić Crick. Podszedł o kilka kroków bliżej, by nie krzyknąć na odległość. Stanowczym ruchem odtrącił rękę Dwayne’a, który próbował go powstrzymać.

– Proszę iść do domu – odpowiedział Robert urzędniczym tonem.

– Ja tylko chciałem powiedzieć, żebyś tego nie robił. Jeszcze dużo życia masz przed sobą, jeszcze dużo może się zmienić. – Crick zdjął okulary, przetarł je o koszulę i nałożył z powrotem. – Mam siedemdziesiąt pięć lat i wciąż jestem pewien, że w moim życiu może się dużo zmienić. Straciłem już większość rodziny, większość zdrowia i większość życia, ale pomimo tego trzymam się kurczowo tego padołu i nie mam zamiaru tak łatwo się poddawać. Życie jest jedno i prędzej czy później się zakończy! Po co to przyspieszać? Nawet jeżeli cierpisz, jest to po tysiącokrotnie lepsze, niż wieczna czarna pustka!

– Dlaczego? – zapytał Robert.

– Bo coś się dzieje!

– Jak chce skakać, to niech skacze! – krzyknął ktoś z południowym akcentem. – Po co marnować pieniądze podatników?!

Robert wyłowił opaloną twarz podstarzałego osiłka. Oceniając jego zwalistą posturę stwierdził, że człowiek całe życie zarabiał pracą fizyczną. Gdy otwierał usta widać było zepsuty, czarny ząb.

Dopiero teraz spostrzegł, że jego skok przyszło pooglądać jeszcze kilku gapiów. Policjant Dwayne kręcił się niemrawo z wyrazem całkowitego zdezorientowania na twarzy i próbował wygonić kilka osób na chodnik po przeciwnej stronie drogi, by nie podchodzili za blisko. Wymienił z gapiami kilka stanowczych słów, a następnie cofnął się na pięcie i podszedł w kierunku samochodu. Dało się słyszeć skrzeczenie krótkofalówki.

– Zaraz sprawdzę, czy są – wypowiedział do urządzenia i otworzył bagażnik.

Grzebał dłuższą chwilę, przewracając sterty rzeczy wydających metaliczny dźwięk. Robił to zamaszyście i ze zniecierpliwieniem, co Robertowi przywodziło na myśl mieszanie wielkiego gara zupy. Po chwili Dwayne wyciągnął kilka drogowych pacholów i zaczął je rozstawiać tuż pod nogami gapiów, znacząc teren i dając do zrozumienia, że dalej jest wstęp wzbroniony.

– Do cholery, przywieźcie mi tu jakieś barierki, bo widzę, że kolejni się schodzą – powiedział niemal plując na krótkofalówkę. – Poza tym nie ogarnę tego wszystkiego sam!

– Dobra, już jedziemy – zaskrzeczało urządzenie. – Bez odbioru.

Dwayne Murphy był świeżo po szkółce policyjnej. Był to trzeci miesiąc jego prawdziwej pracy i pierwsze takie wielkie zdarzenie, które wywołało u niego całkowitą konsternację i zakłopotanie. Nigdy nie uczono go jak postępować z samobójcami. Nie znał nawet obowiązujących procedur. Patrzył się tępo w Roberta, jak w jakiś nowy gatunek zwierzęcia, którego nie da się sklasyfikować i myślał nad tym co powinien teraz zrobić. Zanim przyjadą posiłki, to on musiał kontrolować cały ten rozgardiasz i grać rzetelnego policjanta, który wie co robi. Zastanawiał się w jaki sposób wypełnić protokół w przypadku, gdyby Robert skoczył, i jak to zrobić, gdyby jednak zdecydował się zejść z barierki mostu. Pewną ulgę wywoływała u niego świadomość, że nie będzie jedynym świadkiem całego zajścia, bo jak uczono go w szkółce – bycie jedynym świadkiem oznacza trzy razy więcej pracy.

W całej jego trzymiesięcznej służbie miał do czynienia z zaledwie kilkoma włamaniami oraz dwoma pobiciami. Zdarzyło mu się również ściągać kota z drzewa, o czym wspominają mu ze śmiechem koledzy, przy każdej możliwej okazji. Jako młody rekrut, w pierwszym tygodniu pracy dostał rozkaz pojechania do histerycznej staruszki, której z wiekiem uciekło kilka klepek. Dyspozytor przyjmujący telefon powiedział mu, że z pobliskiego ZOO uciekł tygrys i obecnie przebywa na terenie posesji osiemdziesięcioletniej przygłuchej starowinki. Jako że „całkiem przypadkiem” wszyscy inni policjanci byli bardzo zajęci pracą, Dwayne dostał od szefa strzelbę z pociskami usypiającymi, a od dyspozytora parę przyjacielskich klepnięć w plecy i różaniec. Przeklinając cały świat, a w szczególności swojego ojca, który go zachęcił do pójścia do policji, pojechał na sygnale na obrzeża miasta, gdzie w furtce czekała na niego rozhisteryzowana staruszka bez paru klepek. Gdy zobaczyła jak Dwayne wyciąga nerwowo strzelbę z tylnego siedzenia, zaczęła histeryzować jeszcze bardziej, machając rękami w stronę drzewa i prosząc o litość dla biednego kotka.

Teraz Dwayne podśmiechuje się na samą myśl o tym wydarzeniu, jednak wtedy czuł się jak skończony idiota, który z wiotkimi nogami i walącym sercem jechał do kota na drzewie. Oczywiście po powrocie na komendę czekali na niego wszyscy. Powychodzili z pomieszczeń i stali z głupawymi uśmiechami na korytarzu, klaszcząc i gwizdząc, a w dyspozytorni czekał na niego pączek z wbitą świeczką i karteczką „Witamy w drużynie”.

Dwayne Murphy nigdy nie był tak zestresowany, jak wtedy w drodze do tygrysa. Aż do teraz. Pomimo umiarkowanej pogody i lekkiego wiatru, czuł jak spocona koszula przywiera mu do pleców, a pas policyjny z wyposażeniem opuszcza spodnie na dół, tak jakby znacznie schudł w ciągu tych kilkudziesięciu minut od przyjazdu.

Rozglądał się nerwowo sprawdzając, czy wszystko, co powinien był zrobić, zostało zrobione oraz unosił głowę niczym surykotka, by wypatrzeć nadjeżdżający radiowóz z kolegami. Oznaczałoby to dla niego, że może w końcu odetchnąć z ulgą.

– Proszę pana, ja już dawno umarłem – powiedział Robert.

– Mów mi William – Crick machnął ręką. – Albo najlepiej mów mi Bill.

– Dobra, Bill. Ja już od dawna jestem trupem. Teraz to tylko formalność. – Wskazał w kierunku rzeki.

– Masz problemy z dopasowaniem się do ludzi – wtrąciła się Laura. – Nic poza tym. Pomożemy ci.

– Ludzie się do ciebie nie dopasują, tylko ty musisz dopasować się do ludzi – przytaknął Dwayne, chcąc pomóc.

– Przecież wy w ogóle nic nie rozumiecie! – wrzasnął Robert.

– Życie jest piękne! A to, że niektórzy nie potrafią żyć, to już ich problem! – krzyknął z chodnika osilek. – Miłego lotu i twardego lądowania!

Dwayne natychmiast ruszył w jego kierunku szybkim krokiem, przytrzymując swój pas ze sprzętem.

– Ja rozumiem, że człowiek jest zawsze sam w swoim bólu... – zagadał Crick.

– Dość! – Robert zacisnął dłonie na skroniach. – Zamknijcie się wszyscy. Nic nie rozumiecie.

Jego umysł pulsował od natłoku pustych słów, które dla niego nic nie znaczyły, mimo że posiadały logiczną wartość. Miał wrażenie, że nic nie przekłada się na jego życie, nawet jeżeli inni pokładają w tym całą swoją wiarę i pewność.

– A ty, Anno? – Obrócił głowę i skupił wzrok na niej. – Ty mnie rozumiesz?

– Oczywiście, że cię rozumiem. Nie przejmuj się nimi. Za dużo się przejmujesz ludźmi.

– Nic już na to nie poradzę. To chyba przez to, że miałem tak dużo rodzeństwa i nie mogłem wyrosnąć na rozkapryszonego egoistę. Lester Junior, syn szefa, był jedynakiem – westchnął. – Założę się, że sam dupek Lester też nim był.

– Jak to był? – Anna nachyliła się, by złapać uciekający wzrok Roberta.

– Był, ale już nie jest. Nie żyje, tak jak i jego ojciec – zawiesił głos. – Zmarli z przyczyn naturalnych.

– Co im zrobiłeś?!

ROZDZIAŁ 10

Powinnaś raczej zapytać, co oni sobie sami zrobili. Ja tylko wypełniłem wolę swoją i, najprawdopodobniej, reszty pracowników oraz ludzi z ich otoczenia. Nie tylko ja się czułem jak śmieć w tej firmie i w ich towarzystwie. Widziałem jak pomiatają pracownikami, wmawiając im, że są nic nie warcy, że zaraz ich wyleją i zdechną z głodu, a nawet że mają spasiono żony, które puszczają się na boku za garść drobniaków.

Podczas gdy Lester mógł wyładowywać się tylko na pracownikach, ponieważ żona go zostawiła lata temu, to Junior mógł także wyżywać się na własnej rodzinie. Słyszałem, że miał tendencje do bicia i picia. Wielokrotnie widywałem jego żonę w ciemnych dużych okularach i kilkuletnią córkę z siniakami na rękach. Oczywiście każde dziecko chodzi poobijane od zabaw, a każda kobieta może chodzić w okularach przeciwsłonecznych. Nikt jednak nie wymaże mi z pamięci sytuacji, gdy przyjechałem pewnego razu do Juniora po pracy, by wręczyć mu zaległe faktury za dostawy. Co prawda w jego obowiązku było się z nich rozliczać, ale wina za jego niedopatrzania zawsze spadała na innych pracowników.

Dom miał w bogatej dzielnicy miasta, na ulicy pełnej kolorowych i jednakowych architektonicznie bliźniaków. Ten, który należał do niego poznałem po zaparkowanym SUV'ie na podjeździe do garażu. Tylko on miał purpurowego Outlandera kosztującego tyle, co moje dziesięcioletnie wynagrodzenie.

Ja zawsze korzystam z komunikacji miejskiej, toteż podjechałem autobusem.

Podchodząc do drzwi frontowych, zauważyłem przez duże okno tuż obok, jak mała dziewczynka ucieka z płaczem na górę po schodach. Pod pachą trzymała lalkę. Sekundę później zobaczyłem żonę – pojawiła się w moim polu widzenia i padła na podłogę, potracona jakby przez samochód. Przez firankę dostrzegłem tylko rozmazany makijaż i kasztanowe

włosy, które z impetem opadły na parkiet wraz z resztą smukłego ciała. Nie podnosiła się dłuższą chwilę, ciężko oddychając. Jej klatka piersiowa unosiła się nieregularnie, w krótkich odstępach. Szlochała.

Wtedy pojawił się Junior. Miał podwinięte rękawy jedwabnej koszuli i zaciśnięte pięści. Szedł w kierunku schodów, po których wbiegła jego córka.

Cokolwiek chciał zrobić, nie miałem zamiaru mu na to pozwolić. Nacisnąłem na dzwonek, a jego dźwięk sprawił, że Junior zamarł w bezruchu. Stał przez moment z jedną nogą na pierwszym stopniu, ręką trzymając poręcz schodów o wiele dalej niż powinien. Tak się robi, gdy chce się pędem wbiec na górę.

Cofnął się i podniósł leżącą żonę, łapiąc ją mocno za ramię, a następnie cisnął w kierunku schodów. Tym razem nie upadła, ale poszła skulona na górę, tak jak jej zapewne rozkazał. Gdzieś po drodze uderzyła piszczelem o stopień.

Kilkanaście sekund później Junior stał wściekły w drzwiach i mierzył mnie wzrokiem. Jego czoło świeciło się od potu, a oczy miał zamglone jakby wypił kilka piw.

– Czego chcesz? – wycedził przez zęby.

– Przywiozłem ci te faktury za dostawy, których zapomniałeś zabrać. Przecież jutro zamykamy zeszły miesiąc – odpowiedziałem spokojnie.

– Nie mogłeś sam tego zrobić, do cholery?

– Ty jeździsz, ty się zajmujesz paliwem. Sam tak powiedziałaś. Każdy robi swoją część.

– Dawaj to. – Wyrwał mi kartki papieru z ręki. – Następnym razem, kurwa, uprzedź mnie jak będziesz miał zamiar przyjechać bez zapowiedzi.

Chciałem zapytać: „Abyś mógł w spokoju bić swoją żonę i dziecko?”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Nie chciałem, by wiedział, że ja wiem. Nie chciałem, by wiedział, że jeszcze go kiedyś odwiedzę w innej sprawie.

Bez słowa zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Odchodząc, obróciłem się, by dobrze zapamiętać miejsce, w którym mieszka. W oknie pierwszego piętra zauważyłem spoglądającą na mnie dziewczynkę z lalką pod pachą. Zapamiętałem tylko to, że jej smukła buzia była blada niczym kreda. Gdy nasze spojrzenia się zbiegły, natychmiast zniknęła, pozostawiając za sobą jedynie falującą firankę.

Moja kolejna wizyta u Juniora miała miejsce wczorajszej nocy, w kilka godzin po zachodzie słońca. Cały dzień w pracy przyglądałem mu się uważnie, badając najdrobniejsze

ruchy, które mogą zdradzić, że jego dzień jest inny niż wszystkie. Nic na to jednak nie wskazywało, chociaż powinno. W końcu nadchodziło jego święto, które sam stworzyłem.

Przed wyjściem z domu upewniłem się, że wypełniłem cały rytuał codziennego życia, by uspokoić skołatane nerwy. Wypiłem kawę, wziąłem prysznic, obejrzałem wieczorne wiadomości. Potem założyłem granatową koszulę i czarne, sztruksowe spodnie z dużymi kieszeniami. Do kieszeni schowałem skórzane rękawiczki, trochę pieniędzy i małą latarkę, a za pas włożyłem stary myśliwski nóż. Godzinę wcześniej kupiłem go na bazarze za ostatnie oszczędności i ostrzyłem przez całe wydanie wiadomości. Handlarz na targowisku, sędziwy pomarszczony chińczyk, stwierdził, że w każdą zwierzynę wejdzie jak w masło. I taką miałem nadzieję.

Powiedziałbym, że to wina wszystkiego dookoła, ale moje lustro dobrze wskazywało na przyczynę.

Zostawiłem zapalone światło i włączony telewizor, tak na wszelki wypadek, by któryś z sąsiadów mógł mi zapewnić alibi. Pomyślałem wtedy, że to dobry pomysł, ale teraz dotarło do mnie, że to bez znaczenia. W więzieniu czy poza nim, i tak odebrałbym sobie życie. Łatwiej jednak było skakać z mostu, niż wieszać się na pasku od spodni lub sznurowadle – o ile by ich nie zabrali. Poza tym skok był dla mnie nieco romantyczniejszą wizją, cokolwiek to może teraz oznaczać.

Tym razem nie podjechałem autobusem, ale przeszedłem całe miasto wolnym spacerem. Zajęło mi to niecałą godzinę. Gdy człowiek ma pewność, że na następny dzień umrze, wyzbywa się całego strachu związanego z morderstwem. Upewniając się w swojej śmierci od pewnego czasu, upewniałem się także w słuszności zabicia Juniora, toteż na jego ganek wszedłem spokojnie, nucąc pod nosem *All You Need Is Love*. Być może aby nadać nieco abstrakcji i odrealnienia tej wyjątkowej sytuacji.

Minąłem zaparkowanego SUV'a i obszedłem domek dookoła, by spróbować wejść tylnymi drzwiami. Założyłem rękawiczki i przekręciłem klamkę lichych drzwiczek. Były otwarte. Gdyby nie były, byłbym na tyle bezczelny, żeby zapukać. Otworzyły się bez żadnego skrzypnięcia i chwilę później stałem za moskitierą, w pomieszczeniu przepełnionym zapachem kurzu i stęchlizny. Gdy zapaliłem latarkę, bez zdziwienia zauważyłem, że pokój jest przepełniony gratami, narzędziami i wszystkimi przyrządami, które nie wiadomo gdzie upchnąć. Pierwotnie był to pewnie pokój gościnny, ale taki człowiek jak Junior raczej nie przyjmował gości. Przeszedłem przez futrynę bez drzwi i znalazłem się w kuchni otwartej na salon. Po paru krokach coś zazgrzytało mi pod butem, najprawdopodobniej potłuczone szkło. Zacisnąłem zęby, jakby to miało wyciszyć przykry dla ucha dźwięk, i ruszyłem ku schodom.

Domyślałem się, że na górze są sypialnie, ale to co mnie upewniło, to ciche sapanie dobiegające z piętra wyżej, które przechodziło w pojedyncze chrapnięcia. Pomyślałem, że jeżeli jego żona jest w stanie wytrzymać te odgłosy, to zapewne jest głucha albo ma kamienny sen. W przeciwnym razie spałaby w innym pomieszczeniu, z córką. I tak właśnie było.

Stąpałem po schodach tylko w momencie głośniejszych chrapnięć, aby delikatne stuknięcia podeszwy o drewno zlały się z charkotem krtani Juniora. Zajęło mi to dobre kilka minut. Chodzenie po posadzce było znacznie łatwiejsze, dlatego też po osiągnięciu finałowej płaszczyzny poszedłem nieco pewniej w kierunku przykrych dźwięków. Jego sypialnia była jedynym pomieszczeniem z uchylonymi drzwiami. To wyglądało, jakby mnie zapraszał do środka. Otwarte tylne wejście, brak alarmu, uchylone drzwi sypialni – wszystko sprawiało wrażenie, jakby jakaś opatrność ułatwiła mi robotę i wyznaczyła trasę, którą powinienem iść, jak po sznurku. I w istocie, odkąd minąłem próg tego domu, nie zastanawiałem się nawet przez chwilę w którą stronę iść. Zacząłem wierzyć.

Wiara nie ogranicza się do jedynie większego prawdopodobieństwa. Wiara to przekonanie, że wszystko toczy się tak, jak toczyć powinno.

Najdelikatniej jak to tylko możliwe pchnąłem jego drzwi, tak bym mógł zmieścić kawałek głowy i zobaczyć jednym okiem czy dobrze trafiłem. Na dużym małżeńskim łóżu leżała postać, śpiąca na wznak. Kołdra przykrywała go do pasa, resztę miał owinięte dookoła nogi. Z rozpostartymi rękoma wyglądał jak Jezus na krzyżu. Ja jednak nie zamierzałem go ugodzić w bok, a w serce. Latarkę skierowałem pod swoje stopy, by widzieć jedynie najbliższe przeszkody i nie rozświetlać całego pomieszczenia. Całą widoczność pozostawiłem na pastwę ulicznej latarni świecącej za oknem, co było więcej niż wystarczające.

Środek pokoju wypełniało wielkie małżeńskie łóżko. Po obu stronach znajdowały się identyczne, małe szafki nocne z lampką. Na tej po prawej leżała dodatkowo książka w twardej oprawie, a na niej okulary do czytania, natomiast na lewej szafce stały dwie puste butelki po piwie. Nie musiałem się domyślać po której stronie śpi Junior. Na ścianach wisiało kilka małych obrazów z pejzażami, które absurdalnie kontrastowały z wielkimi dębowymi meblami i ogromną trzydrzwiową szafą.

Podszedłem do łóżka i przyjrzałem się dokładnie, czy trafiłem na właściwego gościa. Wredna, cwaniacka gęba, nieco lalusiowate rysy twarzy i chuderlawa klatka piersiowa zdecydowanie oznaczała Richarda Lestera Juniora – syna dupka, który miał zamiar podzielić jego los. Uniosłem koszulę i chwyciłem za nóż. Pamiętam dobrze, że rękojeść miała wyżłobione miejsca, w które idealnie wpasowały się moje palce za pierwszym chwytem.

Wcześniej tego nie zauważyłem. Dziwne myśli przechodzą człowiekowi przez głowę, gdy za chwilę ma zamiar odebrać komuś życie.

Wyciągnąłem bezdźwięcznie zza pasa nóż i uniosłem w górę, by wziąć zamach. Ostrze zabłysnęło szaleństwem w świetle latarni i rzuciło delikatną smugę na ścianę. W tym momencie dotarło do mnie, że muszę trafić idealnie za pierwszym razem. Każdy możliwy błąd w zadaniu natychmiastowej śmierci mógł mieć skutki, których nawet nie chciałem sobie wyobrażać. Położyłem więc latarkę koło pustych butelek i chwyciłem rękojeść noża oburącz. Starannie obniżyłem ostrze tak, że prawie dotykało klatki piersiowej Juniora i odmierzyłem odległość do serca. Być może to moja wyobraźnia, albo też kolejna opatrność, ale zauważyłem przy jego lewej piersi delikatne pulsowanie oznaczające mój cel.

Nie chciałem się więcej zastanawiać ani robić żadnych niepotrzebnych posunięć, które mogłyby mnie odwieść od zadania ciosu. Po pierwszym przymierzeniu od razu wbiłem nóż z niewiarygodną łatwością. Ostrze weszło tak delikatnie, że prawie nie poczułem gdzie kończy się powietrze, a zaczyna się ciało. Impet mojego zamachu zastopował dopiero trzonek. W momencie, gdy pacnął o klatkę piersiową, ciało Juniora naprężyło się i od stóp do głów przetransportowało falę drgawek.

Dyszenie ustało.

To był moment, gdy zarazem poczułem ulgę i zacząłem się brzydzić swojego uczynku. Ogarnęły mnie wszystkie możliwe uczucia naraz. Miałem ochotę roześmiać się i rozplakać jednocześnie. Błogie ciarki sprowadziły na mnie także podniecenie seksualne.

Puściłem rękojeść i odsunąłem się na parę kroków, zupełnie jakbym dopiero teraz dostrzegł co narobiłem. Chciało mi się wymiotować. Zobaczyłem jak jego klatkę piersiową zaczyna pokrywać czarna plama, która rozrastała się również na prześcieradle. Krew w tak słabym świetle wyglądała jak nadchodząca i nieunikniona ciemność, zamieniająca w nicość wszystko czego dotknie jej krawędź. Pogniecione prześcieradło zaczęła przykrywać śmierć.

Najgorsze to było zabrać nóż. Samo zabójstwo wydarzyło się pod wpływem amoku – ślepej pewności i gniewu, który napędzany adrenaliną doprowadził całe wydarzenie do perfekcji. Jednakże teraz, po afekcie, konieczne było działanie pod wpływem własnej osobowości. Pierwsza paniczna myśl podpowiadała, żeby uciekać. Druga i trzecia też. Zupełnie jakby ugodzenie nożem włączyło jakiś alarm, a mnie zostało niewiele czasu aby się ulotnić. Panika przerastała mnie na tyle, że przez dłuższą chwilę obserwowałem rozrastającą się plamę na prześcieradle. Czekałem, aż mnie dotknie i zabierze ze sobą, w krainę śmierci.

To jednak musiało poczekać.

Zmusiłem się, by chwycić rękojeść i wyciągnąłem z ciała nóż. Junior poruszył się nieznacznie, jak lalka. Jego grymas na twarzy wyrażał zdziwienie i wdzięczny spokój. Ruszyłem w kierunku drzwi, tym razem nie zważając na to, czy wydaje jakiegokolwiek dźwięki. Chciałem jak najszybciej uciec z tego domu, tak jak chce się uciec z najgorszego koszmaru. Myśli wypełniałem nadzieją, że gdy dobiegnę do tylnych drzwi, wszystko wróci do stanu poprzedniego. Minie, jak za naciśnięciem magicznego przycisku.

Tak się jednak nie stało.

Jedyne, co później pamiętam, to że zbiegłem stąpając na co drugim stopniu i na ślepo bez latarki rzuciłem się w kierunku kuchni, za którą było upragnione wyjście. Wybiegłem na ulicę i niemalże sprintem zacząłem biec drogą, którą przybyłem. Dopiero po kilkunastu metrach spostrzegłem, że wciąż trzymam w ręku zakrwawiony nóż. Obrzydzenie kazało mi go wyrzucić, jak obślizgłego robaka, ale logika doprowadziła mnie do wytarcia go i schowania z powrotem za pas. Bez chwili pomyślunku przejechałem obiema stronami ostrza o koszulę, zostawiając na niej dwa maźnięcia.

Chwilę później wymiotowałem.

Nie wiem dlaczego, ale dokładnie w tym momencie doznałem chwili spokoju. Wspomniałem moją kochaną Alice i stałem oparty o jedno z drzew, łapiąc oddech, ale zarazem nie czując ani odrobiny zmęczenia. Moja wyobraźnia znów zawędrowała do czasów, gdy Alice śmiała się do rozpuku z rozdzieranej kartki papieru.

ROZDZIAŁ 11

Wiatr owiał ich twarze. Niektóre kosmyki włosów Roberta nie poddały się podmuchom, były zbyt ciężkie, pozlepiane potem lub krwią. Anna starała się doszukać na jego ciele dowodów wczorajszej nocy, jednakże jedyne co dostrzegła to kilka nieregularnych plamek na ubraniu i skórze. Miał również brunatną szramę na koszuli od wytarcia noża, ale równie dobrze mogłoby być to trochę niespranego błota lub sosu.

Ktoś wyjął telefon i zaczął nagrywać. Pomysł podchwycili inni.

Nagle w stronę Roberta wycelowanych było kilkadziesiąt telefonów komórkowych. Co druga osoba spośród tłumu obserwowała jego śmierć wpatrzona w malutki ekran. Musi się idealnie nagrać. W końcu trzeba pokazać znajomym.

Chwilę później Robert usłyszał narastający ryk syreny. Zza budynków wyłonił się radiowóz i Dwayne wyraźnie odetchnął z ulgą. Policjanci zaparkowali samochód tak blisko

jego, że pojazdy niemal stykały się przednimi światłami niczym para całujących się kochanków. Z wnętrza radiowozu żwawo wyskoczyło dwóch rosłych policjantów. Jeden z nich podbiegł do bagażnika i zaczął wyciągać niebieskie barierki, które miały odgradzać widownię od teatru. Wyglądały jak wydłużone sportowe płotki, stawiane jako przeszkoda dla biegaczy na dwieście metrów. Drugi policjant, z metalicznym brzękiem osprzętu na pasie, ruszył do Dwayne'a, by wymienić kilka zdań. Moment później zawyła kolejna syrena, tym razem głośniejsza i bardziej przeciągła. Z tego samego zakrętu co radiowóz wyjechała karetka i zaparkowała nieco dalej, na chodniku.

Nie będą mieli zbyt dużo do roboty, pomyślał Robert.

Ze środka nikt nie wyszedł. Sanitariusze i lekarz czekali na rozwój wydarzeń.

Wiatr zaszumiał i wraz z podmuchem przyśpieszył nurt rzeki pod stopami Roberta. Woda pieniała się i chlupała małymi falami o brzegi, jakby nie mogła się zdecydować w którą stronę płynąć.

Robert spojrział w dół z nadzieją. Czy wysokość jest wystarczająca? Miał przed sobą jakieś pięćdziesiąt metrów swobodnego lotu. Nie było to dużo, jednakże głębokość w tym miejscu wynosiła maksymalnie dwa metry. Gdzieś tam można było zobaczyć duże kamienie spoczywające na dnie, więc przy odpowiednim szczęściu, mógł tam być mniej więcej metr wody.

To prawie jak skok na beton, pomyślał. Zresztą, kilku już próbowało z powodzeniem. Co prawda ostatni przypadek miał miejsce około dziesięciu lat temu, a rzeka w tym czasie doczekała się kilku poprawek ze strony ludzkości. Ze względu na podtapianie terenów, które przeznaczone były pod zabudowę, profilaktycznie poszerzono koryto o kilka metrów. Dzięki temu nurt zwolnił i przestał straszyć powodzią po wielodniowych, intensywnych deszczach, zdarzających się raz na kilkanaście lat.

Robert pogrzebał w pamięci i przypomniał sobie, że przed poszerzeniem, prąd rzeki był tak ogromny, że wyglądał niczym poziomy wodospad. Na cześć jej nieobliczalności została nazwana Mad River, jak wiele innych podobnych rzek Ameryki.

W tym mieście nigdy nie czuł się jak w domu. Zdobiona tablica z napisem „Coveford” przy wjeździe oznajmiała, że przez najbliższe 15 mil nie wydarzy się absolutnie nic, pomimo ponad dwustu tysięcy mieszkańców. Prócz kilku kin, kręgielni i Aquaparku, jedyną rozrywką było uchlewanie się na umór i wracanie chwiejnym krokiem do domu, o czym przekonało się wielu kierowców ciężarówek przejeżdżających przez tę zapomnianą przez boga miejscinę.

Kilkanaście razy do roku umiera tu stado pijaczków, którzy wpakowali się w nocy na szosę z przeświadczeniem, że nic ich nie rozjedzie w drodze do łóżka. Bo przecież w Coveford nic się nie dzieje.

Miasto było zdominowane przez biedotę oraz ludzi bogatych, tym samym spychając gdzieś klasę średnią na margines tak, że niekiedy jej przedstawiciele czuli się jak prześladowani murzyni w latach pięćdziesiątych. Kilka zakładów produkcyjnych i kilka wysokiej klasy biurowców różnicowało poziom życia Coveford brutalną, grubą kreską, przedstawiając wszystkim przykłady na ulicach, po których jeździły albo stare i zardzewiałe pick-upy albo Bentleye i Chevrolety prosto z salonu. Czasem, gdzieś pomiędzy, przetoczył się kilkuletni Ford z ojcem odwożącym dziecko do szkoły lub kobieta w SUV-ie wracająca ze spożywczaka, lecz na twarzach ich wszystkich malował się grymas oznajmiający, że nie pasują do tego miasta. Robert mógł uznać się za jednego z nich.

Mieszkał w Coveford od kiedy razem z rodziną wyjechali, gdy ojciec miał możliwość lepszej pracy. Zaopatrzone w dwie torby i minimalną znajomość angielskiego przyleciał z Polski z nadzieją, że życie będzie stawiać na nowo. Ostatecznie skończył jako samotny i niezrozumiany nieudacznik, który jakiegokolwiek chęci i nadzieje zamiótł już dawno pod dywan.

Gdzieś tutaj był sklep z lodami, pomyślał rozglądając się z nostalgią, przypominając sobie swoje pierwsze przechadzki po mieście. Tyle się tu pozmieniało, że jedyne co poznając, to ten most i ta rzeka. Gdybym przyjechał tu po roku nieobecności, poczułbym się jak w zupełnie innym mieście.

Sklepu z lodami już nie było, został zastąpiony przez sklep wędkarski. Tak samo jak i kawiarnię obok zastąpił szyld „do wynajęcia”, a warzywniak, który był naprzeciwko znikł na rzecz kolejnego fast-foodu. Jedyne, co pozostało bez zmian, to ten most i ta rzeka. Teraz wierzby ją otaczające były już znacznie dojrzałe, lecz nadal bez strachu szumiały nad spienionym nurtem, który co jakiś czas podmywał ich korzenie. Niektóre z drzew wyglądały, jakby tylko jedna kropla więcej mogła zadecydować o ich runięciu i porwaniu gdzieś daleko, do innego stanu.

Około trzystu metrów dalej zaczynał się las. Nie był to koniec miasta, a jedynie ogromny park okalający większą część rzeki, jako że wznoszenie budynków w pobliżu graniczyło z samobójstwem. Teren za nim i za mostem był znacznie rozsądniejszy, jako że Mad River stopniowo opadała, a samo miasto stało dumnie na wyżynie. Wystarczyło pójść

drogą w stronę lasu, i już po kilkunastu minutach spaceru docierało się do punktu, gdzie poziom wody wyrównywał się z poziomem gruntu. O dziwo tonęło tam nadzwyczaj mało pijaczków, ale to zapewne dlatego, że w pobliżu nie było żadnego pubu. Jedyne co rzeka wchłonęła to paru wędkarzy, którzy nie wiedząc czemu nie poradzili sobie ze słabym nurtem w tamtych rejonach lasu, oraz paru i samobójców, odchodzących z tego świata z tego samego miejsca, w którym stał obecnie Robert.

Zawyła syrena przypominająca trąbienie. Za dźwiękiem, z drugiej strony mostu nadjechał wóz strażacki z drabiną i wysięgnikiem na dachu. Robert przyjrzał mu się uważnie, ciekaw jakie mechanizmy ratowania samobójców posiadają strażacy.

Żaden sprzęt się tutaj nie przyda, pomyślał. Musieliby teleportować się na wodę i stamtąd kombinować sztuczki z drabiną. Być może zejść na dół z ogromną trampoliną i rozciągnąć ją z obu stron rzeki.

Wydawało się to niemożliwe i ryzykowne, ale straż pożarna zawsze dysponowała fajnymi gadżetami. Robert uśmiechnął się sam do siebie. Czemu w dzieciństwie chciałem zostać pilotem, a nie strażakiem?

ROZDZIAŁ 12

Tej nocy miałem jeszcze co najmniej dwa miejsca do odwiedzenia.

Tuż po uporaniu się z Juniorem dopadły mnie pierwsze wyrzuty sumienia. Nie zastanawiałem się, czy zabiłem właściwą osobę, albo co będzie jeżeli jego córka odnajdzie ciało. Oczami wyobraźni widziałem jej cierpienie pomieszane z ulgą, gdy stoi przy łóżku i plama krwi dopływa do jej bosych stóp, znacząc tym samym psychikę do końca życia. Widziałem jego żonę, która reagując na pisk dziecka staje w progu tak samo osłupiała, pozbawiona jednak możliwości wyrażania emocji krzykiem, ponieważ szok odebrał jej dech w piersiach.

Chwilę później obie siedzą wtulone w siebie, w najodleglejszym pomieszczeniu do tego, gdzie leżało ciało Richarda Lestera Juniora. Czekają na przyjazd policji, obserwując w milczeniu końcówkę wschodu słońca, który oznaczał początek całkowicie nowego okresu w ich życiu. Caren, bo tak miała na imię żona Juniora, masowała przeguby dłoni posiniaczone od domowych sprzeczek, jakby wspominała daleką przeszłość, a kilka sinych plam było

jedyną jej pozostałością. Mała Katie, blada jak figura woskowa, ocierała łzy rękawami różowej piżamy wiedząc, że jest to ostatni płacz z powodu ojca.

Nie pytaj mnie skąd to wiem, po prostu tak było.

A ja kilka godzin wcześniej spacerowałem w stronę galerii handlowej „Delta”, przy której znajdowało się najbogatsze osiedle w całym mieście. Osiedle, na którym nawet latarnie były zaprojektowane przez jakiegoś sławnego architekta o dziwnym, egzotycznym imieniu. Osiedle, na którym nie było żadnego martwego punktu, gdzie nie dosięgał wzrok kamer. Osiedle, na którym nawet szopki na narzędzia ogrodowe miały swój własny alarm.

Głupotą było iść tam bez kominiarki. Każdy n o r m a l n y morderca przenikałby jak cień pomiędzy tujami rosnącymi przy płotach, planując wcześniej tygodniami drogę do miejsca przeznaczenia. Ja jednak szedłem środkiem ulicy, przechadzając się powoli, jakbym wyprowadzał psa na spacer. A to dlatego, że nie pamiętałem gdzie mieszkał stary Lester, natomiast szedłem bez pośpiechu, bo nóż uwierał mnie w krocze. Możesz to uznać za żalną niepoczytalność, jednak dla mnie to był całkowity brak przejmowania się konsekwencjami.

I tak miałem być martwy w ciągu 24 godzin, na własne życzenie.

Ulica była tak dobrze oświetlona, że można by w najciemniejszym punkcie czytać książkę. Rozglądałem się po oknach próbując wyłapać jakiś szczegół, który pozwoli mi trafić we właściwe miejsce. Na próżno było patrzeć po podjazdach w poszukiwaniu czarnego terenowego Dodge’a, ponieważ wszystkie samochody dawno spoczywały w garażach, których każda z willi miała przynajmniej dwa lub trzy.

Po kilku minutach włączenia usłyszałem głosy i śmiechy dochodzące z posesji jednego z domów, w którym wszystkie światła były pozapalane. Podeszedłem bliżej, udając że się tylko przechadzam. Na parceli stał wielki dymiący grill, na którym śmietanka towarzyska urządzała sobie nocne barbecue. Mężczyźni w drogich garniturach i smokingach, a kobiety w fantazyjnych wieczorowych sukniach oddzielali się wysokim płotem od szarej rzeczywistości, tonąc w chwilowej odskoczni przy najdroższym szampanie i objadając się stekami sprowadzanymi z prywatnych masarni. Tuż obok wybrukowanej parceli, refleksy na budynek rzucała błękitna woda z dużego, podświetlanego basenu, w którym broczyło się kilku podsiwiałych staruszków opartych o krawędzie, na co dzień będących zapewne rekinami biznesu.

Modliłem się, by Lester nie znajdował się pomiędzy nimi, mając nadzieję, że takiego dupka nikt by nie zaprosił. I nie myliłem się. Pośród luksusowych osobowości nie zauważyłem grymasu wiecznego niezadowolenia Richarda Lestera.

Postanowiłem jednak zapytać gdzie mogę go znaleźć.

Cofnąłem się o kilkadziesiąt metrów i otworzyłem jeden z kubłów na śmieci, stojący przy ulicy. Ze środka napadł mnie zapach zgnilizny i ekstrawaganckich sosów, nie było w nim jednak nic, co mogłoby mi się przydać. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zajrzałem do innego kubła. Przerzuciłem z obrzydzeniem stertę śmierdzących szmat oraz resztek jedzenia i wyciągnąłem plik lekko pogniecionych papierów i puste pudełko po płycie CD, pęknięte w kilku miejscach. Spośród kartek wybrałem ze środka kilka najlepiej zachowanych i wróciłem na imprezę barbecue.

– Przepraszam bardzo – rzuciłem podchodząc do bramy. Musiałem krzyknąć dość głośno, by ktokolwiek zainteresował się nowym przybyszem. – Mam ogromną prośbę.

– Nie. Nie będziemy ciszej, a więc zmiataj stąd, kutasie – odkrzyknął ktoś z brytyjskim akcentem.

– Ja wcale nie w tej sprawie. Chciałbym o coś tylko zapytać. Czy mógłby mi pan poświęcić chwilę? – zapytałem najpotulniej jak mogłem.

Jedna z sylwetek odzianych w garnitur z muchą zaczęła się do mnie zbliżać chwiejnym krokiem.

– No, czego?

– Przepraszam, że nachodzę tak późno, ale szukam domu Richarda Lestera. Mam do niego ważną przesyłkę, która musi być jak najszybciej dostarczona.

– Gdzie ta przesyłka? – wybąknął i zmierzył mnie wzrokiem, starając się jak najlepiej złapać ostrość. Wydawało mi się, że nie zauważył brunatnych plam zaschłej krwi na mojej koszuli. Albo po prostu je zignorował.

– Tutaj, proszę pana. – Wyciągnąłem rękę w górę i machnąłem mu przed oczami kartkami papieru i pudełkiem od płyty. – Czekaj na ten komisyjny raport od wieczora i kazał sobie go przywieźć nawet w środku nocy.

Człowiek w garniaku przez chwilę starał się ogarnąć wzrokiem przesyłkę dla Lestera, jednak szybko zrezygnował.

– Poczekaj tu, zawołam Grega. On tu mieszka – odwrócił głowę w kierunku basenu i krzyknął: – Greg! Chodź na chwilę! Przylazł jakiś gość i pyta o Lestera.

W basenie poruszył się mężczyzna z wielkim brzuchem i po wyrazie jego twarzy widać było, że klunie pod nosem. Jakaś kobieta od razu podała mu szlafrok i wcisnęła coś do ręki, a on sam ruszył z mokrymi pacnięciami w kierunku bramy.

– No, czego? – zapytał, a wtedy ogromna brama zatrzęsła się i zaczęła przede mną rozsuwać. W dłoni trzymał małego pilota. Mimo że był to tylko podpity grubas w szlafroku, nadal próbował zgrywać kogoś ważnego.

Mogliśmy bez problemu rozmawiać przez bramę, ale otwarcie jej pilotem odebrałem jako oznakę władzy, radującą i zaspokajającą ego. Uchylił jej tyle, żeby móc mi się swobodnie przyjrzeć i nic poza tym. Greg spojrział na mnie oceniającym wzrokiem, tak charakterystycznym dla każdego szefa.

– Gdzie znajdę dom Richarda Lestera? – ponowiłem pytanie.

Greg rzucił okiem na papiery, które trzymałem w ręce i chyba uznał, że to musi być coś ważnego. Jego mętny wzrok pobłądził chwilę w poszukiwaniu myśli.

– Jego dom jest na samym końcu tej ulicy po prawej – burknął. – To ten z czarnym marmurowym płotem. Numer 49.

– Dziękuję. To ja w takim razie nie przeszkadzam dłużej. Jeszcze raz dziękuję za informację.

Odwróciłem się w stronę ulicy i zrobiłem kilka kroków, wypatrując wzrokiem marmurowego płotu i numeru 49, zapewne pozłacanego i w jakiejś gustownej czcionce.

– Ale Lestera nie ma w domu. Nie masz po co tam iść – sapnął Greg za moimi plecami.

– Nie ma go w domu o tej godzinie? A gdzie go mogę znaleźć? – zapytałem zbity z tropu.

– Siedzi i pije tutaj z nami.

ROZDZIAŁ 13

Robert kątem oka dostrzegł nadjeżdżającego ciemnobłękitnego Vana z białym logiem stacji telewizyjnej FOX. Na dachu miał ogromną antenę, która przywodziła na myśl statki kosmiczne z tanich filmów science fiction z lat siedemdziesiątych. Furgon chciał się wcisnąć jak najbliżej tłumu, ale Dwayne z groźną miną pokiwał mu, by się wycofał. Dziennikarze zaparkowali ostatecznie za karetką i z prędkością mechaników Formuły 1 wytoczyli sprzęt nagrywający i oświetlający. Rozstawili wszystko na wolnej przestrzeni chodnika i techniczny w słuchawkach klepnął dwa razy w drzwi furgonu. Z wewnątrz z gracją wyszła jedna z nijakich prezenterek, których wyglądu nigdy nie da się zapamiętać, odebrała od chłopaka mikrofon i powędrowała przed kamerę, stukając obcasami. Jeszcze tylko kilka pacnięć pudrem od charakteryzatorki i palce kamerzysty zaczęły odliczanie. 5... 4... 3... 2... 1...

Prezenterka rozpoczęła monolog.

– Proszę pani – krzyknął policjant Dwayne do Anny, a ta natychmiast przeniosła swoją uwagę z Roberta na niego. – Proszę stamtąd zejść, to niebezpieczne.

– Nie mogę. Rozmawiam z tym człowiekiem... słucham go – odpowiedziała beznamiętnie.

– Ten człowiek jest niebezpieczny. To morderca! – Policjant zadbał o to, by ostatnie słowo było wyraźne i odpowiednio zaakcentowane.

– Proszę się o mnie nie martwić. Nic mi nie grozi – wyjaśniła.

– Chciałbym, żeby tak było, ale—

Do Dwayne'a podeszła szybkim i pewnym krokiem Laura. Zadbała o to, by to co mówi było niesłyszalne dla kogokolwiek innego. Policjant zmarszczył czoło i machnął ręką, a następnie odszedł z powrotem w kierunku tłumu. Psycholog odprowadziła go wzrokiem.

– Jeśli pani wyraża taką wolę – powiedziała do Anny – to proszę pozostać na barierkach. Prosiłabym jednak, by postarała się pani go odwieść od skoku.

Laura kiwnęła głową na znak porozumienia, lecz Anna nie zareagowała.

– Jeżeli ona zostanie zmuszona do zejścia, wtedy skoczę od razu – zaszantażował Robert, rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie próbuje go zająć zniecka i siłą ściągnąć z mostu. – Ale oczywiście możesz odejść z własnej woli – zwrócił się do niej i wymusił lekki uśmiech.

Anna przyjęła go i odpowiedziała takim samym lekkim uniesieniem warg.

– Dziękuję – dodał.

– Ależ nie masz za co. – Zdziwiła się. – Podziękujesz jak uratuję ci życie, ale jeszcze nie wiem jak.

Robert nic nie odpowiedział.

– Kontynuuj. Chcę znać całą prawdę – powiedziała spokojnie Anna.

ROZDZIAŁ 14

Dobrze. O ile byłem przygotowany emocjonalnie do pozbawienia Lestera ducha w jego własnym łóżku, w trakcie snu, o tyle teraz konieczna była całkowita improwizacja. Zabicie kogoś przytomnego i świadomego umierania było dla mnie jeszcze trudniejszym wyzwaniem. Być może jakiś psychopata czerpałby radość z faktu, że ma szansę zaobserwować ostatni błysk w oku ofiary, ja natomiast zamiast podniecenia i ekscytacji na

samo wyobrażenie poczułem jedynie wszechogarniający strach. Z każdym ułamkiem sekundy robiłem się coraz bledszy.

Nie mogłem jednak stać jak słup w nieskończoność.

– Może go pan tutaj zawołać? – zapytałem.

– Daj mi te świstki to mu podam. – Greg wyciągnął rękę w geście nieznoszącym sprzeciwu.

– Wolalbym sam mu je przekazać. Muszę dodatkowo omówić z nim parę kwestii.

– To omówisz, kurwa, jutro – wykrzyknął. – Dawaj te papiery i nie zwracaj więcej dupy! Nie mam zamiaru tu sterczeć i marznąć.

– Nalegam – próbowałem zachować przyjazny i spokojny ton. – To poważna sprawa. Jestem pewien, że Richard panu podziękuje za to.

Greg sapnął i burknął coś pod nosem. Po jego ponurej i napuszonej minie było widać, że nienawidzi przegrywać nawet w takich sytuacjach, które w ostatecznym rozrachunku wcale nie były rywalizacją. Wszyscy ludzie jego pokroju dzielili tę samą cechę.

– Trzymaj tego pilota – rzucił czarny plastik w kierunku gościa w garniturze. – Idę po Lestera i wracam do basenu. Pewno posuwa na górze tę dziwkę Sophie. Lepiej żeby to było, kurwa, coś ważnego. – Spojrzał mi morderczym wzrokiem prosto w oczy.

Greg poczłapał w kierunku willi, a ja zostałem znów sam na sam z anonimowym typem w garniaku za moją półroczną pensję. Zauważyłem, że coraz bardziej mi się przyglądał. Wydawało mi się, że dostrzegł plamy zaschniętej krwi na koszuli oraz wybrzuszenie za paskiem od noża i teraz próbował to poprawnie zinterpretować. Jego podchmielony umysł zapewne tłumaczył mu, że to tylko plama od sosu i reszta ważnej przesyłki schowana w spodniach. Z tym drugim miał całkowitą rację.

Strumień myśli przepływał przez moją głowę. Każda z nich podpowiadała, by odwrócić uwagę mężczyzny w garniturze poprzez rozmowę, która rozwieje jego badawczy wzrok.

– Po tej nocy poproszę chyba o podwyżkę – wymusiłem lekki śmiech.

– I tak gównu dostaniesz – rzucił od niechcienia. – Nie znam większego dusigrosza od Lestera.

– No tak, sam nie od wczoraj u niego pracuję. A ty czym się zajmujesz?

– Chyba nie powinno cię to obchodzić. – Mierzył mnie surowym spojrzeniem.

– Chciałem tylko chwilę pogadać dla zabicia czasu, zanim przyjdzie Richard.

– Jestem zastępcą Grega w jego przedsiębiorstwie.

Nagle stało się oczywiste dlaczego przydupas stoi przy bramie i mnie pilnuje zamiast wrócić do imprezowania z innymi. Greg również miał swojego Juniora.

– Masz dzieci? – zapytałem, gdy cisza stała się znów nieznośna.

– Słuchaj koleś, daj sobie siana z tą grzecznościową gadką – syknął. – Przyjdzie Lester to wracam do swojego świata. Jutro pewnie nawet nie będę cię pamiętał, więc oszczędź sobie. A jeżeli nawet, to zapamiętam jako przynudzającego gońca w upierdolonej koszuli.

Już miałem mu powiedzieć jak ja go zapamiętam i jak ktoś ważniejszy na mojej liście priorytetów uratował mu życie, ale ugryzłem się w język. Być może jego firma doczeka się kiedyś własnego Roberta Harysa.

– Na miłość boską, kurwa, do cholery! – usłyszałem zrzędlawy głos Lestera przebijający się przez zgiełk imprezy.

Richard Lester wyłonił się z cienia i spojrzał z nieukrywanym zdziwieniem na mnie trzymającego śmieciowe papiery i pęknięte pudełko po płycie. Jego marynarka, niedbale założona, osuwała mu się na prawe ramie, co wyglądało tak jakby miał jakiś defekt kręgosłupa. Białą koszulę miał krzywo wciągniętą w spodnie, a wokół rozpiętego kołnierzyka miał kilka plam, które w żółtej poświacie latarni były nie do zidentyfikowania. Podobnie było z moimi plamami od krwi jego syna.

Jak w przypadku większości grubych ryb, które wypiją nieco alkoholu, tak i u Lestera spodziewałem się uwydatnienia wszystkich cech, za które go nienawidzę.

– Harisson? Czego ty tu robisz, po co? – wybełkotał. Był bardziej pijany niż się spodziewałem. Stał przechylony na bok, jak krzywa wieża w Pizie. Przez chwilę próbował złapać ostrość na papierach, które trzymałem w ręce, ale szybko zrezygnował i spojrzał na mnie z miną wyrażającą całkowitą niewiedzę.

– Witam pana. Przepraszam, że nachodzę o tej godzinie i w takim miejscu, ale mam panu do przekazania sprawę nie cierpiącą zwłoki – powiedziałem powoli i wyraźnie.

– Harys, kurwa, ty. – Lester wyciągnął palec wskazujący i zaczął mi machać nim przed nosem. – Ty, kurwa, lepiej żeby to było coś ważnego. Albo wylecisz na zbity pysk, ty psie przebrzydły jeden.

– Mam tu raport dla pana. – Spojrzałem na przydupasa Grega z pilotem od bramy w ręce. – Ale może się przejdziemy kawalek, to wszystko z panem omówię. To zajmie tylko chwilę, ale trzeba podjąć jakąś decyzję. – Nachyliłem się nad Lesterem i wyszeptalem tak, by uznał, że to ważna i poufna informacja: – TreliGo Corporation oraz Bravtec chcą się wycofać z kontraktu.

Wiedziałem, że w ostatnim czasie najważniejszym wydarzeniem w pracy jest chęć inwestycji lub wykupienia części udziałów „L&J” przez kanadyjską firmę, która była zainteresowana naszym największym klientem. Oczy Lestera zaświeciły pomysłem. Wyprostował się i chwycił za kartki, które trzymałem w ręce.

– Chuje jebane, nie będą mi tu... – zawiesił głos, gdy poczuł opór. Kartki pozostały zaciśnięte w mojej dłoni, nieco pogniecione przez szarpnięcie Lestera. – No dawaj – wysyczał.

– Ja wszystko panu streszczę, tylko przejdźmy się kawałek.

Podejrzywałem, że tak łatwo mi się nie podda. W końcu byłem tylko jego ścierwem od czarnej roboty i to on wydawał zawsze polecenia. Położyłem mu po przyjacielsku dłoń na plecach i lekko pchnąłem, by musiał zrobić krok.

– Zaraz jestem, nie zamykaj – rzucił na odchodne do gościa w garniturze i zaczął szurać tuż koło mnie.

– No więc tak – zacząłem niepewnie i obejrzałem się za siebie, by sprawdzić czy nikt za nami nie idzie. – TreliGo znalazło sobie innego partnera, który nie chce udziałów w firmie po inwestycji, tak jak my – improwizowałem. – Bravtec natomiast wycofuje się ze względu na TreliGo, które stanowiło dla nich większość zysku. A my nie jesteśmy w stanie zaopatrzać ich sami.

Pijany pysk Lestera wykrzywił się w coraz większym zdumieniu, by w ostateczności przybrać wyraz całkowitej furii i gniewu.

– Kurwa! – wrzasnął mi prosto w ucho. – Przecież podpisaliśmy już kontrakt, nie mogą się wycofać, cwele pierdolone! To wszystko twoja wina, twoja cholerna wina! Mój syn popełnił ogromny błąd, zatrudniając cię! – Zaczął machać łapami i wyglądał jak wielka, wściekła i obleśna mucha, która nazarła się za dużo, by móc teraz odlecieć. – No to żeś wynegocjował, cymbale jeden!

– Negocjacjami zajmował się Junior – poprawiłem go, ale szybko uderzyła mnie bezcelowość tej dyskusji. – Ja nigdy nie negocjowałem żadnego kontraktu – dokończyłem mimo wszystko, by zaspokoić sumienie.

Lester zatrzymał się na przy wielkim żywopłocie odgradzającym jedną z willi od reszty świata. Zaczął grzebać w kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy.

– Przecież to nie do pomyślenia! – zawył.

– Wiesz co jest jeszcze nie do pomyślenia?

– Co? – próbował gdzieś zadzwonić, ale jego grube paluchy nie trafiały w przyciski.

Nie mógł nawet sobie poradzić z odblokowaniem telefonu.

– Że to są ostatnie chwile twojego życia.

– Nie, nie, nienienie – rzucił ponuro. – Na pewno da się to odwrócić. Będziemy dalej negocjować, pierdole te ich udziały. Niech się tylko nie wycofują.

– Nie zrozumiałeś mnie, Lester.

– Jak ty się do cholery odzywasz do swojego szefa!? – wrzasnął, a jego twarz zmieniła kolor z czerwonego na fioletowy. Odniosłem wrażenie, że to go bardziej rozwścieczyło, niż fałszywe informacje, które mu przekazałem. – Beze mnie jesteś nikim!

– To są ostatnie chwile twojego życia, bo zaraz cię zabiję – powiedziałem spokojnie i sięgnąłem po nóż, a papiery i pudełko od płyty rzuciłem niedbale na chodnik.

Pewna część mnie chciała mieć to wszystko już dawno za sobą. Z utęsknieniem przebiegłem w myślach po moich zamiarach skoku i poczułem ulgę. Z drugiej strony ulga ta przyćmiona została przez uczucie gniewu oraz nienawiści do Lestera i jego w wybałuszonych oczu, którymi spoglądał teraz na mnie.

Czułem także ogromną pustkę i osamotnienie, tak jakbym umarł już dawno, a moje ciało było jedynie posłańcem chorej idei. Nie czułem za to strachu. Być może dlatego, że pustka ta nie pozwalała na zakorzenienie się żadnego pierwotnego lęku oraz dlatego, że nie czekały mnie żadne konsekwencje związane z kolejnym morderstwem. Nie miałem nic do stracenia.

– Kto by pomyślał, że czas przepada na zawsze – powiedziałem.

Oczy Lestera zmętniały wraz z pierwszym pchnięciem.

Drugie pchnięcie sprawiło, że wydał z siebie obłeśne beknięcie połączone z bulgotem krwi, która napłynęła mu do ust.

Trzecie odrzuciło go do tyłu i wpadł bezwładnie na żywopłot.

Cały jego ciężar spoczywał teraz na moim nożu, którego rękojeść musiałem chwycić oburącz, by utrzymać w pionie taki wór mięsa i tłuszczu. Jego szeroko otwarte oczy patrzyły gdzieś w dal, a na blednącej twarzy wymalował się grymas zdziwienia i porażki, który miał pozostać na niej już na zawsze. A przynajmniej do czasu odnalezienia ciała.

Ten grymas, najbardziej ludzki ze wszystkich jego grymasów, zastał go dopiero w chwili śmierci. Przez moment zrobiło mi się żal tego starego, próżnego dupka.

Naparłem do przodu tak, że cielsko Lestera wprasowało się w żywopłot i wyciągnąłem nóż. Wszystkie trzy rany, które zadałem w okolicach mostka, obficie krwawiły. Gęsty i pulsujący strumień czerwonej mazi upewnił mnie, że udało mi się przebić przez tłuszcz, co przy jego tuszy wcale nie było takie oczywiste.

Nie miałem potrzeby ukrywać zwłok, więc go tak zostawiłem, wycierając uprzednio ostrze jedną z rozrzuconych kartek papieru. Po chwili jego truchło osunęło się na chodnik. Lester leżał na plecach jak zdechła mucha.

Czym zasłużyli sobie Junior i stary Lester? Oczywiście, że nie kierowałem się tylko i wyłącznie osobistymi pobudkami. Mam nadzieję, że rodzina Juniora odetchnie z ulgą. Jego żona odstawi leki uspokajające, a córka przestanie nosić tylko długie rękawy do przedszkola, by móc ukryć siniaki. Mam nadzieję, że pracownicy firmy wymienią między sobą porozumiewawcze spojrzenia na pogrzebie, w głębi duszy dziękując za brutalne przerwanie wyzwisk, kpin i poniżania. Być może ich kolejna praca okaże się lepsza lub też założą własny interes, ponieważ znali się na tym fachu sto razy lepiej niż Lesterzy razem wzięci.

Rodziny Richarda Lestera nigdy nie poznałem. Nie zdziwiłbym się, jakby trzymał ich w piwnicy, by nie mogli zdradzić jego największych podłych sekretów. Najprawdopodobniej jednak po prostu płacił im za milczenie, a cała instytucja rodziny w jego wykonaniu sprowadzała się do pieprzenia żony i wymyślania coraz to nowych kar dla nieposłusznej nastoletniej córki, której nigdy nie chciał. A przynajmniej tak mówił jego ogrodnik, z którym miałem okazję kiedyś przelotnie porozmawiać.

Być może to i dobrze, że kobiety w życiu obu Lesterów były tylko nic nie wartym mięsem. Dzięki temu nie stały się takie jak oni. Być może sprzeciwiały się ich fałszywości i podłości.

Być może wszyscy, którzy tak robili byli dla nich bezwartościowi.

Mam nadzieję również, że za nimi nigdy nie zatęsknią. Tak jak ja, pracownicy i ci wszyscy oszukani klienci, nabijani w butelkę i mamieni tanim szmelcem.

ROZDZIAŁ 15

– Jesteś zwykłym mordercą! – krzyknął ktoś z tłumu. Była to rosła i prosta kobieta, przypominająca tęgą gospodynię domową. Na jej twarzy malował się rumieniec złości, a krzywe zęby zbierały nadmiar śliny w lewym kąciku ust.

– Skacz, jak prawdziwy mężczyzna! Nikt po tobie nie będzie płakał! – wrzasnął facet w swetrze.

Gdzieś koło niego pojawił się fotograf z dyndającym na piersi identyfikatorem. Szybko przyłożył aparat z ogromnym obiektywem do oka i zrobił zdjęcie dokładnie w momencie, gdy Robert na niego spojrzał.

Być może będzie z tego nagroda Pulitzera, pomyślał po chwili.

– Najgorsze w człowieku jest to, że potrafi sobie wszystko uzasadnić – powiedział Crick i pokiwał głową z dezaprobatą.

Policjant Dwayne stał z wytrzeszczonymi oczami i starał się znaleźć rozwiązanie dla tej sytuacji. Wymienił się szybkim spojrzeniem z Laurą, której zastygła z otwartymi ustami jakby chciała coś powiedzieć. Odwodzenie od samobójstwa spadło teraz na drugi plan.

– Poddaj się – powiedział Dwayne najspokojniej jak mógł, chociaż drżały mu wargi.

Złapał za kaburę przy pasie, ale szybko zrezygnował z wyciągnięcia broni. Mierzenie z pistoletu do samobójcy wydało mu się chorą ironią i w pewnym sensie najdziwniejszym *faux pas* jakie mógł sobie wyobrazić.

– Śmiało, strzel do mnie – rzucił Robert z rezygnacją, wiedząc, że tak się nie stanie. – Śledztwa już nie musicie prowadzić, przyznaję się do wszystkiego. Oszczędzicie pieniądze podatników.

– To, co zrobiłeś, było bardzo złe – powiedziała Laura matczynym tonem z przesadną intonacją. – Twoje życie jednak jest wciąż wartościowe i warto je kontynuować—

– W pierdłu? – Robert dokończył za nią. – Jakoś nie podoba mi się ta perspektywa. Jak sama pewnie zauważasz, skok z mostu jest znacznie lepszym rozwiązaniem. Ale nie przyznasz się do tego, bo to wbrew twojej pracy tutaj, za którą dostajesz zapewne całkiem niezłe pieniądze.

– To co teraz zrobisz? – zapytała Anna.

– Dokończę swoją historię.

Po przeciwnej stronie ulicy schludnie ubrani ludzie wyglądali przez okna. Nie mogli ich otworzyć, jako że był to szklany biurowiec, toteż wyglądali jak portrety oprawione w ramkę. Z okien najbliższego budynku mieszkalnego, położonego około stu metrów dalej, zaczęły wylaniać się pierwsze głowy. W jednym z nich pojawiło się kilkuletnie dziecko, by popatrzeć co się dzieje, ale moment później zostało zabrane siłą przez matkę. Właściciel sklepu wędkarskiego wyszedł przed drzwi. I tak nie miał klientów, bo ludzie woleli przyglądać się Robertowi zamiast łowić ryby w rzece.

Wszyscy dostali darmowe bilety na widowisko, z którego nie rozumieją nic więcej, prócz zakończenia historii Roberta, gdy ten zniknie wraz z wiatrem z płaszczyzny mostu, lub też zostanie zatrzymany i wpakowany do radiowozu jak szmaciana lalka.

Niektórzy mieszkańcy pokwapili się i wyszli w podkoszulkach i klapkach, by z uwagą przyglądać się jednemu z ciekawszych przedstawień, jakie mieli okazję oglądać.

Przedstawienia, którego ceną wywoławczą jest ludzkie życie. To dość wysoka stawka, jak na szarą codzienność serwowaną w tym nijakim mieście.

Tak właśnie wśród tłumu pojawiło się dwóch sąsiadów – Drew i Jim – którzy byli symbolem tego regionu. Żyli tutaj całe życie, kradli i pili za młodu, wysiedzieli lata w wojsku, by następnie wrócić i założyć rodziny, przywodzące na myśl rodzinę z sitcomów lat siedemdziesiątych. Dwóch sympatycznych zwyrodniałców z piwnym brzuchem w poplamionych podkoszulkach, którym każdy mieszkaniec osiedla mówił „dzień dobry”, na wpół z szacunku i na wpół z szyderstwa.

– Kurwa... – zaczął Jim trzymając skrawek tłętego się papierosa między palcem wskazującym i serdecznym – ...mogliby go tak zagadać z jednej i capnąć z drugiej strony, no nie?

– Też mi się tak wydaje, sąsiedzie. – odpowiedział sucho Drew, jakby już nic nigdy nie mogłoby go zdziwić. – Trzeba gnoja paralizatorem trzepnąć.

– No co ty? Przecież się puści i zleci z tego mostu.

– Pierdolisz tam, sąsiad. Jak paralizatorem dostanie, to mu mięśnie się zatrzymią i żadnego ruchu nie wykona. – Drew zmrużył oczy w geście absolutnej pewności siebie.

– Nie puści się?

– A w życiu. To tak jak widelec włożyć do kontaktu. Będzie cię telepać, aż ktoś cię nie oderwie.

Oboje pokiwali mądrze głowami i z obojętnością na twarzy oglądali całe wydarzenie.

Ludzie się gapią, jeżeli nie są z czymś oswojeni, pomyślał Robert.

Uniósł dłoń i zauważył, że jego pot odłuszczył brunatną farbę od rdzy. Dało się ją zrywać jak lichą naklejkę. Most w domyśle był czerwony. I nie była to krwista czerwień, czy też ruda czerwień – był to ten jeden z niewielu odcieni czerwonego, który można przyrównać do starych, pociemniałych cegieł. Nie restaurowany, ani nie malowany od lat, przybrał kolor brunatnego, gdzie farba odłaziła za pierwszym dotknięciem. Brunatnego, którego było ciężko odróżnić od otaczającej rdzy.

ROZDZIAŁ 16

Na każdym kroku widywałem ludzi bez wewnętrznych namiętności, bez cnót. Byli próżni, płacy, pozbawieni głębi. Jak napisani ołówkiem na kartce papieru. Żyjąc między nimi miało się wrażenie, że całe twoje życie to tylko tani film, nie mający nic wspólnego z

czymś prawdziwym. Czymś, co mogą przeżywać inni ludzie, którzy lepiej trafili z obsadą i znajdują się w wygodniejszym psychicznie miejscu na świecie. O takich krążą historie, które przekształcają się później w anegdoty, artykuły, czy nawet książki i filmy. Natomiast moje dotychczasowe życie to tylko nędzna kalka scenariusza, który został powielony parę milionów razy i rozrzucony po świecie. Niektórym dostało się dodatkowo, jakby na złość, złudne przeświadczenie, że coś może kiedyś ulec zmianie na lepsze. Dostają nadzieję, że kiedyś ich wewnętrzne namiętności, też dodane jakby na złość, znajdą ujście w pełnym i bujnym życiu. Dostają marzenia.

A gdy cała nadzieja topnieje, chwytają się z powrotem za marzenie, które jest jak nienaruszony pal w ich oceanie lodu i słońca.

I tak właśnie mogłem istnieć, przez całe życie, z tą kalką scenariusza, wykrzykując w głębi ducha zasadnicze dla wszystkich pytanie – dlaczego ja? I co ja takiego zrobiłem? Nie dość, że brak odpowiedzi wpędza w jeszcze większy marazm, to na dodatek wywołuje stany, o których tym próżnym i płaskim nawet się nie śniło. O ile są w stanie śnić.

Próba zmiany tego stanu nie kończy się dobrze. Zazwyczaj jest to ślepy skok w przepaść. Sam lot być może i wzbudza nadzieję, ale kontakt z ziemią jest zawsze bolesny i często śmiertelny, o czym będę mógł się na ułamek sekundy przekonać, zanim osiągnę spokój.

Ten świat jest dla tych, którzy nie przejmują się nędzną kalką, oraz dla tych, którzy trafili na oryginalne historie. Cała reszta przesnuje się kilkadziesiąt lat, raz po raz życząc sobie śmierci, aż w końcu, tak jak mnie, uda się uciec w próżnię.

Alice, gdy była mała, bardzo lubiła rysować. Jej pierwszy kontakt z kredką był jeszcze kiedy nie potrafiła mówić ani chodzić. Pamiętam jak dziś, gdy siedziała na swoim kocyku w pokoju z porzrzuconymi dookoła zabawkami. Nie miała zbyt dużo własnych maskotek, takich przeznaczonych dla dzieci. Jednym z powodów był brak pieniędzy na ogromne domki dla lalek czy zestawy Lego. Drugim powodem był fakt, że wcale dziecięcych zabawek nie potrzebowała. Często wystarczyły jej przedmioty codziennego użytku, które mogła oglądać i przebierać w rączkach całymi dniami, przeinaczając ich przeznaczenie według własnej wyobraźni.

I tak dookoła Alice i jej kocyka leżał tandetny drewniany wazon, koszyk wiklinowy, stara gazeta, włóczka oraz kilka talerzy i plastikowych owoców z jakiegoś dziecięcego zestawu. No i oczywiście kartka papieru oraz kilka świecowych kredek. Nie trzeba było jej tłumaczyć jaki efekt daje połączenie tych dwóch różnych przedmiotów. Zawsze lubiła stukać

i trzec o siebie dwie rzeczy. Tak też zrobiła i tamtym razem, chwytając piąstką czerwoną kredkę i uderzając nią o czystą kartkę. Pierwsze jej zdziwienie nastąpiło, gdy kartka została przebita na wylot, jako że leżała na miękkim dywanie. Spojrzała na mnie pytająco i zagaworzyła jakąś losową sylabę, która w tamtym przypadku brzmiała „ge”. Chcąc jej pomóc poszedłem do kuchni i wziąłem deskę do krojenia, pośpiesznie zmiatając z niej okruszki, a następnie podłożyłem pod nową kartkę, która już za chwilę miała stać się portalem do świata jej wyobraźni. Pacnęła w nią ponownie, ale tym razem zamiast dziury pojawiła się na niej mała krzywa i czerwona kreska. Po jej spojrzeniu pełnym zmieszania poznałem, że jest w wielkim szoku. Tak wielkim, że aż kredka wypadła jej z rączki i poturlała się w stronę regału. Alice nachyliła się nad kartką i z niedowierzaniem wpatrywała się w swoje dzieło, podczas gdy ja cicho podeptałem po kredkę i wsunąłem jej z powrotem do dłoni. Piąstka ponownie zacisnęła się, jakby automatycznie, i za chwile nastąpiły kolejne pacnięcia. Przybyło kilka dodatkowych kresek i kropek, ale Alice wiedziała, że powinna się bardziej postarać. Przyłożyła wtedy kredkę do karki i bez odrywania nabazgrała kilka pozawijanych kształtów zadowolenia. Spojrzała znów na mnie rozpromieniona. Zamachała łapkami z radości oraz podskoczyła parę razy tyłkiem, aż świecowa kredka znów wypadła jej z dłoni.

Przez kolejne kilka minut podawałem jej kredkę z powrotem, co chwile wymieniając ją na inny kolor. Potem rozłożyłem wszystkie przed nią i pozwoliłem wybierać. Mimo wszystko jej ulubioną pozostała ta pierwsza, czerwona – wtedy już złamana od oznak radości, co chyba wcale jej nie przeszkadzało.

Ten rysunek był jedna z pierwszych rzeczy jakie zapakowałem podczas wyprowadzki. Trzymam go do tej pory w swojej szafce zadedykowanej wyłącznie Alice, gdzie inne przedmioty nie mają żadnego wstępu.

Gdy Alice dorastała beze mnie, dostawałem rysunki od niej przez jeszcze pół roku. Potem matka najwidoczniej uznała, że nie ma sensu karmić mnie złudzeniami i płacić za przesyłkę na pocztę. Ostatni jej rysunek przedstawiał ją samą, z pomarańczową twarzą i trójkątną niebieską sukienką. Jej ręce stanowiły kreski z czterema palcami, z których jedna trzymała dłoń swojej mamy, a druga trzymała dłoń jej nowego, bogatego ojca. Poznałem go po niskim wzroście i czerwonym samochodzie, który stał koślawo w tle, obok drzewa z sówią dziuplą.

To był najwidoczniej znak, że o mnie zapomniała.

Szkoda, że tak wiele dobrych wspomnień się zaciera. Przyjemnie byłoby je później wspominać.

ROZDZIAŁ 17

– Czyli nie wstydzisz się pan za swoje czyny?! – krzyknął jakiś reporter z dyndającą na szyi legitymacją prasową. W jednej ręce trzymał mikrofon, a drugą przytrzymywał się barierki, miotany popchnięciami i przekleństwami, gdy wpełznął się na sam początek gapiów.

Robert spojrział na niego z politowaniem i opuścił wzrok.

Przyziemność to przykra wada ludzka, pomyślał.

ROZDZIAŁ 18

Co się działo dalej tej nocy?

Poczułem jakby jakiś dziwny obłąd się we mnie wkradł. Mdłe przeświadczenie, że to ostatnia noc mojego bytu. Tak jak innym wkrada się niepokój przy tęsknocie za promieniami słońca, tak i ja z nostalgią wciągnąłem w siebie otaczający mrok. Zaparłem dech, by dłużej delektować się ostatnim nocnym powietrzem i wypuściłem po dłuższej chwili – jako obłok ostatniej cząstki człowieka we mnie.

Wraz z wydechem poczułem pewien rodzaj głębokiego smutku. Takiego, który idzie wraz z przekonaniem, że ten smutek nigdy nie zniknie. Podobny do tego, jaki się odczuwa przy złamanym sercu. Podobny też do tego, jaki się odczuwa po zabiciu człowieka.

A w zasadzie to oba są takie same.

Stałem tak przez chwilę i zwalczałem swoje obłąkanie. Całe otoczenie przemieniało mi się w sen, w którym mogę wszystko. Świat kurczył się do mojej perspektywy i dostosowywał do mojej wędrówki. Modelował się tak, jak sobie tego zażyczyłem.

Napiąłem mięśnie na klatce piersiowej, jakby dla podkreślenia swojej cielesności, która wciąż pozostawała przybita do ziemi, a następnie przekręciłem głowę i strzeliłem karkiem. Chciało mi się gwizdać. Po smutku naparła mnie duma, że w końcu coś poprawnie wykonałem, coś mi w życiu wyszło. Może takie właśnie było moje powołanie? Nie tłumilem tej prześmiewczej myśli i ironizowałem ze sobą i z losem. Bawiłem się z bogiem. Spojrzałem na nóż trzymany w ręce i cicho parsknąłem na pomysł, że całkiem miły ze mnie facet, gdyby nie te okoliczności.

Sen rozpięzchnął się wraz z przyjazdem na przystanek nocnego autobusu. Jak ja się tam znalazłem? Ocknąłem się z nożem w dłoni na wprost otwierających się z sykiem środkowych

drzwi pojazdu. Wyraźne światło z jarzeniówek na suficie urealniało wnętrze, w porównaniu do mętnej atmosfery panującej na przystanku. Lekki podmuch wiatru uświadomił mi, że jestem zlany potem. Czuję jak schłodzona kropelka pełna soli wędruje po mojej skroni i zastyga na końcu policzka. Otarłem ją rękawem dłoni, w której trzymałem nóż i spojrzałem wprost na przyglądającego mi się pasażera. Była to, prócz kierowcy, jedyna żywa osoba w całym autobusie.

Mężczyzna niedaleko po trzydziestce przyglądał mi się badawczo, symulując nieco brak zaciekawienia. Krzątnął się na siedzeniu, tak jakby chciał odwrócić się do mnie plecami, ale było za mało miejsca. Wtedy drzwi zaczęły się zamykać.

Przecież to był mój autobus.

Nacisnąłem przycisk przy drzwiach i rozwarły się ponownie. Gdy przestąpiłem próg, autobus zwiększył obroty i ruszył niemrawo, ze znużeniem. Stałem przez chwilę na środku podłogi i świdrowałem wzrokiem jedyne go pasażera. Próbowałem dociec, czy może mi zaszkodzić i czy domyśla się więcej, niż powinien. Z kieszeni wyciągał powoli telefon komórkowy.

Ostry zakręt zmusił mnie do złapania się poręczy i usiadłem jedno miejsce za nim. Zaczęło do mnie docierać, że wejście do autobusu z nożem w ręce było najgłupszą rzeczą, jaką mogłem zrobić. Zakląłem pod nosem i złączałem się w myślach. Nie potrafiłem dochować podstawowych środków ostrożności i teraz niewinni będą przez to cierpieć.

Staralem się sobie uzasadnić własne czyny.

Przecież my, jako cywilizacja, nie mamy żadnych ambicji.

Długo ścisakałem nóż w ręce. Miałem wrażenie, że zagłębienia w rękojeści powstały na skutek mojego zbyt mocnego chwytu, który rozpuścił materiał, a palce wtopiły się jak w plastelinę. Widziałem oczami wyobraźni jak ostrze przebija się przez wątki plastik siedzenia i spotyka się z ciepłym, drżącym ze strachu mięsem, któremu po głowie chodził zapewne podobny obraz.

Gdybym to zrobił, stałbym się jedynie zwykłym mordercą. Ale czy już nim nie byłem? Czy dwie ofiary na koncie nie czyniły mnie zwykłym psycholem z własną pokrętną ideologią, która miała na celu uspokojenie sumienia?

Wyobraziłem sobie mój pogrzeb. Zaledwie garstka osób z ulgą w oczach spoglądała na kartonową trumnę, plując i szydząc z rodu Harysów, ciesząc się, że sam wymierzyłem sobie karę. Szkoda tylko, że bez uprzednich tortur i cierpienia. Jedyne kwiaty, które pojawią się na pogorzeliisku mojego bytu będą od zakładu pogrzebowego, który dla zachowania

formalności umieści kilka czarnych róż tuż pod tabliczką „Robert Harys, seryjny morderca”. Z mojej rodziny nikt się nie pojawi. Zarówno ze wstydu, jak i z psychicznego wyparcia, że moje truchło miało z nimi kiedykolwiek coś wspólnego. Ktoś jedynie szepnie, że taki był cichy i porządny, że wystarczyło go wysłuchać.

Ale miałem to gdzieś. Zależało mi jedynie, by moja Alice żyła w błogiej nieświadomości kim stał się jej prawdziwy ojciec. I miałem zamiar tego dopilnować.

Pogodzić się ze swoimi wyborami jest trudno. Podjęcie decyzji często bywa lekkie, bez głębszego przemyślenia. Ale to z jej konsekwencjami musimy dalej żyć. Z tym ciągłym zadawaniem sobie pytania – czy postąpiłem słusznie? Czy tak właśnie chciałem, by to wszystko wyglądało? A odpowiedź jest często przecząca. Nie, wszystko poszło nie tak.

Czy wtedy właśnie tak myślałem? Nie. Czy teraz tak myślę? Owszem. Gdybym mógł, cofnąłbym wszystko. Cofnąłbym całe swoje życie do samego początku. Nie pozwoliłbym mojemu bratu zginąć w wypadku i nie pozwoliłbym ojcu złamać mi ręki. Matki nie oddałbym do zakładu psychiatrycznego, ponieważ była to jedyna osoba, która tak naprawdę mnie w życiu kochała. Kochała mnie nawet wtedy, gdy nie pamiętała już mojego imienia i mogła się skoncentrować zaledwie na kilka sekund.

Wszystko potoczyło się inaczej niż powinno. Mam wrażenie jakby całe moje życie ułożone było w scenariusz, który miał z góry napisane zakończenie. Nie będę tłumaczył się ze swoich decyzji. I tak każdy oceni mnie na swój sposób. Nie związany z tym co mówię, ale z tym, co zrobiłem.

Liczą się czyny, nie słowa.

Mam nadzieję, że nie znajdę naśladowców. Chcę być... chciałbym być tą jedyną wypaczoną jednostką, która swoim cierpieniem zniszczyła życia innych ludzi. Szaleńcem, który szukał idei w morderstwach. Człowiekiem nie mającym nic do stracenia, ponieważ zdecydował już o końcu własnego życia.

Każdy z was chciałby wymierzać sprawiedliwość po swojemu. To jest jedno z wewnętrznych pragnień ludzkich, które powinno być najmocniej trzymane w ryzach. Mnie się nie udało. Weźcie ze mnie przykład, uczenie się na moich błędach. Być może kiedyś usiądziecie w wygodnym fotelu, rozłożycie zmęczone po pracy nogi i westchniecie w głębi ducha – „jestem znacznie mądrzejszy dzięki Robertowi Harysowi”.

Pasażer zatrzeszczał siedzeniem.

– Lepiej, żebyś schował telefon i zapomniał to, co widziałeś – przemówiły za mnie resztki rozsądku.

Mężczyzna lekko drgnął, jakbym słusznie zwrócił mu uwagę. Powoli schował telefon komórkowy do kieszeni, nieco afiszując swój gest. Jestem pewien, że w wyobraźni widział mnie z nożem przy jego karku. Uznał, że najrozsądniej będzie podporządkować się moim słowom.

Czułem jego strach. Widziałem jego strach. Słyszałem jego strach. Unosił się jak para wodna w saunie, mgląc obraz przed oczami. Miał zapach słodkiego, zimnego potu.

Myślę, że po spotkaniu ze mną zacznie jeszcze bardziej szanować życie.

Jechaliśmy kilkanaście minut, on ani drgnął. Bał się, że jakikolwiek jego ruch będzie wystarczającą prowokacją, by przebić oparcie i dostać mu się do narządów wewnętrznych. Od czasu do czasu widziałem w szybie jego przerażone odbicie, gdy lustro zastępowało okno podczas mijania latarni. Wiedział, że go obserwuję i nie odwzajemniał spojrzenia.

A za oknem, rozpościerał się czarno–szary pejzaż dwustutysięcznego miasta, które na dobrą sprawę nie miało do zaoferowania nic, prócz galerii handlowych i Aquaparku. Rytmiczne mignięcia kolejnych lamp były kojące i idealnie dopasowywały się do warkotu silnika, który swoje najlepsze lata miał daleko za sobą. Wrzucanie kolejnych biegów i ich redukcja stanowiło przyjemne mruczenie, podobne do kołysanki. Z minuty na minutę zieleń przeobrażała się w beton. Pojedyncze drzewa i domy jednorodzinne zastępowane były przez wysokie apartamentowce i bloki. Żółty blask latarni zakłócany był przez rosnącą ilość krzykliwych neonowych reklam i reflektorów przejeżdżających na drugim pasie samochodów. Nieśmiałe, pojedyncze światła w oknach budynków zwiastowały imprezy lub bezsenność.

Myśli uciekały mi w stronę Alice. Wydzielona w moim umyśle przestrzeń na jej osobę była świątynią ze złota. Rozkosznym azylem otoczonym grubymi, solidnymi murami. Przypomniła mi się jej ulubiona bajka, którą opowiadałem jej wielokrotnie do snu. Piękna utopijna historia, której bohaterem był rycerz Igor, który zasłynął z odwagi oraz męstwa i został mianowany prawą ręką króla.

– Tato, tato – zapisała Alice, biegnąc z wielką książką przytuloną do jej piersi. Tak naprawdę książka nie była wielka, ale taka się wydawała przy drobnej sześciolatniej dziewczynce. – Opowiedz, proszę!

Jej ręczki podsunęły mi pod oczy obrazkowy tomik z kilkunastoma stronami. Pokazała mi ją z tak bliska, że musiałbym zrobić zeza, by dostrzec co jest na okładce. Ale dobrze wiedziałem o jaką opowieść jej chodzi. Mimowolnie się zaśmiałem, odstawiając wszystkie zmartwienia na bok. Zawsze chętnie je wymieniałem za promień jej uśmiechu, który za każdym razem pokazywał inną ilość zębów.

Usiadła koło mnie i otworzyliśmy pierwszą stronę. Całą historię знаła już dawno na pamięć, ale często starałem się dodawać coś od siebie, by brzmiała inaczej.

– A kto to jest? – zapytała stawiając palec na młodym chłopaku z pierwszego obrazka. Pierwszy plan przedstawiał rycerza, jego konia i kilka rozanielonych kobiet machających chustami na jego cześć. Na drugim planie były mury rycerskiej stajni, wraz z parobkiem ze szczotką w ręku.

– To Jessie, pomocnik rycerza. Bez niego koń nie był by tak pięknie uczesany, a zbroja rycerza by tak nie lśniła – zaimprovizowałem. – To bardzo ważna postać, chcesz usłyszeć jej historię?

– Taaak! – zakrzyczała Alice i zaczęła wiercić ze zniecierpliwienia.

– Jessie był biednym i nieporadnym chłopcem, lecz jego marzenia sięgały bardzo wysoko. Zawsze chciał być rycerzem, takim jak Igor, ale nie pochodził z tak bogatego i poważanego rodu. Jego sakiewka ciągle była pusta. Większość talarów, jakie zarobił przy pracy w stajni, oddawał chorej matce, a resztę zabierał mu ojciec pijak, który regularnie co tydzień okradał jego skarbonkę. Bardzo niedobry człowiek.

– A co to talar? – Wgapiała się we mnie.

– Pieniądze. Tak jak dolary. No dobrze, niech będą to dolary.

– Dolary – powtórzyła za mną.

– Oprócz braku dolarów i dobrego rodowodu, w staniu się rycerzem przeszkadzała mu blizna, którą miał na policzku. Tutaj na obrazku jej nie widać, bo jest po drugiej stronie twarzy. Miał kiedyś rozcięty policzek, i teraz, od skroni aż po brodę, miał ślad, który przypominał mu o tym, jak spadł z konia podczas wygłupów i złudnych nadziei, że też potrafi jeździć z taką gracją jak rycerz Igor.

– Bolało go? – dociekała Alice.

– Trochę. Ale blizna odbierała mu pewności siebie i sprawiała, że był małomówny i chodził ciągle z opuszczoną głową. Nie mógł uwierzyć, że może się komukolwiek podobać i cały czas myślał, że wszyscy się z niego nabijają.

– Wszyscy? – chciała się upewnić.

– Wszyscy, którzy go lepiej nie znali – odparłem.

– To smutne. To tylko blizna – powiedziała Alice marszcząc czoło.

– No właśnie. Tak samo mówiła mu jego koleżanka, która usługiwała księżniczce rycerza. A tak naprawdę podkochiwała się w nim i nie wiedziała jak mu to powiedzieć.

– A ty kochasz mamę? – zapytała, znów wgapiając się ciekawsko we mnie. Czulem jak każdy mój impuls i gest jest trawiony przez jej świadomość.

– Oczywiście, że kocham.

– I jest twoją królową?

– Tak. A ty moją księżniczką. – Pocałowałem ją w czoło, a Alice odwzięczyła mi się uściskiem mojego ramienia. Była tak drobna, że tylko moje ramię mogła objąć w całości. – Swojego księcia też kiedyś spotkasz – dodałem. – Pewnie będzie taki jak ten rycerz, bo zasługujesz na takiego.

– Wolałabym tego z blizną – powiedziała z pełną powagą. – Ten rycerz jest jakiś taki zarozumiały i nadęty. Taki dupek.

– Alice! – skarciłem.

– Przepraszam – wyszczerzyła się w uśmiechu i zasłoniła teatralnie usta. Poczulem dumę.

– Proszę, nie rób mi krzywdy. Chciałbym tu wysiąść – powiedział pasażer przede mną drżącym głosem.

Przerwał mi wizję. Rozszarpał bań swoim przykrym strachem, która wymalowała na mojej duszy chwilę spokoju zastępującą długi sen. Kamień przygnębienia znów spadł na moje serce.

– Mogę ci zaufać, że nikomu nie powiesz?

– Oczywiście. Mnie tu nie było.

– W porządku, idź – ponagliłem.

Wiedziałem, że przez długi czas nie będzie siadał odwrócony plecami do kogokolwiek w autobusach. Przypadkiem spojrzeliśmy sobie w oczy, gdy wstawał. Od razu opuścił wzrok i zauważyłem po jego ekspresji, że żałuje. Nie wiem czego, ale jego napięta twarz wyrażała ujmujący, ogromny żal.

Chwilę po syknięciu zamykanych za nim drzwi wyciągał z kieszeni telefon.

Ludziom nie można ufać.

Uznałem, że trzeba wysiąść na kolejnym przystanku i resztę trasy pokonać na piechotę. W zasadzie to mogłem jechać do samego końca, jako że pasażer nie wiedział gdzie wysiadam, ale policja mogła mnie dorwać w autobusie. Wolałem nie ryzykować i wysiadłem jakiś kilometr dalej.

Chłodny nocny wiatr owiał mi twarz i przywrócił poczucie misji. Oklepałem się dookoła, sprawdzając czy nóż jest na swoim miejscu za pasem, i czy latarka i rękawiczki znajdują się nadal w tylnej kieszeni. Lekko poprawiłem ostrze, by lepiej leżało, a następnie wymacałem z tyłu skórzane rękawiczki. Spoczywały tam nienaruszone.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że zabiłem starego Lestera bez nich i dokładnie obejrzałem swoje dłonie. Lewa była w porządku, ale prawą zdobiły cętki zaschniętej krwi, która również znalazła się pod paznokciami. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia. Jak mogłem zapomnieć je założyć?

Latarki również nie było. Musiała mi w którymś momencie wypaść, być może nawet zostawiłem ją w autobusie. Jedyne, co wyraźnie pamiętałem, to momenty morderstw, wszystko inne było mdłe i niejasne, zupełnie jakbym był pod wpływem alkoholu. Ale czy naprawdę to wszystko się stało? Czy zabiłem dwie osoby?

Jeszcze raz przyjrzałem się swojej prawej dłoni i koszuli. Tak, to byłem ja. To się wydarzyło.

– Skup się – wymamrotałem.

Ale po chwili zreflektowałem się, uznając, że mówienie do siebie nadaje wagi słowom dla ludzi, których myśli są płytkie. Tak robiła moja matka.

Rozejrzałem się dookoła, by ustalić swoją pozycję. Byłem tu drugi raz w życiu, pierwszy raz w nocy. Po zmroku wszystko wygląda inaczej. Nierealnie, obco, ponuro. To gdzieś tutaj zabraliśmy Alice do chirurga, gdy przewróciła się na rowerze i złamała rączkę.

– Ja też mam bliźnię, tato. Tak jak ten chłopiec – powiedziała Alice.

I ja też miałem bliźnię, po tym jak ojciec mi złamał rękę.

– Skup się. – Zacisnąłem dłonie na skroniach.

Stałem ciągle na przystanku. Na jego odrapanym słupie widniała kartka:

CIAŁO DO WYNAJĘCIA

Dzwoń. Samantha.

Poznałem kiedyś jedną Samanthę. Była kelnerką w nocnym barze „WatchGod”, w którym lubiłem topić smutki po rozwodzie. Sam rozwód trwał krótko, dwa miesiące oczekiwania, trzydzieści cztery minuty rozprawy. Moje topienie smutków trwało pół roku. I trwałoby nadal, gdyby nie Samantha.

– Nie pasujesz tutaj – powiedziała do mnie kiedyś podając mi kolejnego drinka.

– Ty również – odpowiedziałem jej zgodnie z prawdą.

Oboje rozejrzeliśmy się po lokalu pełnym wytatuowanych Harleyowców w przetartych skórach i wychudłych ćpunów, którzy alkoholem zabijali głód narkotykowy. Dym papierosów wypełniał każdy zakamarek, dając uczucie sennego odrealnienia.

– Ale tutaj mam najbliżej – dodałem.

– Kobieta? Rozwodnik? – zapytała, uważnie mi się przyglądając.

– Rodzina. Tak, rozwodnik.

– Rozpoznałam od razu. Znam ten typ. Przychodzi sam, siada przy barze jak duch. Wypija kilka drinków lub piw, ale nigdy się nie upija na umór. Zazwyczaj patrzy w szklankę i bawi się płynem, przechylając ją w różne strony. Płaci bez słowa i wychodzi.

– Masz mnie – odpowiedziałem siląc się na uśmiech.

– A ja? Dlaczego według ciebie tutaj nie pasuję? – zapytała i zaczęła wycierać świeżo umyte kufle.

– Zapewne starasz się dorobić tutaj trochę i rzucić to w cholerę. Pójść dalej, realizować swoje plany. Jesteś drobna, spokojna. Pijackie podrywy zbywasz nieśmiałym uśmiechem – wyjaśniłem spijając łyk najtańszej whisky ze szklanki. – Zapewne, podobnie jak ja, nie takie życie sobie wyobrażałaś.

– Już dawno przestałam sobie wyobrażać własne życie. Staram się czerpać z tego co mam.

– No to ja, jak widać, czerpię z tego oto drinka. – Przechyliłem szklankę i miedziany płyn zawirował po ściankach. – To pomaga pogodzić się z terażniejszością. Pomaga znieść fakt, że jest się innym od reszty.

– Myślę, że każdy czuje się nieco inny od reszty.

Pod ladę, ze stukotem kowbojskich obcasów, zawędrował zarośnięty mężczyzna. Pomachał dziesięciodolarówką i zamówił dwa piwa.

– A gdybym ci powiedział, że zamierzam zrobić coś głupiego i straszego? – zagadałem znów, gdy wróciła do wycierania kufli.

– To raczej kobiety po rozstaniach robią głupie i straszne rzeczy – powiedziała szorstko. – Faceci upijają się w samotności i użalają nad sobą, kobiety natomiast zachowują

się jak spuszczone ze smyczy. Starają się udowodnić sobie ile są warte i robią to poprzez puszczenie się na prawo i lewo.

– Starasz się mnie pocieszyć?

– Mam kilka koleżanek rozwódek – odparła sucho, ale wysiliła uśmiech.

– Jesteś kobietą, nie powinnaś być przeciwko swojej płci. To dość niespotykane – uznałem z nieukrywanym zdziwieniem.

– Nie cierpię kobiet. I dlatego jestem lesbijką – zaśmiała się pokazując wybielone proste zęby. – To jak? Kogo chcesz zabić?

ROZDZIAŁ 19

Wiatr zatrzepotał włosami Anny. Zatrokana spoglądała w nicość, jakby próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Poprawiła się, by usiąść wygodniej, i spojrzała Robertowi głęboko w oczy, by po chwili przebiec wzrokiem po jego twarzy, jak po starej fotografii, odkrytej po latach na strychu.

– Nie przedstawiła ci się – zauważyła Anna.

– Nie. Miała plakietkę z imieniem, stąd wiem, że była to Samantha – wyjaśnił Robert.

– Być może to było jej przybrane imię. Wiesz, kelnerki też czasami wymyślają sobie imiona sceniczne, jak prostytutki.

– Może i masz rację. Skąd wiesz? – zapytał, wpatrując się w czubki swoich butów. Od stania na krawędzi rozboleły go kostki i teraz bujał się delikatnie, by rozruszać zastygłe mięśnie.

– Pracowałam kiedyś jako kelnerka. I miałam przybrane imię.

– Jakie?

– Claire.

– Jak to się stało, że jeszcze mi o sobie nie opowiedziałaś?

Rozmowa Roberta i Anny mogła być zwykłą rozmową, gdyby nie samochody policyjne, służby ratownicze i kilkadziesiąt osób zgromadzonych dookoła.

Wszystkich zżerała pierwotna ciekawość – jeden z tych instynktów, których ludzie nie potrafią kontrolować. Każdy z gapiów został instynktownie zatrzymany, wyrwany z codziennych spraw, byleby tylko poznać dalsze losy niecodziennego wydarzenia. Dla wielu z nich wyglądało to jak teatr. Równie dobrze za sekundę przedstawienie mogłoby się skończyć, aktorzy ukloniliby się nisko, a widownia zaczęłaby klaskać.

– Nie powinnam ci o sobie opowiadać.

– Dlaczego? – zapytał zaintrygowany, bacznie się jej przypatrując starał się odnaleźć powód zapisany gdzieś w jej aparycji.

– Tak będzie po prostu lepiej. Uwierz mi.

Wzdłuż ulicy, omijając gapiów, przeszedł zarośnięty i przygarbiony bezdomny. Spojrzał z obojętnością na przedstawienie i pociągnął łyk z butelki zawiniętej w papierową torbę. Kulał na jedną nogę i powłóczył nią niezdarnie po ziemi. Nie musiał nawet się przepychać, sam jego zapach powodował, że wszyscy się przed nim rozsuwali. Wbił mętny wzrok w ziemię i ignorując wszystko dookoła, zamknął się w swoim bezdomnym świecie. Zdaje się, że na chwilę tylko przystanął, by poprosić kogoś o papierosa.

Pamiętał Roberta. Oddalił się nie oglądając się za siebie.

– Proszę się odsunąć – powiedział Dwayne do gapiów. – Jeżeli będziecie państwo przeszkadzać, nie będziemy mogli sprawnie pracować.

Tłum stał się tak gęsty, że przypominał fanów tłoczących się pod sceną na koncercie dobrego zespołu. Niektórzy rozmawiali, niektórzy wymieniali zdawkowe uwagi, a jeszcze inni nagrywali wszystko telefonami i marszczyli czoło gniewnie, gdy tylko ktoś ich potrafił.

Robert miał wrażenie, że zebrała się tutaj przynajmniej połowa miasta. Część osób, która wiedziała co zrobił była gotowa go rozszarpać i obdrzeć ze skóry. Wyczytywał to w ich spojrzeniach. Pozostali, w tym tacy którzy dopiero przyszli, patrzyli z niedowierzaniem i zaciekawieniem.

– Co się dzieje? – zapytał jeden z gapiów kobietę z aktówką stojącą obok.

– To samobójca. Robi szopkę. Moim zdaniem nie skoczy, bo za długo zwleka – odpowiedziała beznamiętnie.

– Ten człowiek jest mordercą. Podobno opowiada tamtej kobiecie o tym ile osób wczoraj zabił. Psychol jakiś – wtrącił się mężczyzna w granatowym podkoszulku.

– Poważnie? – zdziwiła się kobieta. – Może go sumienie chwyciło i teraz przez to skacze.

– Przed chwilą mierzyli do niego z pistoletu – odezwał się ktoś inny z tłumu.

– Ta kobieta to chyba jego zakładnik – dało się usłyszeć kolejny głos.

– Ona z nim tylko rozmawia i próbuje go namówić, żeby zszedł – wyjaśnił im mężczyzna w granatowym podkoszulku. – Wiem, bo jestem tu prawie od samego początku.

Prezenterka telewizyjna co jakiś czas wychodziła przed oblicze kamery, by zrelacjonować aktualne wydarzenia, i po kilku minutach zniknęła na papierosa, gdy czerwona

lampka przy obiektywie gasła. Paliła jednego za drugim, co chwile ocierając pot z czoła i rozglądając się po twarzach z tłumu. Próbowwała się gdzieś dodzwonić. Drżącymi palcami wybierała kontakt zapisany w telefonie i po kilkunastu sekundach ze wściekłością chowała go z powrotem do torebki znajdującej się na przednim siedzeniu telewizyjnego Vana.

Uniosła się na palcach znów kogoś wyszukać i wymieniła przypadkowe spojrzenie z Robertem. Zbladła i natychmiast odwróciła wzrok. Robert rozpoznał w niej znajomą swojej narzeczonej. Lisa i prezenterka raz na pół roku spotykały się, by poplotkować i stwierdzić, że tak naprawdę w ich życiu zupełnie nic się nie zmieniło. Razem chodziły do szkoły dziennikarskiej i utrzymywały przelotną znajomość po jej ukończeniu. Był to ten typ znajomości, w którym można podzielić się zdawkowo swoim problemem i wysłuchać ogólnych i bezwartościowych rad, które mają się nijak do rzeczywistości. Prezenterka zawsze twierdziła, że Lisę stać na lepszego faceta i powinna go jak najszybciej zmienić.

Żeruje na mnie nawet w takiej sytuacji, pomyślał zdegustowany. Z pewnością w jej myślach maluje się tylko jedno stwierdzenie – „A nie mówiłam?”. Jak już będzie po wszystkim, jej ego z pewnością wzrośnie. Będzie się upewniać, że miała co do mnie rację i że potrafi wspaniale oceniać ludzi. Wmówi sobie, że wiedziała, że coś się święci i będzie sobie komplementować, że potrafiła to przewidzieć. Znam ten typ kobiety. Lisa była taka sama.

Wszystkie samochody chcące przejechać przez most były zmuszane do zawracania. Ze względu na dużą ilość zgromadzonych osób wstrzymanie ruchu na jednym pasie okazało się już niewystarczające. Teraz konieczne było zamknięcie również drugiego pasa, a tym samym i całego mostu. Rząd trąbiących na siebie samochodów dojeżdżał do rozstawionych barierek. Każdy kierowca chciał się zatrzymać i wypatrzeć ponad stojącymi ludźmi, czego dotyczy całe zebranie, jednakże każdego policjant klepał w maskę wozu i odprowadzał lizakiem w przeciwnym kierunku.

– Pewnie myślisz, że jestem psychopatą – Robert stwierdził ponuro i przyjrzał się uważnie Annie.

– Nie oceniam ludzi tak szybko i pochopnie – odpowiedziała mu sucho.

– Powinnaś w takim razie pracować zamiast tej blondyny – skinął głową w stronę Laury Sanders.

– By cię ocenić, musiałabym cię bliżej poznać... Może wyskoczmy na kawę?

– Niezła próba. Ale z przykrością muszę ci odmówić. – Robert rozejrzał się wymownie dookoła. – Sama widzisz. Okoliczności nam nie pozwalają.

– Dość swobodnie podchodzisz do tych wszystkich... – Anna zawiesiła głos w poszukiwaniu odpowiedniego słowa.

– Morderstw – dokończył za nią Robert.

– Tragedii – poprawiła. – Wydajesz się wcale nie przejęty.

– Po prostu jestem pogodzony ze wszystkim co się stało i co ma się stać. Tak jak starzy ludzie są gotowi, by umrzeć, tak jak skazańcy czekający na wstrzyknięcie trucizny. Nie ma w tym strachu. Jest tylko apatia, zobojętnienie i ośpienie – przerwał i spojrzał w niebo mrużąc oczy. – Człowiek całe życie oswaja się ze światem, by potem zgodzić się na śmierć.

– Nieprawda – zaprotestował Crick. – Ja nigdy nie będę gotowy, cały czas walczę. Jedyne z czym nie można sobie w życiu poradzić, to z upływającym czasem.

– W końcu się pan zmęczy tą walką, tak jak ja się zmęczyłem.

– W takim razie oddaj się w ręce policji. Skoro nie chcesz walczyć o życie to walcz o sprawiedliwość.

– To tylko prawo, a nie sprawiedliwość – westchnął Robert. – Większość tych ludzi tutaj chciałaby mojej śmierci. Odejdę za aprobatą społeczeństwa.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? To co wrzaśnie jeden z drugim nie oznacza, że tak myśli ogół. Po prostu dociera do ciebie opinia tego, który najgłośniej krzyczy – Crick przebierał z nogi na nogę. Jego stary organizm nie był przyzwyczajony do tak długiego stania.

– Jakie to życiowe, prawda? – Robert wymusił lekki uśmiech. – Może w takim razie zrobimy ankietę. Zapytajmy cały świat czy mam skoczyć, dostać kulkę w łeb, trafić do więzienia, czy może do psychiatryka. Myślę, że reklamodawcy się obłowią!

Głos Roberta docierał jedynie do ludzi stojących najbliżej. Cała reszta, starając się wychylać ponad głowami innych, musiała zadowolić się plotkami i relacjami z drugiej lub trzeciej ręki.

Drzewa przy korycie rzeki zaszumiały. Zdawały się machać gałęziami i nawoływać do skoku. A gdy Robert spojrzał w inną stronę, natychmiast zastygły, odsyłając podmuch wiatru gdzieś indziej. Lśniące wstęga rzeki zabłyszczała, odbijając promienie słońca i przywołała na most zapach wilgoci oraz wodorostów.

ROZDZIAŁ 20

Bardzo bym chciał, żeby tamte chwile wróciły. Oddałbym wszystko, by Alice znów zaczynała szkołę, a ja z dumą obserwowałbym jej duży podrygujący plecak, gdy znika wśród innych dzieci przed głównym wejściem. Pamiętam jak bardzo chciała iść sama. Ogromną

dumę sprawiały jej pierwsze kroki samodzielności, nawet jeżeli oznaczało to puszczenie jej ręki kilkanaście metrów przed otwartymi na oścież drzwiami szkoły.

– Tato, dalej pójdę sama – oznajmiała z pełną powagą.

Niestety to, co niegdyś było terażniejszością, teraz pozostaje jedynie nostalgicznym westchnieniem. Dlaczego wtedy tego nie doceniałem, tak bardzo jak teraz?

Zazdroszczę niektórym ludziom umiejętności łatwego zapomnienia. Pomimo że na ogół jest to negatywnie nacechowane słowo, w wielu przypadkach okazuje się zbawieniem i prawidłową kolejną rzeczą. Człowiek zapominając oczyszcza się i nabiera sił na kolejne wydarzenia, mając przy tym niezbędne doświadczenie zakorzenione w świadomości. Emocjonalne odruchy, które wpoily się poprzez bagaż przeżyć. Odruchy, których źródło można poznać dopiero po krótkiej refleksji lub wspomnieniu minionych złych i dobrych chwil. A mnie krąży w głowie wszystko na raz i nie daje wytchnienia. Każda myśl wzbija natychmiast setki innych, wraz z ich odczuwaniem, które wcale nie wyblakło, a ich wartość emocjonalna jest niemal tak samo mocna jak w momencie przeżywania. A świadomość, że dana chwila już nigdy nie powróci, zabija mnie od środka.

Większość szczegółów zarejestrowanych przez mój umysł i serce jest skrupulatnie składowana tylko po to, by powracać w najmniej oczekiwanych momentach, pod wpływem przypadkowych skojarzeń.

Nawet praca, która przy odpowiednim podejściu i zrutynizowaniu czynności powinna być neutralna dla emocji, przysparzała mi równie wiele negatywnych przeżyć co i życie prywatne. Nic nie dawało chwili wytchnienia przed powracającymi mirażami, równie wyraźnymi co terażniejszość.

Znajdźcie mi człowieka, który by to wytrzymał.

Szedłem dalej. Z przystanku autobusowego, na którym wysiadłem, ruszyłem w kierunku wysokich budynków, na szczycie których migały czerwone światelka dla ostrzeżenia przelatujących samolotów. Nie nazwałbym ich wieżowcami, chociaż miały około trzydziestu pięter wysokości. Stały we trzy, dumnie reprezentując spuściznę po latach osiemdziesiątych, gdy Coveford jeszcze miało być miastem z przyszłością. Jeden z tych budynków był moim celem, i pomimo że nie miałem żadnego planu, wiedziałem, że wszystko mi się tej nocy uda.

Idąc zgodnie z trasą autobusu, po kilku minutach znalazłem się na przystanku, na którym miałem pierwotnie wysiąść. Potem wystarczyło minąć jeszcze dwie przecznice, wjechać windą na górę i zrobić co trzeba.

Za moimi plecami nadjeżdżał samochód. Po mruknięciu silnika domyśliłem się, że kierowca zredukował bieg do najniższego. Reflektory pojazdu malowały mój czarny cień na chodniku. W miarę jak cień czerniał, a moc świateł rosła, usłyszałem delikatny pisk klocków hamulcowych i zdałem sobie sprawę, że pojazd jeszcze bardziej zwolnił. Obejrzałem się za ramię i ujrzałem radiowóz. W tym samym momencie zamigał bezdźwięcznie kogutem na znak, że jest mną zainteresowany.

Czy słusznie, że darowałem temu pasażerowi życie? – pomyślałem. Tak mi się odwdzięczył, wzywając policję? Mógł być to równie dobrze przypadek, zwykły rutynowy przejazd. Ja jednak wolałem skierować całą swoją nienawiść na pasażera, który nie potrafił docenić mojego gestu.

Przygarbiłem się nieco i przystanąłem. Radiowóz zatrzymał się tuż za mną i stałem oślepiony światłami, próbując dostrzec intencje policjantów. Zobaczyłem jedynie wystawioną rękę kierowcy, luźno i ze znużeniem zwisającą za opuszczoną szybą. Kliknięcie otwieranych drzwi oznaczało, że drugi z nich właśnie do mnie idzie.

– Dowód poproszę – powiedział oschle patrząc mi czujnie w oczy. Drgnął niepewnie, gdy odpowiedziałem spojrzeniem. Nie piłem, ani nie zażywałem narkotyków. Mógł natomiast wypatrzeć iskrę szaleństwa wśród moich źrenic.

– Nie mam – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Zostawiłem portfel w mieszkaniu.

– No to jedziemy na komisariat. Proszę za mną.

– Panie władzo, proszę mi tego nie robić. Mam dwie przecznice do domu.

– Co pan tu robi o trzeciej nad ranem?

– Jeśli mam być szczery, to wyrzucili mnie wczoraj z pracy i moja narzeczona ode mnie odeszła. To dla mnie dość dużo jak na jeden dzień, więc chciałem odreagować – wyjaśniłem z wymuszonym uśmiechem.

– Narkotyki czy alkohol?

– Ależ skąd. Po prostu byłem odwiedzić znajomych. Dlatego też nie brałem portfela.

– Mam pana przeszukiwać czy pójdzie pan grzecznie do domu? – wypytywał dalej.

– Już prawie jestem u siebie. Nie ma takiej potrzeby. – Błądziłem wzrokiem po wieżowcach, by mu pokazać, że widzę swój punkt podróży.

– Gdzie pan mieszka?

– 2970 Perine Street.

– Tamten apartamentowiec? – Machnął ręką w kierunku wieżowców. – Nie wiedziałem, że ktokolwiek mieszkający tam chodzi na piechotę – powiedział całkowicie poważnie, mimo że to zapewne miał być żart. Albo kolejne sprawdzenie mnie.

Metaliczny kobiecy głos zaskrzeczał ze środka samochodu. Policyjna dyspozytorka kontaktowała się z radiowozem.

– Już wracamy – odpowiedział drugi policjant i wychylił głowę za okno. – Otrzymaliśmy zgłoszenie, że jakiś facet biega z nożem kilka przystanków stąd. Prawdopodobnie pod wpływem narkotyków – odezwał się do kolegi, a potem zwrócił się do mnie: – Widział pan może kogoś podejrzanego?

Lewą ręką delikatnie musnąłem miejsce, gdzie miałem za pasem schowany nóż. Był na swoim miejscu.

– Przykro mi, całe życie chodzę z opuszczoną głową – zażartowałem, by zyskać sympatię i chyba mi się udało.

– Proszę iść od razu do domu, tu może być niebezpiecznie – rzucił pierwszy policjant i truchtem wrócił do radiowozu.

Kogut na dachu jęknął i pojazd zawrócił na podwójnej ciągłej.

Dziękuję ci, pasażerze–druchu, pomyślałem. Długo zwlekałeś.

Policyjny Ford Crown Victoria zniknął za zakrętem.

Jeszcze kilka minut stałem w miejscu i próbowałem uspokoić walące serce. Byłem zbyt blisko celu, by przegrać. Byłem zbyt blisko, by się poddać. Każda bajka kończy się happy–endem i tak też miała się zakończyć moja.

Pomyślałem o Alice. Już niedługo się zobaczymy, kochanie.

Ruszyłem w kierunku wysokich budynków. Po przejściu kilkunastu metrów ciemność została zastąpiona przez blask neonów, witryn sklepowych i podświetlanych reklam.

Nocne światła zagłuszyły wszechogarniające cienie. Mój wzrok, przyzwyczajony do mroku, bombardowany był teraz fotonami, gdy źrenica nie zdążyła się na jeszcze przymknąć. Odruchowo zmrużyłem oczy.

Poczułem zamroczenie. Przystanąłem i przyparłem do muru jakiegoś hotelu, by rozejrzeć się dookoła i załapać z powrotem kontakt z normalnością.

Na ulicy niewiele się działo. Prócz maszerujących kilku zagubionych pijaków z barów i bezdomnego szurającego ospale przy krawężniku, jedna taksówka z delikatnym trzaśnięciem drzwi zapiszczała w stronę skrzyżowania.

Pewnie jedna z kochanek wracała z powrotem do męża, pomyślałem.

Lekki szum otoczenia rozdarł oddalony ryk syreny. Nigdy nie potrafiłem rozróżnić która to policyjna, a która karetki.

A co, jeśli to po mnie? Przeszło mi przez myśl, że być może już znaleźli ciała Lesterów i powiązali je ze mną. A potem przewidzieli mój następny ruch i wiedzą, że zaraz wejdę do tego apartamentowca i pojadę windą na ostatnie piętro.

– Nie, to niemożliwe – mruknąłem do siebie. – Policjanci nie są aż tak dobrzy.

Mimo wszystko zapalił się we mnie większy płomień niepokoju. Adrenalina od starcia z Richardem Lesterem powoli opadała i wracały strzępy naturalnego zachowania. Strachu, że zabiłem dwoje ludzi i zaraz zabiję kolejnych. Determinacja jednak pozostała i nie miałem zamiaru się wycofywać.

Gdy dotarłem do apartamentowca, nie mogłem oprzeć się pokusie wybuchnięcia gromkim śmiechem. Powstrzymała mnie przed tym jedynie konieczność niewzbudzenia podejrzeń. Wdepnąłem na bogato zdobione płytki, które przypominały te z Alei Gwiazd i skręciłem za purpurowy filar. Przede mną znajdowało się kilka szerokich, marmurowych schodów oraz szklane drzwi, czyste jak lza, bez najmniejszego odcisku palca czy smugi.

Chciałem wbiec po schodach, by przestać słyszeć syrenę, jednak musiałem się powstrzymać i wejść niepozornie, jak jeden z mieszkańców. Pokonałem te kilka stopni, udając zmęczonego. Przygarbiłem się, by połuźniona z przodu koszula ukryła kontury noża. Wbiłem rękę w kieszenie i spojrzenie pokierowałem w podłogę na znak, że nie chcę z nikim rozmawiać.

W takiej pozie pchnąłem drzwi i skierowałem się do recepcji, którą musiałem minąć, by dostać się do wind lub schodów. Za wysokim, dębowym kontuarem siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, już siwy i pełen zmarszczek, nosił schludny garnitur i siedział godnie wyprostowany. Wyglądał na recepcjonistę. Drugi z nich, to czarnoskóry tęgi chłop, konsumujący hamburgera. Mógł być ochroniarzem.

Staralem się wymyślić właściwe zachowanie, ponieważ szybkim krokiem zbliżałem się do kontuaru. Jednakże nie na tyle szybkim, by wzbudzić podejrzenia i zostać zaczepionym. Zastanawiałem się jakie panują zasady w takich bogatych apartamentowcach. Czy recepcjonista musi zatrzymać każdego? Czy zapamiętuje mieszkańców i tylko im pozwala wchodzić? Może mieć nawet jakąś kartę zaproszonych do konkretnych mieszkań i jedyną możliwością wejścia jest podanie numeru i nazwiska. Ścisnęło mnie w żołądku. Zwolniłem więc udając, że dla mnie jakiś kontakt jest oczywisty i czekałem na zaczepkę z recepcji. Gdybym za szybko przeszedł, udowodniłbym, że nie jestem mieszkańcem i nie znam

reguł, tym samym wzbudzając dodatkowe zainteresowanie. A może to tylko moja niezdolność paranoja.

– Pan tu mieszka? – zapytał recepcjonista.

– Tak – odpowiedziałem i zastanowiłem się czy powinien coś jeszcze dodać. – Od niedawna.

– Nigdy pana tutaj nie widziałem – odpowiedział zdziwionym głosem i spojrzał na ochroniarza.

– Ja również – zgodził się ochroniarz.

– Od dwóch tygodni mieszkam tu, z moją dziewczyną. Wprowadziłem się do niej.

– Dziwnie Pan wygląda. Na pewno wszystko w porządku? Jest pan cały błądy i spocony. – Spojrzał na koszulę. – I brudny.

– Wracam z imprezy. Trochę za dużo wypilem.

– Moim zdaniem jest pan trzeźwy – powiedział recepcjonista.

– Moim zdaniem pan tu nie mieszka – powiedział ochroniarz i odłożył hamburgera na kontuar.

Cała nasza trójka zastygła w gotowości. Obmyślałem na raz kilkadziesiąt planów awaryjnych, jednak nie miałem pojęcia który z nich wykorzystać. Jedno było pewne – nie miałem zamiaru się poddawać.

– Możecie do niej zadzwonić i zapytać – odpowiedziałem uprzejmie, jednakże w głębi serca prosiłem, by uznali, że nie chcą budzić mieszkańca w środku nocy.

Nie mogłem stać się agresywny, gdyż to stawiało mnie w gorszym świetle wśród dwóch już zaalarmowanych mężczyzn. Czułem jednak, że agresja się we mnie kotłuje, a rozwiązanie tego konfliktu może nadejść znacznie szybciej, gdy wyciągnę spod koszuli nóż. Niestety nie mogłem oszacować, czy ochroniarz posiada broń lub gaz, ponieważ do pasa był zasłonięty kontuarem. Uznałem jednak, że ominę to szybsze rozwiązanie, podobnie jak oszczędziłem niewinnego, postronnego pasażera.

Być może mieli jakieś winy, za które mogłem ich zadźgać, ale ich brzemień nie spoczywało na mnie. Skupiałem się tylko i wyłącznie na tych, którzy zniszczyli mi życie. W końcu to mnie różniło od zwykłego wariata, który morduje bez celu. Celu, który sobie sam wyznaczyłem i postępuję zgodnie z nim, by zakończyć wszystko tak, jak sobie ustaliłem.

Jednakże, czy ci dwaj mężczyźni nie zniszczą mi życia, gdy pozbawią mnie możliwości osiągnięcia celu?

– Nie ma takiej konieczności, by dzwonić – powiedział recepcjonista. – Po prostu proszę podać nazwisko i numer apartamentu.

Byłem utopiony. Żadne kłamstwo ani żadna prawda nie mogła mnie teraz uratować od zniszczenia planu. Nic, co mogłoby paść z moich ust, nie pomoże w dostaniu się na górę. Mogłem równie dobrze wybrać losowy numer z jakiegoś racjonalnego przedziału i strzelić w popularne w Ameryce nazwisko. Uznałem jednak, że nigdy w życiu nie miałem farta, to i teraz nagle nie nadejdzie. Zwłaszcza, że według moralnego sumienia, szczęście ma ten, kto jest dobrym człowiekiem.

Myśli wpływały do mojej głowy i natychmiast z niej wypływały, nie podsuwając żadnego sensownego rozwiązania. Ich było dwóch, ja byłem jeden. Gdzieś tam pod kontuarem musiał znajdować się magiczny czerwony przycisk, który sprowadziłby na mnie kłopoty. I zapewne recepcjonista muskał go już delikatnie opuszkami palców.

– Nazwisko i numer? – zapytałem udając zastanowienie. – No dobrze, nie będę kłamał. Mieszka tu moja była żona z kochankiem. A z nimi moja córka. Chciałbym im coś ofiarować, ponieważ już niedługo mnie tu nie będzie.

– Może pan to zostawić tutaj – powiedział sucho ochroniarz. – Wystarczy podać nazwisko.

– Nie da rady, muszę przekazać to osobiście.

– Proszę stąd wyjść. Jeżeli szuka pan miejsca do spania, to źle pan trafił – odparł recepcjonista.

– Aż tak źle wyglądam? – Pochyliłem głowę i spojrzałem na siebie. Faktycznie wyglądałem odpychająco. Wygniecioną koszulę i spodnie zdobiły plamy od potu i krwi. Na dłoniach miałem malutkie ranki, jakbym przedzierał się przez jakieś krzaki. Moment później dotarło do mnie, że to krew Lesterów.

Oboje przypatrywali mi się w milczeniu.

Usłyszałem pojedynczy odgłos dzwoneczka. Nieśmiały i lichy, jednakże towarzyszyło mu głośniejsze zgrzytnięcie dobiegające z końca korytarza. Odwróciłem głowę i zobaczyłem swój upragniony, najbliższy cel – rozsuwającą się windę. Wyglądało to jakby sama z siebie zjechała do mnie, wysłana przez nienazwaną opatrność. Winda zadzwoniła ponownie, zamykając drzwi za wysokim i przystojnym mężczyzną, który zjechał na dół oparty o tylne lustro. Był wyraźnie młodszy ode mnie. Miał garnitur szyty na miarę i zalotny, kilkudniowy zarost, jaki można zaobserwować u większości modeli z wielkich plakatów reklamujących ubrania.

Na jedną chwilę uwaga wszystkich zwróciła się na niego, tak jakby został tu zesłany, by rozładować nasze napięcie i zsunąć palec recepcjonisty z przycisku alarmu. Mężczyzna dopiął koszulę pod szyją i poprawił marynarkę. Na jego szyi było widać różową malinkę od

namiętnego pocałunku, którego nawet zapięcie ostatniego guzika nie zasłoni. Bez spoglądania na nas, przejechał po całusie ręką, jakby chciał go zamazać, i skrzywił się z dezaprobatą. Zapewne myślał, co powiedzieć żonie po powrocie od kochanki. Zapewne wiedział, że będzie musiał wymyślić kolejne kłamstwo, które tym razem musi być wymyślniejsze niż standardowe „musiałem zostać dłużej w pracy”. Nie powinienem go oceniać, ale wiedziałem to wszystko. I widziałem. Widziałem obrączkę na jego dłoni, widziałem jego zatroskany wzrok z domieszką wyrzutów sumienia i widziałem, jak mija nas bez słowa, bez żadnego „do widzenia”.

Gdy wyszedł, cała rzeczywistość powróciła na nowo, tak jakby mężczyzna zastępował przerwę na reklamy w kiepskim filmie. Nie czułem już żadnego napięcia. Odwrócenie uwagi od myśli zmierzających do zabicia recepcjonisty i ochroniarza wyszło mu perfekcyjnie. Uratował dwa istnienia. Czy to jakiś znak, bym spróbował innej drogi?

– No dobrze, nie potrzebuję teraz kłopotów – powiedziałem i skierowałem się do wyjścia.

– Jeżeli chce pan gdzieś przenocować, to na Evergreen Lane jest tani motel – krzyknął z mną ze współczuciem recepcjonista. – To tylko dwie mile stąd. W stronę mostu Roosevelta.

– Dziękuję – rzuciłem.

Znam ten most bardzo dobrze, dodałem w myślach. Niedługo się tam wybieram.

Wyszedłem w oświetloną neonami noc i odprowadziłem kochasia wzrokiem do zaparkowanej pod apartamentem zamówionej taksówki. Musiała przyjechać już po tym jak wszedłem do środka, ponieważ wcześniej jej nie było. Mężczyzna zniknął w mroku wnętrza, a kierowca zajrzał w tylne lusterko, by przyjrzeć się, czy nowy klient na pewno nie będzie sprawiał kłopotów.

Wbiłem ręce w kieszenie. Żaden ochroniarz i żaden recepcjonista mnie nie powstrzyma. Ruszyłem dalej w stronę końca budynku i zajrzałem niepewnie w ciemny zaułek oddzielający apartamentowiec od jakiegoś wielogwiazdkowego hotelu.

W mroku walały się puste kartony, porozrywane czarne worki na śmieci i kilka podłużnych desek przykrytych styropianem. Była tam również wielka sterta różnokolorowych szmat szerniała od brudu. Wszystko było porzucane dookoła kilku przepelnionych kontenerów na śmieci.

Rozejrzałem się dokładnie i nie zauważyłem żadnego monitoringu.

Świetnie.

Było natomiast wysokie ogrodzenie z siatki, a za nią schody przeciwpożarowe zapraszające mnie na górę.

Wspaniale.

Skręciłem w zaułek i na chwilę przystanąłem, by przyzwyczaić oczy do mroku. Gdy już wszystko zaczęło się rysować wyraźniej, zrobiłem kilka kroków i usłyszałem szelest pomieszany z cichym jęknięciem. Rozejrzałem się dookoła i stanąłem jak gazela gotowa do ucieczki. Nasłuchiwałem. Rozum podpowiadał mi, że to tylko zwierzęta buszujące w śmieciach, jednakże jęknięcie było zbyt ludzkie.

Kaszlnięcie.

Spojrzałem na stos kolorowych szmat i dostrzegłem w nich parę oczu wpatrującą się we mnie ze strachem i zarazem nadzieją.

– Proszę mi nie robić krzywdy – wychrypiał bezdomny i skulił się z przerażenia. Dzięki temu, że się poruszył, mogłem zobaczyć całą jego sylwetkę. Wyglądał jak kameleon wyłaniający się ze swojego kamuflażu.

Stałem bez ruchu i patrzyłem na niego z uwagą, zastanawiając się kto, lub co, go tak przeraża.

On natomiast leżał skulony, jakby był środek zimy i wiedziałem, że jedyne o czym marzył w tamtym momencie, to by po prostu zniknąć. Wszystkie jego dotychczasowe popędy, instynkty, myśli i prośby zmieniły się w jedno wielkie błaganie o znalezienie się w innym miejscu.

Czy spostrzegł coś w moich oczach? Napięta cisza intensyfikowała jego strach, a ja zaczynałem powoli rozmyślać, czy ten brudny i śmierdzący człowiek stanowi dla mnie przeszkodę w realizacji planu. Czy przypadkiem za chwilę, gdy zniknę za siatką i będę wspinał się na schody przeciwpożarowe, czy wtedy nie wyciągnie telefonu i nie zadzwoni po gliny. Bóg jeden raczy wiedzieć jakie gadżety posiadają dzisiejsi bezdomni.

Wystarczyłby jeden cios pod serce. Uwolniłbym go od tego marnego życia i zaoferował wieczny spokój. Być może sam wiele razy chciał ze sobą skończyć, ale nigdy nie miał tyle odwagi, by wykonać ostateczny krok. Być może wtedy marzył o kimś, kto go w końcu uwolni od cierpienia i szamba, w jakim się znalazł.

Z lekkim przerażeniem, jednak zarazem z dużym zadowoleniem, zacząłem sobie wyobrażać jak podchodzę do niego i wkłuwam mu w ostrze w żebra po sam trzonek. Jego kolorowe, brudne szmaty, którymi się przykrywał, zalałyby się ciepłą i lepka mazią, a on sam w ostatnim tchnieniu jęknąłby z wdzięczności. Patrzyłbym mu w oczy, jak źrenice maleją i gubią ostrość, by ostatecznie spojrzeć gdzieś w niewiadomą przestrzeń.

Ciekaw byłem w którym momencie swojego życia popełnił błąd. Z pewnością miał kiedyś normalnie życie.

A gdzie ja popełniłem błąd? W którym miejscu straciłem panowanie? Nie wiem. I tak to wszystko miało się dla mnie po tej nocy skończyć.

– Proszę mnie nie krzywdzić – powtórzył bezdomny. – Jestem biedny, nic nie mam, nawet drobnych. Ja nic złego nie zrobiłem.

– Skąd ta pewność, że chcę pana skrzywdzić?

– Ma pan nóż – odpowiedział lekko oszołomiony pytaniem. – I ma pan koszulę brudną od krwi.

– Doprawdy? – Byłem pełen podziwu i odruchowo złapałem się w miejsce odkształcenia koszuli. – Brawa dla tego pana za spostrzegawczość. Niedawno zatrzymała mnie policja i nic z tym nie zrobili – rzuciłem ironicznie, gestykulując oklaski.

Bezdomny jęknął ze strachu.

Przez chwilę byłem zbity z tropu. Tylko ten człowiek, w ciemnym zaułku zauważył, co chowam pod koszulą. Pomyślałem, że być może jest wyczulony na takie szczegóły, bo tego od niego wymaga zawód bezdomnego. Codzienna walka o przetrwanie i baczne przyglądanie się każdemu, kto może mieć zbyt wiele wolnego czasu i postanowi pozabijać paru kloszardów. Pamiętam jak kilka lat temu w sąsiednim mieście było głośno o grupie nastolatków, którzy tak długo kopali bezdomnych, póki ci nie wyzionęli ducha. Prócz tego zabijali bezpańskie koty i tłukli butelki na głowach podpitych mężczyzn wracających nocami z pubów. Dla nich również przydałby się jakiś samobójca z nożem, pomyślałem z goryczą i chorym rozbawieniem.

– Przysięgam, że nikomu nie powiem.

– Był już taki jeden szczery. Spotkałem go w autobusie. I zadzwonił po policję.

Skulił się jeszcze bardziej i zaczął dygotać. Rękoma objął kolana i opuścił wzrok jak skrzywdzony pies.

– Ja nie mam nawet telefonu. – Głos mu drżał. – Proszę nic mi nie robić. Może pan myśleć, że nie ma ze mnie pożytku, że nie mam po co żyć, że lepiej będzie się mnie pozbyć. Co roku w Ameryce mordują setki bezdomnych. Ja chciałbym żyć. Tak mi się po prostu życie ułożyło, nie z mojej winy. Proszę.

– Widzę, że znalazłem bratnią duszę – powiedziałem szczerząc zęby. Wyglądałem jak obłąkany. – Mnie również nie wyszło tak, jak bym chciał. I równie dobrze mógłbym być tu razem z panem, przykryty kartonami i starymi szmatami. Ale wybrałem skok w przepaść.

Bezdomny leżał nieruchomo. Jedyne szelest jakiegoś materiału wskazywał na to, że się trzęsie. Nie chciał mnie niczym prowokować. Widocznie uznał, że brak odpowiedzi jest lepszy niż zła odpowiedź.

– Pomoże mi pan – powiedziałem w końcu. – Proszę mnie podsadzić. Muszę dokończyć swój skok w przepaść.

Wskazałem palcem na metalową siatkę, a mężczyzna podniósł się z trzaskiem stawów i szelestem reklamówek porozrzucanych dookoła niego. Był wysoki i przeraźliwie chudy. Miałem wrażenie, że jego bujny zarost jest przytwierdzony bezpośrednio do gołej czaszki.

– To dla pana za fatygę – Dałem mu do ręki siedem dolarów i parę drobniaków, które miałem luzem w tylnej kieszeni. – Smacznego.

Mężczyzna popatrzył na mnie z wdzięcznością i schował pieniądze w popękany portfel. Gdy go otwierał, wewnątrz mignęło mi zdjęcie jakiegoś chłopca. Następnie splótł dłonie, bym mógł postawić na nich stopę. Chwyciłem go za ramię, by utrzymać równowagę i poczułem straszny odór. Wykrzywiłem się z obrzydzenia i szybko złapałem siatkę, która zdrząła z delikatnym brzękiem. Podciągnąłem się i przeskoczyłem na drugą stronę. Upadając, poczułem strzyknięcie w kostce i promieniujący ból podążający w stronę łydki. Zakląłem pod nosem i po chwili ból ustał. Gdy się obróciłem, zobaczyłem jak bezdomny cofa się powoli mierzając mnie wzrokiem, a następnie zatapia się z powrotem w swoim legowisku.

Mam nadzieję, że kupi sobie coś do jedzenia, pomyślałem. Mogłem wziąć ze sobą więcej pieniędzy. I tak nie były mi już potrzebne.

Ruszyłem w stronę schodów przeciwpożarowych, lekko kuśtykając.

– Harys, chodź no tu – kiwnął kiedyś na mnie Richard Lester, gestem zawołania kelnera.

Odłożyłem na bok dokumenty i podszedłem najszybciej jak mogłem, zahaczając bokiem o kant biurka. Spotkało się to ze spojrzeniem pełnym odrazy.

– Szybciej, nie mam całego dnia – warknął.

Siedział wtedy na miejscu sprzedawcy Bernarda, którego zwolnił trzy dni wcześniej. A przed tym, praktycznie codziennie, wydierał się na niego i obrzucał wyzwiskami. Bernard był dobrze wychowanym, lecz nieco prostym mężczyzną w okolicach czterdziestki. Zawsze do pracy przychodził schludnie ubrany, nigdy nie skarżył się na nic, nigdy nie mówił nic ponad to, o co go pytano. Przypominał nieco nadwornego lokaja, który po zdjęciu smokingu ubiera nieco luźniejsze ciuchy, czyli koszulę z krawatem. Zadanie w firmie „L&J” miał proste – sprzedać jak najwięcej ścierwa. Lester miał zawsze wyśrubowane progi i wymagania,

dlatego też Bernard zawsze z trudem osiągał ten najniższy pułap, byleby tylko utrzymać się na stanowisku. Nie miał szkoły, nie miał znajomości. Ta praca była dla niego jedynym godnym zajęciem, które mógł wykonywać, jak na swoje kwalifikacje. Osiągał najniższe wyniki, ponieważ był zbyt miły i uprzejmy. Nie narzucał się, nie kłamał i nie był napastliwy. To były cechy pozostałej czwórki sprzedawców, którzy potrafili wepchnąć komuś sprzęt siłą, nawet starej i umierającej kobiecie, o czym się dowiadywałem się z przechwałek podczas przerw w firmowej kuchni.

– Musisz go rozliczyć go końca dnia – rzucił z odrazą Lester, kartkując jego umowy obślinionym paluchem. – Teraz będę szukał jakichś studenciaków po marketingu. Nie potrzebna mi kolejna grzeczna ofiara losu, która na dodatek mieszka z ojcem.

Faktycznie, Bernard mieszkał z ojcem. To właśnie ojciec znalazł jego ciało na strychu, gdzie powiesił się na pasku od spodni. Lesterzy o tym nie wiedzieli, ale i tak pewnie by to ich nic nie obchodziło.

W kieszeni Lestera zawibrował telefon. Odchylił się na krzesło maksymalnie do tyłu, by fałdy tłuszczu odsłoniły dostęp do kieszeni. Parówkowatymi palcami wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Zmarszczył czoło.

– Co chcesz? – mruknął naciskając zieloną słuchawkę. – Jestem zajęty.

W tle było słycać kobiecy głos.

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to, mam to w dupie – podniósł głos. – Mówiłem, że tak będzie. To twoja cholerna wina! Sama tak wychowałaś gówniarę!

Metaliczny kobiecy głos również przybrał na sile.

– To powiedz jej, że wypierdolę ją z domu jak jeszcze raz zobaczę ją... jak jeszcze raz zobaczę ją i tego frajera! Wywalę ją na zbity pysk nawet jeśli jej cukiereczek zbliży się do naszego domu choćby na kilometr!

Lester otarł z potu czoło i rozmasował ogromną żyłę, która urosła na jego skroni. Rzucił telefon z pogardą na biurko i odsapnął jak stary parowóz.

– Nigdy się nie żęń Harys. To najgorsze co się może facetowi przytrafić – powiedział. – Babska są niewdzięczne i durne. Jeśli kiedykolwiek urodzi ci się córka, wywal ją od razu na śmietnik. Arabcy to jednak mądry naród. Trzymają te wywłoki krótko.

Spojrzał na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Masz żonę?

– Nie mam – odpowiedziałem.

– Fakt, nie wyglądasz na takiego – wyszczerzył się, pokazując poźółkłe zęby. – To chyba w takim razie jedyne czego ci zazdroścę. Dzieciaków pewnie też nie masz?

– Miałem... mam córkę.

– I pewnie ta suka ją zabrała? Ciesz się, Harys! Ile ja bym dał za taki przywilej – odsunął się od biurka i wstał. – A tak muszę hodować dwa darmozjady. Rozwód kosztowałby mnie majątek, zwłaszcza biorąc pod uwagę ile obie mają haków na mnie. – Klepnął mnie w ramię, co było raczej odepchnięciem, jako że torowałem mu drogę. – Dobrze, że chociaż syn mi wyszedł. Harys, kurwa, do roboty!

Lester zgarnął telefon z biurka i ruszył w kierunku wyjścia. O ile dobrze pamiętam, dzień później chłopak jego córki został pobity pod swoim domem.

ROZDZIAŁ 21

William Crick został poproszony przez Dwayne'a o przejście za barierkę. Po chwili znalazł się w pierwszym rzędzie tłumu. Dwayne odprowadzając starca wzrokiem, pomyślał jak to dobrze, że jeszcze ludzie nie pchają się do przodu, jak na koncercie rockowym. Crick natomiast, oddalony od punktu, w którym jeszcze dobrze działały jego zmysły, starał się wyłapywać fragmenty historii, jaka wylewała się z goryczą z ust Roberta. Jednakże podeszły wiek i jazgot gapiów pozwalały mu usłyszeć zaledwie co drugie lub trzecie słowo. Dopiero na podstawie tych słów Crick dopowiadał sobie resztę.

Jednym z tych słów był:

– „Bernard” – Robert wypowiedział imię tragicznie zmarłego syna Cricka.

Crick jęknął z rozpaczy i podekscytowania. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale po chwili dosłyszał:

– ...„pasku od spodni” – kontynuował Robert.

Dłonie starca zaczęły drżeć tak mocno, że miał trudności z zaciśnięciem ich na barierce. Na przegubie prawej ręki dygotał mu stary radziecki zegarek na bransolecie. Chwycił obiema dłońmi pomalowaną na niebiesko deskę. Podniósł barierkę o kilka centymetrów i opuścił z powrotem na ziemię.

– Przepraszam! – krzyknął. – Ja przepraszam! Chcę o coś zapytać.

Nie usłyszał go nikt oprócz dwóch policjantów, którzy odruchowo zrobili kilka kroków w kierunku Cricka myśląc, że pytanie było skierowane do nich.

Crick zająknął się i machnął na nich ręką.

– Robercie! – Uniósł barierkę i stuknął nią ponownie. – Możesz powtórzyć imię tego mężczyzny, który powiesił się na pasku od spodni!? – wykrzyczał najgłośniej jak potrafił, aż

oczy zaszyły mu mgłą, a nogi ugięły się w kolanach. Zakasłał i poklepał się po klatce piersiowej.

Robert odwrócił wzrok od Anny i rozejrzał się w poszukiwaniu głosu, który zadał pytanie. Znał ten głos. Właściciela głosu poznał go na samym początku, gdy jeszcze nie było tyłu gapiów i policji. Przebiegł wzrokiem po swojej publiczności i odnalazł wyróżniające się szelki staruszka, które podtrzymywały przykrótkie spodnie.

– Bernard – powiedział. – Ten pracownik miał na imię Bernard.

William Crick zbladł, a jego wzrok, ukryty pod grubymi szklami okularów, wyrażał ogromne, niepojęte dla większości ludzi, cierpienie.

– To był mój syn, Robercie – rzekł przyciszonym, drżącym głosem. – To był mój syn...

Tłum nieco przycichł, a większość jego oczu przeskakiwała na zmianę od Roberta do Cricka, jakby obserwowali niewidzialną piłkę tenisową przelatującą przez ulicę.

– Przykro mi – odpowiedział mu Robert po chwili milczenia. – Był dobrym człowiekiem. Chciałbym, żeby wszyscy ludzie tacy byli. Tak... dobrze wychowani. Gratuluję panu syna.

– Dałeś popalić tym gnojom – odpowiedział z kamienną twarzą.

Zachwiał się na nogach. Mężczyzna stojący obok złapał go pod ramię, nie pozwalając mu upaść. Jeden z policjantów uniósł rękę i machnął w kierunku sanitariusza opartego o karetkę i palącego papierosa. Ten rzucił niedopałek i ruszył na pomoc przeciskając się przez kilka rzędów ludzi, prosząc każdego o odsunięcie się i zrobienie miejsca.

– Nie powinieneś być tyle palić synu... – powiedział mu Crick.

ROZDZIAŁ 22

Im dalej szedłem przed siebie, tym ciemniej się robiło. Potykałem się o puste butelki, deptałem po puszkach i starych gazetach. Zaulek przypominał fragment najgorszej slumsowej dzielnicy, gdzie biedota wywala wszystkie śmieci za siebie lub pod siebie. Tutaj jednak stał bogaty apartamentowiec dla elit, którego marmurowa elewacja lekko odbijała światło księżycy. Bogatym wystarczy, że mają czysto w zasięgu wzroku, tutaj i tak nikt nie zagląda.

Wspaniałe miejsce do morderstwa, pomyślałem, i obieży mnie dziwne ciarki.

Gdzieś obok szumiała klimatyzacja.

Po kilkunastu metrach dotarłem do czarnej drabiny prowadzącej na metalowe schody. Ze względów bezpieczeństwa jej pierwszy szczebel był na wysokości około dwóch i pół

metra. Podskoczyłem kilka razy i jedyne co złapałem ręką, to powietrze. Być może i udałoby mi się jej dosięgnąć, gdyby nie ból w kostce nasilający się z każdym kolejnym wyskokiem i lądowaniem.

Zakląłem. Tu nie było żadnego bezdomnego, żeby mi pomógł. Dookoła nie zauważyłem również nic, co pomogłoby mi dosięgnąć do tej pieprzonej drabiny. Byłem uziemiony. Z jednej strony siatka, z drugiej strony również siatka – tyle że z zamkniętą na kłódkę furtką. A nade mną schody przeciwpożarowe, które w razie pożaru sprowadzają bogatych ludzi do zaułka między budynkami, z którego nie ma wyjścia.

Parsknąłem.

No, chyba że dozorca nie spłonie żywcem i wyjdzie otworzyć tę pieprzoną kłódkę. Najwyraźniej konieczność trzymania narkomanów i bezdomnych z dala od tego przesmyku była z jakiegoś powodu ważniejsza, niż bezpieczeństwo ludzi mieszkających w tym kilkunastopiętrowym apartamentowcu.

Oparłem się o ścianę i zsunąłem do pozycji siedzącej, wprost na rozplaszczony karton. Wyprostowałem bezradnie nogi i czekałem. Nie myślałem o niczym, po prostu rozglądałem się na boki i chłonałem aromat nocy, która miała być moją ostatnią. Oddychałem spokojnie i miarowo, równie dobrze mogłem być na zwykłym spacerze i siedzieć na ławce w parku.

Po chwili pomyślałem o przeszłości, jak zawsze. Wspominałem Alice. Wspominałem szkołę, rodzinę i wszystko pozostałe, co już nigdy nie wróci. Wspominałem nawet o trzy lata starszego chłopaka z podstawówki, który chciał się zemścić za to, że mój brat go stłukł. Za akcję ze śniegiem.

Osilek miał na imię Igor. Wyglądał jak przerośnięty, pryszczaty troll. Miał ksywkę Freaky, ale gdyby nie jego nadpobudliwość i agresywność, wszyscy nazywaliby go po prostu przerośniętym pryszczatym trollem.

Pamiętam dobrze, gdy brat Adam powiedział mi, że nie powinienem dawać sobą pomiatać, bo to przynosi jemu wstyd. Podobno chłopaki z jego klasy lubili się ponabijać, jak to mała sierota Robert dostaje wycisk i nie potrafi złapać piłki bez oberwania nią najpierw w twarz.

Pewnego razu, gdy szedłem do sklepu po zakupy, a chodziłem często, bo ten kto szedł zawsze mógł dla siebie kupić bonusową czekoladę. Jako że większość rodzeństwa była starsza i nie rajcowała ich możliwość dostania czekolady w zamian za zrobienie nudnych zakupów, do sklepu chodziłem przeważnie ja. Był to market położony około półtora

kilometra od naszego domu, jedyny duży sklep w miejscowości. Większą część trasy stanowiła kręta szosa z piaskowym poboczem. Dookoła porzucane były mniej lub bardziej opuszczone budynki, w których losowo przesiadywała cała śmietanka patologicznej rzeczywistości. Stała tam skrytka miłości, która była tak naprawdę zdewastowanym kioskiem. Była palarnia w miejscu spróchniałej drewnianej szopy. Była również pijalnia, na którą składał się pusty dom należący niegdyś do pewnej starej wariatki, która pod koniec swojego życia zabiła deskami wszystkie okna, by umrzeć tej samej nocy. Nikt się nie upomniał o jej majątek, toteż dom stał się ulubionym miejscem posiedzeń alkoholików, narkomanów i wszystkich chłopaków ze szkoły, którzy chcieli zbyt szybko wejść w dorosłość.

To właśnie niedaleko od tego miejsca spotkałem Igora, który nie mógł opuścić okazji, by dać mi nauczkę za upokorzenie, jakiego doznał przez mojego brata, który stanął w mojej obronie.

– Jest i ten gnojek Harys – powiedział na cały głos, mieląc wykałaczkę w ustach.

Jeżeli udałoby mu się podkraść ojcu papierosa, to trzymałby peta. Tym razem jednak musiała mu wystarczyć wykałaczką. Czasem, gdy udało mu się zdobyć faję, trzymał wypalonego peta w ustach jeszcze przez kilkadziesiąt minut, tak by wszyscy wiedzieli, że jest twardy i pali. Córka sąsiadów, którą aktualnie zabawiał swoim wątpliwym towarzystwem zarechotała, jakby powiedział jeden z lepszych dowcipów świata. Do dziś nie mogę pojąć jak którakolwiek dziewczyna mogła się interesować takim gościem jak on.

– Gnojku, mamy do pogadania – wyszczerzył zęby, chciwie szukając wzrokiem aprobaty.

– Daj mi spokój, nic do ciebie nie mam – odpowiedziałem spuszczać głowę w dół.

– Ale ja mam dla ciebie prezent. Moją pięść. – Spojrzał nonszalancko na dziewczynę, a ta znów zawyła bezmózgim śmiechem.

Była rok młodsza od niego, więc musiał jej imponować. A rok starsza ode mnie, więc musiała mieć mnie za frajera. Jej kariera fajnej laski skończyła się dwa lata później, gdy urodziła dziecko. Nikt nigdy się nie dowiedział kto był za to odpowiedzialny, mimo że jej ojczym tłukł ją przez całą noc, by się przyznała. A winowajcą mógł być każdy popularny chłopak w okolicy. Widziałem jak większość z nich obgryzała paznokcie ze stresu przed badaniami. Na szczęście jej rodziny nie było na to stać.

Freaky splunął wykałaczką na bok i podszedł do mnie spokojnie, z rękami w kieszeniach podziurawionych džinsów.

– Jakież ostatnie słowa przed śmiercią? – wyszczerzył się ponownie.

– Po prostu daj mi spokój.

Wyciągnął jedną rękę z kieszeni i uderzył mnie pięścią w nos. Odleciałem w tył i upadłem na ziemię. Poczulem smak cierpkiej krwi i po chwili zobaczyłem jak dużymi kroplami uderza o piasek. Oczy mi się zaszkliły, a twarz zaczęła puchnąć z wściekłości.

Wstałem ślaniając się przed kolejnym ciosem, jednak żaden nie nadlatywał.

Spojrzałem na Freakiego, a ten stał z nonszalanckim uśmiechem, który przykrywał jego wzrzoną nienawiść i podłość. Te cechy można było wyczytać z jego spojrzenia.

Nie chciał mi wkopać od razu. Ominęłaby go cała zabawa. Wolał poznać się nade mną i obserwować jak powoli tracę siły.

Drugi cios otarł mi skroń, prawie udało mi się go uniknąć.

Rzuciłem się na niego z wrzaskiem. W moich oczach musiał dostrzec szaleństwo, ponieważ ja w jego dostrzegłem delikatny strach. Nigdy się nie spodziewałem, że gnojek i frajer Harys może mu oddać. Wpadłem na niego z pełnego rozbiegu, jak hokeista na przeciwnika. Tuż za nim stał duży krągły kamień. Potknął się w momencie, gdy na niego napałem. Miałem wrażenie, że lecimy przez wieczność. Ale gdy już ta wieczność minęła, powaliłem go na ziemię. Gdyby nie ten kamień, to pewnie uderzyłbym w niego jak w ścianę. Freaky gruchnął głową o glebę z hukiem, który skojarzył się mi z wielkim jajem rozbijanym o kuchenne płytki.

Leżał bez znaku życia.

Betty krzyczała.

– Coś ty narobił, koleś?! Masz przejebane! – dało się słyszeć gdzieś pomiędzy jej skowytem, płaczem i przekleństwami.

Freaky leżał na wznak, jak znokautowany bokser.

– Na co czekasz?! – wrzasnęła na mnie głosem, który byłby w stanie rozbić szkło.

– Aż wstanie! Jak wstanie to mu przypieprzę jeszcze raz! – starałem się ją przekrzyknąć.

Zapomniałem o krwawiącym nosie. Wstałem i chodziłem raz w jedną, raz w drugą stronę. Byłem nabuzowany, zaciskałem pięści i napinałem wszystkie mięśnie. Stres zżerał mnie od środka, jednakże gdzieś ponad nim czułem ogromną radość, że w końcu sprawiedliwości stała się zadość. Freaky leżał nieprzytomny przez dłuższą chwilę, a Betty skakała nad nim i próbowała go ocucić. Przeczynałem, że gdy wstanie to spierze mnie tak, że wyląduję na oddziale intensywnej terapii. Ale mimo wszystko chciałem poczekać aż się podniesie, a potem napluć mu prosto w twarz i dać parę ciosów zanim całkowicie dojdzie do siebie.

Właśnie tak.

Więc gdy tylko poruszył głową i wydał z siebie pierwsze jęknięcie, podbiegłem i kopnąłem go prosto w jaja. A potem zacząłem uciekać. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak zasuwał. Miałem wrażenie, że jestem w stanie prześcignąć wszystkie samochody, jakie pojawiłyby się na szosie. Na całe szczęście nic nie jechało, jako że nawet nie oglądałem się za siebie.

Wieczorem Betty nakapowała mojemu ojcu i tak trafiłem do ponownie do psychologa. Oczywiście przedstawiła swoją wersję, a mojej nikt nie chciał słuchać. W końcu to Freaky miał wstrząśnienie mózgu i złamane żebro, a nie ja. Najważniejsze jednak, że nigdy więcej mnie już nie ruszył.

Lepiej jak wewnętrzny świat człowieka jest bogatszy, niż zewnętrzny. Tak mi powtarzał szkolny psycholog, do którego zostałem przymusowo wysłany po awanturze z Freakym. Starał się za wszelką cenę i na różne sposoby usprawiedliwić mój nagły wybuch złości, przez który ten przyszczaty psychol trafił do szpitala. Freaky nigdy nie był pod nadzorem psychologa, najwidoczniej według opinii wszystkich wcale tego nie potrzebował. Ja natomiast chyba tego potrzebowałem. Również w opinii wszystkich, tylko nie w swojej. I tak zaczął się mój konflikt ze światem.

Tłumię w sobie uczucia, powtarzał psycholog. A natłok negatywnych uczuć, zbieranych skrupulatnie przez lata, w końcu doprowadził do wybuchu. Przyrównywał mój szłał do wulkanu.

Młodość to jedyna rzecz warta posiadania, parafrazował jakiegoś myśliciela. Nie chciałem bym znów wpadł w kłopoty i popsuł sobie najlepsze lata swojego beztroskiego życia. Do tej pory nie rozumiem dlaczego starał się zrobić ze mnie wariata.

Rozmyślałem swoje myśli głębokim westchnieniem. Musiałem jakoś dostać się do apartamentowca.

Zacząłem badać wszystko dookoła. Jedyne wystarczająco twardymi przedmiotami, by móc na nich stanąć, były puste szklane butelki po jakimś tanim winie. Co prawda większość leżała potłuczona lub popękana, lecz było również kilka nietkniętych, jakby wprost oderwanych od zapijaczonych mord alkoholików.

Cholera, pomyślałem. Czy uda mi się uzbierać kilka i na nich stanąć? Czy wytrzymają mój ciężar i pozwolą podskoczyć na tyle bym mógł dosięgnąć drabiny? Nawet jeżeli odpowiedź na te pytania byłaby przecząca, to i tak musiałem spróbować. Drugim rozwiązaniem byłoby podcięcie sobie żył. A przecież miałem jeszcze trochę pracy przed sobą.

Wstałem niemrawo i na nowo poczułem ból w kostce oraz zmęczenie mięśni nóg. Zacząłem chodzić nieco po omacku w poszukiwaniu nienaruszonych butelek, aż w końcu natrafiłem na ich źródło. Była to zielona plastikowa skrzynka, w której było jeszcze kilka flaszek, grzecznie spoczywających w przegrodach. Schyliłem się i wyciągnąłem jedną z nich, przybliżając maksymalnie do oczu, by zobaczyć w mroku napis. „MD 20/20” – trunek dzieciaków, którzy chcą się napić z dala od dorosłych. Widocznie urządzili sobie tu libację. Dzięki chłopaki.

Wziąłem skrzynkę i postawiłem ją pod drabiną. Zapakowałem do niej dodatkowo kilka rozrzuconych butelek, ale w trakcie zdałem sobie sprawę, że zyskam zaledwie kilka centymetrów. Lepiej było ustawić skrzynię w pionie. Traciła na stabilności, ale przynajmniej miałem pewność, że doskoczę. Po chwili grzebania się i ustawiania, mogłem już na niej stanąć. Zachybotła się lekko i z paniki przed upadkiem przytrzymałem się ściany. Balansując niczym cyrkowiec na linie złapałem równowagę i uniosłem głowę do góry. Przyjrzałem się drabinie i skupiłem na niej wzrok.

To jest to, pomyślałem. To jest ten moment. Teraz, albo nigdy.

Wyskoczyłem. Ledwo udało mi się złapać najniższy szczebel, a usłyszałem jak skrzynka spada z powrotem na płasko, zupełnie jak stołek pod wisielcem. Ale teraz to nie było ważne. Najważniejsze było dosięgnąć drugiego szczebla, zanim mięśnie rąk odmówią mi posłuszeństwa. A ostatnie tego typu ćwiczenia fizyczne miałem w bodajże w liceum, więc nie mogłem wisieć jak idiota i zastanawiać się co dalej.

Pierwszy szczebel, drugi, trzeci. Udało się. Jeszcze dwa i będę mógł zahaczyć się nogami. Jednak w tym momencie usłyszałem metaliczny szczęk i ułamek sekundy później drabina nie wytrzymując mojego ciężaru zsunęła się z impetem w dół. Upadłem z głuchym łomotem na plecy. Przestałem cokolwiek widzieć i przestałem oddychać. Próbowałem złapać powietrze, ale nie mogłem, zupełnie tak jakbym nie miał płuc. Zdarzyło mi się to już kilka razy, gdy na basenie po nieudanym skoku uderzyłem płasko o taflę. Uratowało mi to wtedy życie, bo pewnie bym utonął nabierając odruchowo powietrza pod wodą. Innym razem dostałem mocno kopniętą piłką w klatkę piersiową. Stałem wtedy na bramce. Każda najgorsza fajtlapa staje zawsze na bramce, bo do niczego innego się nie nadaje. Na całe szczęście wtedy obroniłem, stając się pośmiewiskiem i bohaterem zarazem. A piłkę kopał nikt inny jak Freaky, około roku po tym jak go pozbawiłem przytomności.

Gdy człowiek umiera, w głowie rozbrzmiewają najdziwniejsze echa przeszłości. Leżałem tak na czworakach i myślałem o tych wszystkich sytuacjach, wspominając moment,

gdy płuca się odblokowywały i znów mogłem złapać powietrze. Pocieszałem się, że zaraz znów to nastąpi. Czekałem, starając się nie panikować.

Haust.

– Ja pierdolę – zakląłem cicho do siebie po drugim wdechu.

Teraz zacząłem w myślach przeklinać wszystkich konstruktorów schodów przeciwpożarowych, którzy projektują tak słabe zawiasy opuszczające drabinę. Być może chcieli dać nauczkę tym, którzy próbują dostać się od dołu.

Wstałem i otrzepałem się. Teraz mogłem wspiąć się bez dodatkowych przygód. Na wszelki wypadek wchodziłem powoli, co jakiś czas zatrzymując się i wsłuchując w groźne skrzypnięcia. W połowie drogi zacząłem analizować adres, z którego otrzymywałem rysunki od Alice. Jeżeli pierwsza cyfra oznacza numer piętra, tak jak w większości cywilizowanych krajów, to musiałem wejść po schodach na dziewiąte piętro. Lub dziesiąte, jeżeli parter oznaczono po europejsku zerem. W takich budynkach jak ten, każde odbiegnięcie od amerykańskiej normy było trendy. Mogą równie dobrze numerować po kolei.

2970 Perine Street, Apt. #913.

Licząc w myślach każde piętro dotarłem na dziewiąte. Lekko zdyszany przystanąłem na chwilę i nachyliłem się, by łatwiej złapać oddech. Zajrzałem przez małe okno w drzwiach prowadzących na schody ewakuacyjne, żeby ustalić, czy dotarłem na właściwy poziom. Jedyne, co ujrzałem, to wewnętrzna klatka schodowa. Nacisnąłem klamkę. Oczywiście było zamknięte. Nigdy nie próbowałem się nigdzie włamać, ale intuicja podpowiedziała mi, że należy podważyć nożem miejsce na wysokości klamki. Siłowałem się przez chwilę, raz szarpałem drzwi, raz je pchałem i od czasu do czasu wpychałem nóż głębiej. W końcu usłyszałem kliknięcie. Udało się.

Z klatki schodowej wszedłem na korytarz pełen mieszkań dziewiątego piętra. Pierwszym numerem, który ujrzałem na drzwiach był 901. Bingo.

Korytarz był oświetlony mocnym światłem. To jeden z tych budynków, gdzie mieszkańcy są tak bogaci, by mogli pozwolić sobie na wiecznie zapalone żarówki. Na podłodze położony był jasny parkiet i przykrywał go zdobiony beżowo-szkarłatny dywan idealnie komponujący się z drzwiami i framugami, które również były w tej samej tonacji. Ściany były wymalowane bliżej mi nieokreślonym odcieniem ciemnożółtego. Gdzeniegdzie stały wysokie stoliki z wazonami świeżych kwiatów. Wszystko pod kolor.

W normalnych okolicznościach zostałemby delikatnie wyproszony, tak jak wyprasza się bezdomnego z dworca, ponieważ psuje nastrój otoczenia.

Wytarłem mokre od potu dłonie o koszulę. Pozostawiły ciemny, wilgotny ślad na tkaninie. Zabrane na początku rękawiczki szlag trafił, latarkę także. Najważniejszy jednak był nóż. Uradowałem się, że go nie zgubiłem. Oddychałem ciężko przez usta. Nie byłem zmęczony ani zziębnięty. Teraz wydaje mi się, że to było podniecenie. Takie samo jak podczas stosunku, gdy człowiek zaczyna sapać zanim się zmacha. I tak też było ze mną. Chory i podły dech wyrzucał z płuc całe hausty powietrza.

Nie miałem jak wejść do mieszkania, ani nie wiedziałem jak mogę to zrobić. Ale miałem nóż, który dawał mi przewagę i władzę.

I rację.

Bez problemu odnalazłem mieszkanie numer 913. Wyciągnąłem rękę by nacisnąć starannie przymocowany do ściany przycisk dzwonka, ale w porę się powstrzymałem. Przecież bym wszystkich obudził.

Musiałem zapukać. Lekko, niewyraźnie, jak najdelikatniej potrafiłem. W końcu zbliżała się czwarta nad ranem. Sen człowieka jest już lżejszy, skory do wybudzenia i podatny na dźwięki. Wystarczyło, że wstanie pan domu. Tak, potrzebowałem go. Był mi niezbędny do otwarcia drzwi i zrobienia dziury w jego krtani. Nie mogłem obudzić mojej pierwszej żony i Alice. A jeżeli bym obudził, to i tak wysła pana domu, by sprawdził kto puka...

Mojej pierwszej żony, pomyślałem. Jak miała na imię ta kurwa? Nancy. Z domu Kingów. Ciekawe czy nazywa się już jak ten jej nowy fagas.

Przyjrzałem się tabliczce wiszącej na drzwiach. Była wygrawerowana złotym kolorem na czarnym oszlifowanym kamieniu. Czcionka z zawijasami i innymi bogatymi bzdurami podkreślającymi status pomieszczeń skrywanych za nią.

„David R. Hayman”.

Tyle lat minęło, a ten fagas nie zmienił jeszcze tabliczki. Powinno być „Nancy & David Hayman”. Lub też, jeżeli się jeszcze nie ohajtali – „Nancy S. King & David R. Hayman”. Założę się, że taka tabliczka kosztuje całą moją miesięczną pensję. Głupi skurwiel.

Trzeba mieć więcej w środku niż na zewnątrz, pomyślałem przypominając sobie słowa mojego szkolnego psychologa.

Zapukałem dwa razy, najdelikatniej jak mogłem. Nasłuchiwałem szmerów. Za drzwiami nic się jednak nie działo. Nikt się nie krzątał, nie wkładał papci i nie kłął pod nosem. Odczekałem jeszcze kilkanaście sekund i zapukałem znowu, tym razem nieco mocniej.

Zacząłem się zastanawiać czy przypadkiem zadaniem recepcjonisty nie jest powiadomianie o nadejściu gości, gdy ci są jeszcze na dole. Czy mieszkańcy tutaj są obeznani

z pukaniem w drzwi? Być może siedzą teraz skuleni ze strachu i dzwonią na policję. Ta myśl wydała mi się zabawna i przerażająca zarazem. A co, jeżeli to prawda? Wszak ktoś pukający o czwartej nad ranem może oznaczać jedynie kłopoty. Przetarłem twarz dla zachowania trzeźwego myślenia i zapukałem ponownie, tym razem normalnie, tak jak puka się na co dzień w środku dnia.

Za drzwiami coś zaszurało i kliknęło. Był to zapewne odgłos kapci i pstryknięcia włącznika od światła. Chwila ciszy oznaczała lustrowanie mnie przez wizjer. Staralem się wyglądać jak najbardziej normalnie i niepozornie. Na wszelki wypadek znów się przygarbiłem, by ukryć kontury rękojęści odbijające się na koszuli.

Odnosiłem dziwne wrażenie, że czekają tam na mnie. Stoją w mroku milcząc i wymieniając się wymownymi spojrzeniami. A drzwi zaraz się otworzą i gdy tylko przestąpię próg, wszystkie światła nagle rozświetlą apartament, a całe zgromadzenie krzyknie: „Niespodzianka!”. Będzie tam zakrwawiony i pijany Lester trzymający szampana, oraz Junior ze stożkową czapeczką na gumce, broczący w czerwonej mazi – swojej i jego ojca. Wszystkie dziury, które w nich zrobiłem buchają czerwienią, jak aktywny, pulsujący wulkan. Będą tam wszyscy, których kiedykolwiek znałem. Myślę, że pomieściliby się w jednym wielkim salonie. Brat Bartek będzie trzymał ogromny tort z krwawym napisem: „Dla najlepszego mordercy na świecie”, a po jego bokach będą wetknięte dwa zimne ognie wypalające się równie szybko, jak życie z nas wszystkich.

Wzdrygnąłem się.

Po chwili ciszy nastąpił szmer odsuwanej zasuwki i podwójne kliknięcia dwóch przekręcanych zamków. Połączana klamka, tego samego koloru co czcionka na tabliczce, uchyliła się w dół. Drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. Były idealnie wpasowane w futrynę i nie zaskrzypiały w zawiasach ani nie zaszurały o podłogę.

W progu stanął zaspany facet w szafirowym szlafroku. Na twarzy nie miał żadnych bruzd ani zmarszczek, a jedyną cechą odróżniającą go od chłopca z okładki były rozczochrane włosy, które mimo wszystko układały się w stylu niegrzecznego buntowniczego przystojniaka. Poza tym był przeraźliwie niski. Co najmniej o półtorej głowy niższy ode mnie. Nie tak wyobrażałem sobie faceta, który porwał mi żonę i dziecko.

Nancy tak bardzo utrzymywała wszystko w tajemnicy, że nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Coś się stało? Kim pan jest? Kto pana tu wpuścił? – rozpoczął serią pytań. Jedna jego dłoń mocno ścisnęła klamkę na wypadek kłopotów.

– Miło mi cię poznać, w końcu – powiedziałem mu z nieukrywanym uśmiechem.

W jego oczach rosło przerażenie, tak jak w moich rosła iskra szaleństwa. Zaspany wyraz twarzy zastąpił grymas niedowierzania i całkowitego rozbudzenia. Wydaje mi się, że przez chwilę myślał, że to tylko sen.

– Do tej pory miałem okazję oglądać jedynie twój samochód – kontynuowałem. – Odwoziłeś Alice do szkoły. Nie powinienesz być podjeżdżać pod samo wejście, wiesz? Zawsze czuła się głupio, otoczona taką niepotrzebną troską. Chciała by ją zostawiać wcześniej, by mogła bez skrępowania poczuć się niezależna.

Zrozumiał już kim jestem.

– Może się ciebie wstydziła. – Uśmiechnął się półgębkiem.

Zawrzałem. Był dupkiem, któremu przydałby się gruntowny remont charakteru.

Sięgnąłem pod koszulę i wyciągnąłem nóż. Nie śpieszyłem się z tym, chciałem by dokładnie widział ten ruch. By zobaczył co zatopi się w jego wymuskany ciele, tak jak zatopiło się w ciałach innych. By wiedział, że to nie pierwsza ofiara tego zaostzonego kawałka nierdzewnej stali. Nie był wytarty zbyt dokładnie. Chciałem tym ruchem sprawić, by poczuł własną śmiertelność, na chwilę, zanim mu ją zaserwuję.

Wyciągnął rękę, żeby nacisnąć gładki guzik przy domofonie. Zapewne oznaczało to wezwanie ochrony.

– Śmiało – powiedziałem. – Na pewno ktoś tu przyjdzie. Przybiegnie cały oddział spasionych ochroniarzy, jak tylko skończą wpierdalać swoje hamburgery.

Zastygł w bezruchu. Domyślał się, że naciśnięcie tego białego okrągłego przycisku sprowadzi na niego kłopoty z mojej strony. Jego drgające ze strachu wargi chciały negocjować.

– To przecież nie moja wina. To, co się stało to...

Postawiłem stopę w progu, tak na wszelki wypadek.

– To co?

– To nie moja wina, przecież nie mogłeś jej trzymać na łańcuchu, to był jej wybór, ja jej do niczego nie namawiałem, kazałem jej przemyśleć wiele razy, pytałem się czy jest pewna, czy to w porządku z naszej strony, czy mała na tym nie ucierpi, czy...

Szybkim machnięciem wbiłem mu nóż w rękę tak, że palec wskazujący ledwie musnął guzik od wzywania ochrony. Wyszarpnąłem nóż i krew trysnęła pod mocnym ciśnieniem. Zacisnął zęby w bólu i przywarł zranioną kończynę do siebie. Trafiłem idealnie w żyłę na przedramieniu. Śmierć włączyła odliczanie.

Nie krzyknął, a jedynie warknął. Ze zdziwieniem spojrział na fragmenty mięsa zalewane krwią. Być może wciąż miał nadzieję, że to sen.

Ta nadzieja, to było jedyne, co nas łączyło.

Cofnął się o parę kroków, wciąż ściskając przedramię, i rzucił się biegiem z przedpokoju do salonu, poślizgując się przy pierwszym kroku na plamie własnej krwi. Próbowałem go złapać, ale tylko musnąłem jego szlafrok. Nie musiałem biec za nim. Mogłem równie dobrze stać w progu i odliczać pozostałe sekundy do całkowitego wykrwawienia. Myślę, że dwie minuty załatwiłyby sprawę.

Ale zapewne pobiegł po telefon. Jak szybko można wykręcić 911 jedną ręką? Piętnaście sekund? A jak szybko uzyska połączenie z dyspozytorką i wypowie adres, na który mają przyjechać wszystkie możliwe radiowozy w mieście? Kolejne piętnaście sekund. Czyli miałem ponad pół minuty. Pół minuty by wolnym krokiem iść za śladami krwi i znaleźć go skomlącego do słuchawki, by się pośpieszyli.

Uśmiechnąłem się do siebie i zacząłem nucić *All You Need Is Love*.

Przeszedłem przez długi przedpokój, mijając po drodze kilka pozamykanych drzwi do pomieszczeń. Czerwone krople doprowadziły mnie do salonu, łączącego się z kuchnią. Nazwałbym ją aneksem kuchennym, ale była tak ogromna, że z powodzeniem pomieściłoby się w niej całe moje mieszkanie – nędzna klitka na 36 metrów kwadratowych. Ślady najpierw skręcały w lewo, do salonowej komody, w której jedna z szuflad była całkowicie otwarta, a następnie skręcały w prawo, prowadząc do kuchni i lepiej kontrastując się z bielą kuchennych płytek. Zapaliłem wszystkie światła, by nie oberwać po ciemku jakimś nożem do smarowania chleba. Dało się słyszeć dyszenie i szlochanie. Był to przerażony płacz kogoś, kto stara się być jak najciszej, jednakże stres i lęk wyrzuca przez struny głosowe rytmiczne, drgające głoski.

Wychyliłem się zza rogu, by zadać ostateczny cios, ale zobaczyłem wycelowany w swoją stronę pistolet. Nie był to żaden klasyczny model, dostępny w sklepach z bronią, ale jakiś egzemplarz kolekcjonerski, wyglądający na replikę niemieckiego Lugera z czasów II Wojny Światowej.

– Wynoś się z mojego domu – powiedział przez łyż.

Broń w jego ręku drżała tak mocno, że dało się słyszeć klikanie źle dopasowanego magazynka.

– To replika – stwierdziłem, choć bez większej pewności. – Możesz nią nastraszyć co najwyżej dzieciaki w przedszkolu i jakąś staruszkę.

– Goń się – szepnął, jakby nie chciał nikogo obudzić. Jakby miał nadzieję, że dopadnę tylko niego. – To prawdziwa spluwa i jak boga kocham zaraz ci wpakuję cały magazynek między oczy.

Jego ręka latała na boki jakby miał zaawansowaną chorobę Parkinsona. Mówiłem do niego, ale nie przestawałem się wpatrywać w drgający otwór lufy, wyczekując wypływającego z niego blasku, a następnie całkowitej ciemności.

– Jakbyś miał do mnie strzelić, już dawno byś to zrobił.

– Daję ci ostatnią szansę. Wynos się – płakał. – Każdy sąd mnie uniewinni. Zabiję cię gnoju, a potem mnie uniewinnią.

Krew coraz obficie kapłała na podłogę, tworząc zacieki spływające między fugi w kuchennych płytkach.. Miał zakrwawioną całą prawą stronę ciała od pasa w dół. Zranioną ręką zwisała bezwładnie jak jakiś gumowy rekwizyt.

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto kiedykolwiek strzelał z broni. Nie trafisz. Zobacz jak ci się ręka trzęsie. Poza tym wydajesz mi się praworęczny. Nie mam stuprocentowej pewności, ale dziś mi szczęście sprzyja – wyszczerzyłem się w podłym uśmiechu.

Spojrzał szybko w stronę stojaka na kuchenne noże, a wyraz jego twarzy chciał je bardzo przywołać do siebie. Gdyby tylko były bliżej, musiał myśleć. Gdyby tylko mógł sięgnąć ten wielki tasak i machać nim na oślepa, póki nie ustaną moje krzyki. Noże były jednak na tyle daleko, że mogłem znów podziękować opatrności dzisiejszej nocy.

Wykorzystałem tę chwilę nieuwagi i zrobiłem dwa szybkie kroki w przód i pchnąłem go ostrzem w ramię, odcinając nerw kontrolujący lewą rękę. Wrzasnął z bólu, a broń huknęła o podłogę i wystrzeliła, tłukąc coś w salonie.

– O kurwa – ryknąłem z przerażeniem.

Jednak była prawdziwa i nabita. Na szczęście od razu nadeszło poczucie ulgi, że stary Luger nie stanowi już dla mnie zagrożenia. Hayman stał z wbitym nożem w ramię i z histerią wymalowaną na twarzy przyglądał się jak jego rana wypływa czerwoną, gęstą maź. Cofnął się o krok, przywierając do blatu, na którym stała brudna miska po sałatce i dwa kieliszki do wina. Trącił je łokciem, a te przewróciły się i potoczyły na skraj blatu, by rąbnąć z irytującym trzaskiem o podłogę. To była ostatnia romantyczna kolacja z winem jaką mieli.

Wyszarpnąłem nóż z jego rany i padł na kolana.

– Nie zabijaj mnie, błagam – skowyczał. – Zrobię, co tylko zechcesz. Bierz, co tylko chcesz.

– Skończyłem z tobą rozmawiać.

Chwyciłem jego głowę, wielkości i kształtu piłki do futbolu, a potem przejechałem całą krawędzią noża po krtani. Parchnął krwią na moje spodnie i łupnął na kuchenne płytki jak bryła lodu. Jego głowa trzepnęła o nie tak mocno, że w miejscu uderzenia powstało kilka pęknięć, które od razu zostały zalane świeżą krwią z jego gardła.

Kurdupel był tak niski, że mógłbym go upichcić w jego własnym piekarniku, bez konieczności krojenia jego ciała na kilka kawałków. Mógłbym go tam wsadzić, zatrzasnąć drzwiczki i nastawić maksymalną temperaturę. Postukać w szybkę i pomachać do niego z uśmiechem, patrząc przy tym jak się wije i zarumienia.

Splunąłem na jego trupa.

ROZDZIAŁ 23

Przeraźliwy łomot zagłuszył wszystkie słowa Roberta. Rytmiczne, dudniące uderzenia zaczęły docierać do jego uszu z nieznanego kierunku. Dźwięk przywodził mu na myśl szybkie uderzanie w bęben wojenny, jednakże dobrze wiedział, że nie takie jest jego źródło. Spojrzał w górę i rozejrzał się po niebie, które tego dnia było całe pokryte pierzastymi chmurami w kolorze idealnej bieli. Łomot przybrał na sile i Robert zobaczył nadlatujący od strony rzeki czarny helikopter, powoli obniżający lot. Podleciał tak blisko, że z powodzeniem można by dorzucić do niego kamieniem. Przez chwilę utrzymywał poziom, jakby maszyna chciała się uważnie przyjrzeć Robertowi. Po kilku sekundach znów wzleciał w powietrze, oblatując dookoła miejsce jego niedalekiej śmierci. Większość gapiów śledziła wzrokiem jak helikopter wzbija się coraz wyżej, by ostatecznie skończyć jako punkt na niebie wielkości komara.

– Świat jest chorym i popierdolonym miejscem – powiedział w tłumie jeden nastolatek do drugiego.

Tłum z każdą chwilą się powiększał. Wszyscy przebierali z nogi na nogę, wychylali się ponad głowy innych i lekko przepychali, by zobaczyć jak najwięcej tego, co się dzieje na barierce mostu. Pośród ludzi znajdowali się przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Niedaleko policjanta Dwayne'a, który ciągle starał się opanować tłum, wychylał się wysoki i przystojny mężczyzna w trzyczęściowym garniturze. Pod pachą trzymał najnowszy numer Forbesa. Dwa miejsca obok niego stanęło dwóch chłopców w wieku wczesnoszkolnym. Podskakiwali i zadzierali nosa, by cokolwiek dostrzec, ale szybko zrezygnowali i poszli w górę ulicy, machając ze zrezygnowaniem workami z butami na zmianę.

Inny policjant z obojętnym wyrazem twarzy przesunął czerwono-białą barierkę, gdy kilku napierających studentów napało na nią za mocno, tworząc prześwit. Otrzymali standardowe upomnienie i polecenie udania się do domu, ale ich szeroko rozdziawione oczy wyrażały żądzę wrażeń. Funkcjonariusz odepchnął ich jedynie lekko do tyłu.

Trzeci policjant z twarzą niczym figura woskowa i okularami przeciwsłonecznymi w stylu lat siedemdziesiątych, tłumaczył zamartwionej staruszce z zakupami, że wszystko jest pod kontrolą i niedługo ta para zejdzie z barierki za namową psychologa.

– Jak myślisz kochanie, skoczy? – zapytała się swojego chłopaka ładna blondynka o dziecięcej twarzy. Oboje trzymali się za ręce, stojąc nieco z tyłu.

– Całkiem możliwe. Wygląda na zdeterminowanego – odpowiedział jej z lekką nutą podziwu. – Zapędził się w pułapkę, ciężko się z takiej sytuacji wycofać.

– Dlaczego? Przecież jestem pewna, że wszyscy tutaj chcą go uratować. Różne tragiczne rzeczy zdarzają się w życiu. Być może miał o jedną za dużo. – Dało się wyczuć troskę w jej głosie. – Tragedia to tylko kolejny krok na schodach.

– Może... – chłopak zawiesił głos i przez chwilę oboje przyglądali się w milczeniu Robertowi. – Chodźmy stąd, jestem pewien, że chciałby aby go zostawić samego.

Odwrócili się plecami i odeszli wolnym krokiem. Jedynie na chwilę dziewczyna zerknęła przez ramię, by z ulgą zauważyć, że Robert nadal siedzi na barierce mostu.

Ciekawe czy Lisa już się dowiedziała, zastanawiał się Robert. Mam nadzieję, że odebrała już telefon z informacją „hej, twój ex stoi na moście i chce popełnić seppuku. Mówię ci, ten baran tak się przejął tym, że go zostawiłaś. Lepiej tu przyjeźdź”.

Tak, niech przyjedzie, pomyślał i uśmiechnął się delikatnie. Niech ta prezenterka jak najszybciej się do niej dodzwoni. Mamy niedokończone sprawy, które trzeba wyjaśnić.

Robert co jakiś czas zerkał na wymuskaną kobietę z łabędzią szyją, gdy ta nie nadawała dla telewizji. Czekał, aż wraz z kolejnym papierosem wybierze odpowiedni numer telefonu i przekaże fascynujące wieści. Nie będzie mogła się powstrzymać, jestem tego pewien, pocieszał się. Zawsze czerpała przyjemność z informowania ludzi i zdradzania ich tajemnic innym. Była stworzona do ciągłego gadania, a studia dziennikarskie i praca pomogły jej tę cechę ukierunkować. Zadzwoń lub wyśle wiadomość. Na pewno.

Policyjny psycholog, Laura Sanders, badawczo przyglądała się opowiadającemu swoją historię Robertowi. Gdy tylko go zobaczyła, od razu wiedziała, że to będzie ciężki przypadek, nie spodziewała się jednak, że okaże się nie do rozgryzienia. Nie pasował do żadnego profilu

skatalogowanego w jej głowie. Starła się wyłapywać najmniejsze sygnały z jego gestykulacji, słów i zachowania, by być o krok naprzód ze swoją ewentualną reakcją. Pomimo że miała siedzieć cicho i trzymać się z boku, wiedziała, że może zadyrygować całym wydarzeniem, jeżeli tylko naciśnie odpowiedni guzik w odpowiednim momencie. W zasadzie większość beznadziejnych przypadków, z jakimi miała do czynienia, dawało się przekabacić w ten sposób. Zamiast godzinnych rozmów wystarczył jeden mocny cios w psychikę, jedna solidna sugestia, by wszystko obrócić o sto osiemdziesiąt stopni. Trzeba było jednak czekać na odpowiedni moment i jak drapieżnik wyczekiwać dogodnego momentu do ataku z ukrycia.

Właśnie to w pracy psychologa pociągało Laurę najbardziej – te beznadziejne przypadki, z którymi można później brylować w rozmowach towarzyskich, przytaczając o nich anegdotki i zbierając poklask za wspaniale wykonaną robotę. Najlepszym takim przypadkiem, którym szczyci się przy każdej możliwej okazji, był meksykański złodziej Gustavo. Pamiętała wszystko, prócz jego nazwiska. W każdej chwili mogła przywołać oczami wyobraźni jego manierę, dykcję, kiepski akcent, a nawet wielkość jego przestraszonych czarnych źrenic, które promieniowały zza krzywo założonej kominiarki. Gustavo napadł na sklep jubilerski. Nie wpadł jednak na to, że uruchomił się system antywłamaniowy po zbitiu pierwszej gablotki. Mógł równie dobrze wycelować swoim pistoletem w jubilera i kazać mu otworzyć wszystko kluczem, jednakże wolał wybrać bardziej amerykański i filmowy sposób – próbując wybić pancerne szkło trzonem broni. Po kilku uderzeniach zarówno okna jak i drzwi sklepu okryły się kratami, odcinając mu drogę ucieczki i pozostawiając głupi i nierozumny wyraz twarzy pod kominiarką.

Gdy Laura przyjechała na miejsce zdarzenia, Gustavo stał przy kratkach, zasłaniając się jubilerem i trzymając mu pistolet przy skroni. Krzyczał coś po hiszpańsku. Gdy załapał, że nikt go nie rozumie, zmienił język na angielski, wsadzając gdzieś hiszpańskie słowa, gdy nie znał ich angielskiego odpowiednika. Po kilku minutach wymiany agresywnych zdań, Laura zapytała go czy naprawdę chciałby w taki sposób zapewnić byt swojej chorej matce i czy byłaby z niego dumna. Zmiękł. chwilę później odłożył broń i uklęknął na kolana z rękami założonymi za głowę, gdy zasugerowała mu, że za napad dostanie 10 lat, natomiast za zabicie człowieka dożywocie. „Lepiej się dobrze zastanów, Gustavo”.

– Lepiej się dobrze zastanów, Robert.

– Miałem wystarczająco czasu na przemyślenia – odparł.

– Robercie, a co powiesz na szpital psychiatryczny zamiast więzienia czy śmierci? –

Laura Sanders po dłuższym milczeniu odważyła się w końcu odezwać. Robert spojrział na nią zbity z tropu, tak jakby dopiero teraz się pojawiła.

– Nawet milion dolarów i karta wyjścia z więzienia nie sprawi, że zmienię zdanie – odpowiedział cynicznie.

– Nie ma na tym świecie nic, co by sprawiło, że zejdziesz i oddasz się w ręce policji?

– Absolutnie nic.

– A co powiesz na wehikuł czasu? Gdyby tak cofnąć wszystko o jeden dzień? – Spojrzała na niego znad okularów. Jej wzrok uświadomił go, że pytanie jest jakimś pokrętnym testem.

– Jeżeli chcesz wiedzieć czy żałuję tego, co zrobiłem, to ci odpowiem. Nie żałuję. – Robert wlepił wzrok w nurt rzeki, jakby chciał się upewnić czy nadal tam jest. Czy kilkadziesiąt metrów pod stopami nadal płynie jego rozwiązanie.

– Rozumiem, że to było integralną częścią planu samobójstwa. Bez zabijania miałbyś większe obiekcje co do skoku, prawda? Stałbyś tutaj godzinami i w końcu byś wymiękł. Teraz jednak wiesz, że wycofanie się oznacza coś gorszego niż śmierć.

– Nie było to moim głównym motorem napędowym, ale coś w tym jest – Robert przyznał jej rację.

– Dlatego też oferuję ci szpital psychiatryczny – wyjaśniła Laura. – Jesteś niepoczytalny. Działales w amoku, w stresie pourazowym.

– Przez całą noc? Nie rób sobie żartów – uśmiechnął się półgębkiem. – Każdy lekarz uzna, że to była czysta wyrachowana zemsta.

– Zemsta, skoro ucierpieli również niewinni?

– Jacy niewinni? – Anna spojrzała z przerażeniem na Roberta.

– Wszystko to jest kwestią zeznań i opowieści w sądzie. Jako psycholog widzę, że jesteś oraz byłeś niepoczytalny i zapewne obserwacja lekarska to potwierdzi – Laura pozwoliła sobie na podejście o dwa kroki w kierunku barierek. Chciała wykonać jeszcze jeden, ale się powstrzymała. – Nikt normalny nie stałby teraz na moście i nie próbował skoczyć, Robercie.

– Mogą równie dobrze uznać, że nikt normalny nie wróciłby do domu po tym wszystkim i poszedł najzwyczajniej w świecie spać. Normalna osoba skoczyłaby od razu na samą myśl tego, co zrobiła. – Robert przestąpił z nogi na nogę.

– Oferuję ci, co mogę – Laura mówiła spokojnie i wyraźnie artykułowała każdą sylabę. Robert odniósł wrażenie, że faktycznie ma go za wariata, lecz po chwili dotarło do niego, że to niewątpliwie jedna z psychologicznych gier. – Nie mogę ci nic obiecać, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że zamiast leżeć w piachu albo siedzieć w więzieniu,

będziesz wypoczywał w... – jej gałki oczne powędrowały w górę w poszukiwaniu słowa. – W przyjaźniejszym miejscu.

– Jacy niewinni? – powtórzyła cicho Anna.

Robert milczał w zadumie i omiatał wzrokiem całe zbiegowisko. Gdy nie spoglądał na Laurę, ta delikatnie uśmiechnęła się do Anny na znak, że ryba połknęła haczyk. Anna zignorowała to i cały czas patrzyła na Roberta z przerażeniem i rozwartymi ustami.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? Co z tego będziesz miała?

– Daję ci słowo, że zrobię co w mojej mocy. A mam z tego pieniądze oczywiście, taka moja praca.

– Pieniądze będziesz miała równie dobrze, gdy trafię do więzienia – rzucił ponuro. – Wiesz co zrobiłem, słyszałaś historię, wiesz co się w nocy stało od tamtego tam policjanta. – Wskazał palcem na Dwayne'a. – Jeżeli masz jakąkolwiek moralność, kazałabyś mi zgnieć w pierdłu.

– Moim zdaniem jesteś niepczytalny i takiej wersji będę się trzymać. Tak mi mówi moja moralność i profesja.

– Dziękuję za propozycję, ale jednak nie skorzystam. Chcę skoczyć, bo tak uważam za słuszne, a nie, że nie mam innego wyjścia. – Zamyślił się na chwilę i parsknął cynicznie. – Tak łatwo oszukać człowieka oferując mu nadzieję.

Obecnie dwaj policjanci obserwujący Roberta stali cały czas nieruchomo w pełnej gotowości. Ich prawe dłonie znajdowały się przy odpiętych kaburach. Co chwilę rozlegały się lekkie szumy dobiegające z ich krótkofalówek, jednakże nie robiło to na nich wrażenia. Jedynie Dwayne, kręcący się przy gapiach, czuł się w obowiązku raportowania sytuacji co jakiś czas.

Jego krótkofalówka zaszumiała nieco dłużej niż zwykle i zaczął się rozglądać dookoła. Odpowiedział urzędzeniu jednym słowem i skinął do najbliższego policjanta, by ten przez chwilę zastąpił go w kontrolowaniu gapiów. Podszedł do Laury z poważną, lecz wystraszoną miną i oboje odwrócili się plecami, tak jakby bali się, że Robert ich podsłucha. Dwayne przekazał jej kilka zdań i odszedł.

– Robercie, to prawda, że cierpisz na depresję? – Laury oczy zaiskrzyły, jakby odkryła właśnie żyłę złota.

– Tak – kiwnął ze zniechęceniem głową.

– Jakie leki brałeś?

– Przed przeprowadzką Seroxat. W Ameryce przepisali mi już Xanax. No i także magnez, w obu przypadkach.

– Czy ktoś z twoich rodziców również chorował? – zapytała łagodnie.

– Na co?

– Na cokolwiek psychicznego.

– Chyba matka. Miałem dwanaście lat, gdy zmarła – odparł ponuro. – Pamiętam tylko, że brała różne leki, a ojciec co dzień pilnował, by je połknęła.

– Pamiętasz nazwy? – spojrzała na niego z nadzieją.

– Miała całe stosy różnych opakowań – Robert zaczął grzebać w pamięci. – Pamiętam tylko Haldol i Torazyne. Czy jakoś tak.

Laura przez chwilę milczała, jakby zastanawiając się czy zadać kolejne pytanie. Za nią kilka osób próbowało przepchnąć się do pierwszego rzędu.

– Twoja matka chorowała na schizofrenię? – zapytała w końcu.

– Do cholery, nie wiem! Miałem dwanaście lat. Ledwo wiedziałem czym jest śmierć.

– Rozumiem. Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować.

Cofnęła się o krok, pokazując, że ustępuje. Wysłała ten mały sygnał Robertowi, który jakby delikatnie się uspokoił, ale po chwili znów zapytała:

– Czy pamiętasz jakieś dziwne zachowania matki? Możesz mi je opisać?

– Daj mi już spokój – westchnął.

– Proszę.

Przez chwilę obserwowali się wzajemnie. Robert starał się uchwycić sens i cel tego pytania, które było dla niego całkowicie bez znaczenia w tej sytuacji. W końcu uznał, że to tylko kolejna sztuczka psychologiczna, która ma na celu odwrócenie jego uwagi.

– Nie – powiedział stanowczo.

– Daj się poznać – poprosiła ponownie. – Chcę sprawdzić czy nie dolega ci nic dziedzicznego.

– Mama wyglądała na wiecznie roztargnioną – zaczął ze zniechęceniem. – Miała epizody, że odcinała się od świata. Po spełnieniu swoich obowiązków zamykała się w pokoju. Tak spędzała swój wolny czas, którego prawie wcale nie miała. Jak już mówiłem, pracowała na dwie zmiany. Ale łatwo ją było doprowadzić do szału i do płaczu, szczególnie w przypadku starszego rodzeństwa. – Przerwał i zastanowił się chwilę. – Często również myślała na głos.

– A pamiętasz jakieś konkretne zachowania?

– Kiedyś wyrzuciła wszystkie ubrania ojca przez okno. Innym razem szorowała patelnię tak mocno, że zdarła całą jej powierzchnię. A radio w jej kuchni musiało grać całą dobę, inaczej się wściekała. To wszystko, co pamiętam. Większość z tego przytrafiło się mniej więcej w ostatnim roku jej życia.

– Dziękuję, Robercie – uśmiechnęła się przyjaźnie. – Teraz już się nie będę odzywać, bo wiem, że tego nie chcesz.

Gdzieś w tle krzyknął jakiś oburzony reporter, gdy policjant wepchnął go z powrotem w środek tłumu.

– Robert! Jacy niewinni!? – Oczy Anny płonęły strachem pomieszanim z niecierpliwością.

ROZDZIAŁ 24

Całe życie czułem się pominięty, zepchnięty na drugi plan. Nigdy nie miałem zdolności ani talentu, by grać pierwsze skrzypce. Aż do teraz. W końcu ktoś się ze mną liczy, w końcu ja o czymś decyduję. Uczucie błogie, słodkie i lepkie niczym smak waty cukrowej. Jak byłem młody uwielbiałem watę cukrową. Zawsze starałem się jeść ją powoli i delikatnie, by dawkować przyjemność jak najdłużej. Zatapiałem w niej ostrożnie usta, by muśnięciem warg oderwać kolorową pajęczynkę z przesłodkich nici, a ta stopniowo rozpuszczała się na moim języku i nikła w przełyku wraz ze śliną. Kiedyś jednak zjadłem cały kij waty cukrowej na raz. Dłonią zbiłem całą puchatą kulę w jedną lepką maź i wetknąłem do ust, oblizując przy tym całą rękę. Cała skondensowana przyjemność zatkała mi przełyk tak, że trudno było mi nawet oddychać. Żułem tę watę, starając się powstrzymać odruchy wymiotne. Po chwili bolały mnie mięśnie szczęki od ciągłego rozklejania sobie zębów. Oczy zaszyły mi łzami. Miałem wrażenie, że się porzygam i zemdleję, ale mimo wszystko czułem się wspaniale. Wszystko to, co dawkowałem sobie zawsze kilkanaście minut, teraz wpadło mi na raz do żołądka, uwalniając jednocześnie wszystkie pokłady przyjemności wynikające bardziej z tego, że zmarnowałem cały kij waty, niż z tego, że mi smakuje.

Było w tym coś nierozsądnego. Nieprzepisowego.

To było wspaniałe.

A teraz stojąc nad zakrwawionymi zwłokami, nie czułem się już pominięty.

Ogarnęło mnie potworne obrzydzenie do siebie, jednakże zarazem pojawiła się iskra wniosku mówiącego, że tak ma właśnie być. Znowu poczułem ten skok adrenaliny i już po kilkunastu sekundach nie pamiętałem, że przeżyłem chwilę wahania.

Nancy, moja była żona. Stała tam i była. Istniała całym swoim istnieniem u progu drzwi od sypialni, która wychodziła na salon oraz kuchnię. Pod jej opuchniętymi z przerażenia i przebudzenia oczami rosły szare sińce. Jej źrenice drżały jak opętane, ale mogło mi się tak tylko wydawać, ponieważ zachodziły coraz to nowymi łzami. Była cała sztywna, zupełnie jak drewniana kukła lub martwe zwierzę w kilka godzin po śmierci. Usta miała rozwarte w krzyku, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Nie wiem jak długo tak staliśmy wpatrując się w siebie. Ja, zakrwawiony, ze zwłokami jej kochanka u stóp, a ona w jasnozielonej jedwabnej piżamie, całkowicie świadoma, że jej życie za chwilę legnie w jeszcze większych gruzach. Jestem pewien, że wyobrażała sobie swoje zwłoki leżące w kałuży krwi tuż obok tego kurdupla.

– Dobry wieczór, nie przeszkadzam? – zapytałem szczerząc zęby.

– Proszę... – ledwo przeszło jej przez gardło. Potem na powrót oniemiała.

Upewniłem się, że trzymam nóż w ręce. Musiałem na niego spojrzeć, przyjrzeć się błyszczącemu czerwonemu ostrzu i śliskiej od potu rękojeści. Nie czułem, że trzymam go w ręce, zupełnie jakby należała do kogoś zupełnie innego.

– Proszę, nie... – Zachłysnęła się własnymi łzami.

Szybkim rzutem oka spojrzała na telefon stojący na tej samej komodzie, w której znajdował się pistolet. Uśmiechnąłem się drwiąco. Kurdupel wołał sięgnąć po broń, wybrał praktyczniejsze rozwiązanie. Nancy natomiast od razu szukała pomocy. Typowa bezbronna kobieta, która bryluje tylko i wyłącznie wtedy, gdy może kimś manipulować.

Nie tym razem złotko, pomyślałem. Tym razem to ja sprowadzam nieszczęście.

Zachwyła mnie jej naiwność. Myślała, że zdąży dobiec do słuchawki i wezwać pomoc. Myślała, że jeden telefon wszystko załatwi. Była równie łatwowierna co ja na ołtarzu, gdy przysięgaliśmy sobie miłość i wierność. Podeszedłem do telefonu, a ona pisnęła ze strachu. Jej nogi ugięły się w kolanach, a dłonie drżały jak ogon grzechotnika. Podniosłem słuchawkę i sprawdziłem czy jest sygnał. Wszystko działało. Rzuciłem nią wprost w jej twarz. Nie zdążyła się zasłonić i telefon z głuchym stuknięciem uderzył ją w łuk brwiowy. Biała słuchawka upadła na podłogę, rozpadając się na dwie części i wyrzucając baterię.

– Masz, dzwoń. – Wskazałem jej na telefon.

Brak reakcji.

– Powiedziałem, dzwoń! – wrzasnąłem.

Z jej łuku brwiowego pociekła krew, zalewając lewe oko. Nie zareagowała w żaden sposób, była zbyt przerażona, by cokolwiek czuć. Widok krwi mnie rozjuszył. Rzuciłem się na nią jak byk na czerwoną płachtę. Niewiele myśląc i niewiele dostrzegając złapałem ją za ramię i cisnąłem w stronę kuchni. Przeleciała kilka metrów i upadła na środku salonu. Leżała bez ruchu, jedynie łkając i drżąc, i osłaniała się rękoma przed kolejnym atakiem. Chwyciłem ją ponownie i uniosłem jak worek śmieci. Odchyliłem jej włosy, by spojrzeć na ociekającą krwią twarz. Nie śmiała odwzajemnić mi spojrzenia. Pomimo niebieskich tęczęwek, jej oczy były czarne od wielkich przerażonych źrenic.

Dźgnąłem ją nożem na oślep. Trafiłem gdzieś w okolice nerek. Zawyla z bólu i zauważyłem jak jej zęby i usta zachodzą krwią płynącą z gardła. Przekręciłem nóż niczym klucz w zamku. Wykonałem dwa obroty z niesamowitą łatwością, zupełnie jakbym patroszył dynię na Halloween. Ta dynia jednak z każdym ruchem wrzeszczała i płakała.

Rzuciłem nią znów i tym razem doleciała do kuchni. Próbowała utrzymać równowagę, ale poślizgnęła się na krwi swojego kurdupla. Wpadła na blat, gdzie znajdował się stojak z kubkami. Próbowała się go chwycić, ale tylko strąciła wszystko na podłogę.

Jej ciało miotano się na podłodze, jak zdychająca mucha. Włosy miała pozlepiane krwią. Jasny brąz kosmyków wraz z mieniącą się czerwienią wyglądał nierealnie, przywodząc na myśl kiepskiej jakości film. Przypomniałem sobie, jak dawno miałem okazję po raz ostatni dotykać jej włosów. W tej chwili mogłem jedynie za nie chwycić i rzucić resztą mięsa o ścianę. Ryknęła z przerażeniem. Moja pobudzona siła z łatwością zrobiła szkarłatną plamę od krwi z nosa na srebrnej lodówce.

Ogarniało mnie wrażenie tymczasowości wszystkiego dookoła. Ale przecież to wszystko było trwałe. Na stałe i na zawsze. Nie dało się zarówno ożywić moich ofiar, jak i wycofać kilka lat w przeszłość.

Zbyt szybko rozpoczął się ten nowy rozdział mojego życia. Sprawiał wrażenie chorego koszmaru, z którego w każdej chwili mogę się przebudzić. Mógłbym równie dobrze ocknąć we własnym łóżku i podziękować, że nic takiego się nie zdarzyło. Potem cmoknąć wargami z niedowierzania, wsunąć poranne papcie i przygotować się do nowego dnia. Zajrzeć do pokoju Alice, by sprawdzić czy jeszcze śpi, i na palcach przejść do kuchni uszykować dziewczynom śniadanie. Chciałbym wrócić do rzeczywistości i uciec z tego ponurego snu.

A ona ciągle wrzeszczała.

Pamiętam naszą pierwszą noc. Spała obok mnie z włosami rozsypanymi na twarzy, które za dnia tak pieczołowicie układała. Były lekko wilgotne i posklejane od naszych wspólnych wybryków, jako że kilkanaście minut wcześniej oddawaliśmy się pierwszej przygodzie wprowadzającej nas w świat rozkoszy i uniesień. Jej nozdrza delikatnie pulsowały, łapiąc dawkę odpoczynku, którą oferował długi i głęboki sen.

Przez kilkanaście minut gładziłem ją po policzku, odsuwałem poszczególne kosmyki włosów i odkrywałem detale jej twarzy, przyglądając się każdej zmarszczce i zagłębieniu, które składały się na indywidualne piękno, niespotykane nigdzie indziej na świecie.

Jeden z moich dotyków załaskotał ją w nos i w sennym amoku potarła go wierzchem dłoni, a następnie przewróciła się z boku na plecy, odkrywając zmierzwiony koc niedbale narzucony na jej ciało.

Wtedy jedyny raz miałem pewność, że kogoś mam i do kogoś należę. Te chwile i uczucia im towarzyszące, raz utracone, pozostawiają pustkę w duszy, jakby ktoś wyszarpał jej fragment, pozostawiając tęskniącą otchłań. Wtedy wołałem o tym nie myśleć, nieszczęśliwe historie miłosne pozostawiając innym. Bo sam miałem pewność, że taka piękna i czysta więź nie może zostać zniszczona przez żadną siłę występującą w przyrodzie.

A tą siłą okazał się czas.

Wraz z nim nieubłaganie wygasał płomień miłości, udowadniając, że piękne chwile są krótkim i nienaturalnym porządkiem rzeczy.

Pół roku później miała miejsce nasza pierwsza poważna kłótnia, która trwała tak naprawdę aż do ślubu. Po ślubie rozpoczęła się kolejna i trwała aż do rozwodu.

Próbowała wstać. Chwiejąc się na szeroko rozstawionych nogach, chwyciła się dzbanka od ekspresu do kawy. Złapałem ją za nadgarstek i wykręciłem jej rękę w tył. Dzbanek rozbił się z trzaskiem koło martwego kurdupla. Jej ciało zgięło się w pół, a włosy machnęły z krzykiem. Za włosami znajdowała się poraniona twarz z zakrwawionym nosem. Jej oczy łapczywie zbierały ostatnie chwile życia i pragnęły niczego innego, jak obudzenia się z tego samego koszmaru, w którym ja się znajdowałem.

Obróciliśmy się razem, jakby w chorym tańcu. Po raz kolejny próbowała złapać równowagę, ale wraz z wykręceniem ręki uderzyła czołem o krawędź piekarnika. To była jedna z tych kuchni, w których sprzęt kuchenny zajmował wydzielony fragment na środku pomieszczenia. Kłapa piekarnika otworzyła się z hukiem, a ja przerzuciłem jej ciało na szuflady ze sztućcami. Uderzenie było tak mocne, że najwyższa z nich wysunęła się i wypadła z szyny, wysypując dookoła solidne srebrne sztućce. Część z nich spadła wprost na

nią, raniąc jej ciało od uderzenia trzonkiem lub nakłuwając drugą stroną. Solidna dębowa szuflada spadła jej wprost na potylicę.

Całą jej twarz skryły włosy, ale wiedziałem że mocno krwawi. Na jej szyi robiły się zacieki od strumyków czerwonej cieczy. Wraz z tą cieczą powoli wypływało z niej wszystko, co stanowiło jej beznadziejną osobę. W każdej kropli zaszywała się informacja, która miała nigdy nie powrócić. Fragmenty ostatniego tchnienia.

Chwyciłem ją za nogę i pociągnąłem. Jej bezwładna głowa trzasnęła głucho o błyszczące płytki. Odgłos był taki, jakby mocno klasnąć dłońmi. W momencie uderzenia jej twarz przeszył grymas świdrującego bólu. Uniosła ręce, by się czegoś przytrzymać, ale sekundę później przywaliła łokciem o skraj otwartych drzwi piekarnika. Drugą ręką przypadkowo szturchnęła leżące tam ciało.

Nie miała już siły krzyczeć, tylko dyszała i parchała. Jej krtań wydawała dźwięki przypominające spluwanie. W rzeczywistości był to charkot i ostatnie próby łapania powietrza, gdy krew z nosa zalewa przełyk.

Uderzyłem ją jeszcze raz nieruchomą i krwawiącą, a potem wbiłem jej nóż w plecy. Ponad krzykiem usłyszałem lekki zgrzyt chrząstek. Przesunąłem jej ciało po podłodze, trzymając za wbity nóż, a zadana rana powoli zaczęła się rozcinać. To tak, jakbym nabił tę muchę na wykałaczkę i szurał nią po śliskiej powierzchni.

Ta jednak krwawiła i krzyczała, krwawiąc jeszcze mocniej. Na wypucowanych kuchennych kafelkach, wytartych z wszelkich drobin kurzu, malowały się mozaiczne plamy czerwieni, powoli ściekające w zagłębienia i rozmazywane od miotania się ciała.

Potem zaczęły się drgawki. Trwały kilka sekund i ustały.

By wyciągnąć nóż musiałem użyć obu dłoni. Wyszedł wraz z cichym skrzypnięciem, unosząc lekko bezwładne ciało, które zaraz z powrotem opadło. Dopiero teraz zauważyłem, że wbiłem go prosto w kręgosłup. Na mojej koszuli pojawiło się kilka nowych plam.

Chciałem tylko, by ten krzyk w głowie ustał.

Po paru minutach, gdy adrenalina i podniecenie opadło, zacząłem zdawać sobie coraz większą sprawę z tego, co zrobiłem. Krzyki za mną nie ustawały, a mnie zaczęło ogarniać przerażenie.

Odwróciłem się, już wiedząc co mnie za chwilę czeka, i spojrzałem wprost w czerwone od płaczu oczy, wpatrzone we mnie, jak w jakąś straszną bestię. Stała w

jednocześnie w lewej ręce trzymała mały kocyk. To był jej ulubiony kocyk. Ten sam, który od małego zastępował jej pluszaki. Spała na nim, siedziała na nim. Zapewniał jej bezpieczeństwo. Był niebieski z białymi i żółtymi wzorami, które powinny przypominać gwiazdy i księżycy. Nieco sprany i postrzępiony, jednak cały czas towarzyszący Alice. Jej druga pięść była zaciśnięta, napinająca wszystkie mięśnie zamrożone ze strachu. Jej drobna buzia przybrała chory, purpurowy odcień od wysiłku, jaki wkładała w krzyczenie. Jak długo tak stała? Nie wiedziałem. Mogła tam być od samego początku, jak i mogła dopiero co przyjść. Dookoła mojej córki leżały przedmioty z przewróconego wcześniej szklanego stolika. To w niego trafiła kula z pistoletu kurdupla. Na podłodze leżał telefon komórkowy, kilka papierów i rozbity wazon z kwiatami. Bose stopy Alice muskały rozlaną wodę.

Za mną co najmniej dwa litry rozmazanej krwi i ciało jej matki leżące płasko na podłodze, twarzą do płytek. A kawałek dalej, koło otwartego piekarnika, jej przybrany ojciec.

Nie mogłem tego powstrzymać.

Nie takiego miała mnie zapamiętać.

To wszystko nie tak miało być. Wszystko poszło zupełnie źle.

Musiałem to zrobić.

Przepraszam.

ROZDZIAŁ 25

– Przepraszam – powiedział.

Przez przypadek przywołał niechciane wspomnienia. Odgrzebał coś, co powinno pozostać na zawsze zakopane w odległym zakamarku pamięci.

Twarz Roberta Harysa wykrzywił grymas bólu.

– Dobrze się czujesz, Robercie? – zapytała Anna z kroplą troski w swoich szmaragdowych oczach.

– Przestań, na chwilę.

Głos Roberta docierał jedynie do ludzi stojących najbliżej. Cała reszta starająca się wychylać ponad głowami innych musiała zadowolić się plotkami i relacjami z drugiej lub trzeciej ręki.

– O co chodzi?

– Już nic. – Wzruszenie spłynęło po jego krtani.

– Może nie kontynuuj.

– Jeśli nie chcesz, to nie będę.

– Jeżeli poczujesz się z tym lepiej, to mów.

– Nie poczyj! Chcę tylko opowiedzieć swoją historię! – krzyknął. – Mogę mówić dalej? – Spojrzał na kamerzystę, jak na osobę, która ma potwierdzić jego pytanie. Ten przytaknął, jakby to od niego zależało. Nie chciał wzbudzać dodatkowych myśli, jeśli by pozostał bez reakcji.

Robert nawet nie pamiętał, kiedy ten pojawił się tak blisko. Co to za stacja? Zmrużył oczy, by wyłapać logo przyklejone z boku kamery. Zdał sobie sprawę, że za każdym spojrzeniem w obiektyw, patrzy w oczy tysiącom lub nawet milionom ludzi z całego świata. Nagi, pusty i znienawidzony.

Spojrzał w niebo i wciągnął głęboko powietrze. Miał wrażenie, że wszystko dookoła niego zaczyna blaknąć.

– Na mnie już pora – odparł ze spokojem.

– Proszę. Znajdziemy rozwiązanie – błagała Anna.

– Zrobiłem wiele złych rzeczy i zasługuję na śmierć. – Po jego bladym policzku spłynęła błyszcząca łza. – Ja chcę już tylko odpocząć. Po prostu odpocząć.

Kocham cię Alice, pomyślał.

Przetarł spoconą dłońią swoją czuprynę, na której jaśniało nieco więcej siwych włosów, niż dwa dni temu. Nogi mu lekko dygotały i czuł, że nie może nimi ruszyć, za to jego dłonie mocno zaciskały się na rdzawej stali.

Drzewa przy korycie rzeki zaszumiały. Zdawały się machać gałęziami i nawoływać do skoku. A gdy Robert spojrział w inną stronę, natychmiast zastygły, odsyłając podmuch wiatru gdzieś indziej.

Iskra szaleństwa drgnęła znów w jego oku, gdy zdał sobie sprawę, że odejdzie jako ten „zły”, a nie jako ten „dobry”. Nikt nie spojrzy wyrozumiale na jego los, a jego nazwisko zostanie na pokolenia naznaczone przez telewizyjne wiadomości całego świata.

Helikopter jednej z bogatszych stacji Ruperta Murdocha gonił się z helikopterem policyjnym. Z pewnością nagrywany materiał jest znacznie więcej wart, niż kara jaką zapłacą.

Przeszłość jest przezroczysta, ale wszyscy za czymś tęsknimy. Często, dopiero patrząc na stare zdjęcia lub wracając myślami do minionych dni, zdajemy sobie sprawę, że był to jednorazowy wyczyn. Ale jak to? To ja już nigdy nie będę młody? To już nigdy nie przeżyję swojej pierwszej gry w piłkę, swojego pierwszego dnia szkoły, swojej pierwszej miłości? I pozostają jedynie fotografie oraz wspomnienia, które mają nadzieję, że jeszcze kiedyś wszystko może powrócić. A potem trafia przygnębienie, porażające i oczywiste.

To Alice już nigdy nie będzie moją małą dziewczynką?

A gdyby tak... nie, nic się nie da. Muszą wystarczyć wspomnienia – marna namiastka autentycznych przeżyć, która powstrzymuje nas od samobójstwa lub w nie wpędza, gdy bezpowrotność wydarzeń okaże się zbyt przygniatająca.

Tak, Alice nigdy nie będzie już moją małą dziewczynką. Nigdy nie zobaczę jej pierwszych kroków, nigdy nie usłyszę od niej „tato”.

Nie mam nawet kogo o to prosić, ale gdybym mógł cofnąć się do niej na jeden dzień, błagałbym o to przez resztę swojego życia. Każdy za czymś tęskni. Najpierw dzień za dniem, potem miesiąc za miesiącem, a ostatecznie rok za rokiem. Myślę, że wiele osób pod koniec swojego życia umiera ze zwyczajnej tęsknoty.

Czy zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem? Myślę, że tak. Wiem, że jestem mordercą i wiem, że dziesiątki takich jak ja zginęło na krześle elektrycznym lub otrzymało śmiertelny zastrzyk. Tu jest Ameryka, tu się zabija. I nie ma sensu marnować pieniędzy podatników, męczyć się ze zbieraniem śladów oraz tracić czas na proces sądowy. Winny jest tu, przed tobą i przed wami – to jestem ja. Robert Harys, który wszystko opowiedział i przyznaje się do poczytalności i odpowiedzialności za swoje czyny. Sam wyznaczyłem sobie sprawiedliwość i sam zrobię to, co zrobiłby każdy sąd w tym pieprzonym stanie – skazuję się na śmierć.

Ale oczywiście was to nie satysfakcjonuje. Wy zabieracie nawet sznurówki więźniom, którzy oczekują w celi śmierci na złoty strzał z chlorku potasu. Bo przecież wieszając przed oficjalną egzekucją, ucieka się tym samym od sprawiedliwości. I gdzie tu jest sens? Tak bardzo wszyscy teraz pragniecie bym się oddał w ręce policji, która zapakuje mnie do radiowozu i przydzieli adwokata z urzędu. A za kilka miesięcy usłyszycie w telewizji o tej samej karze, którą ja sobie wyznaczyłem. Tyle, że będzie ona prawomocna. Wyznaczona przez jakąś siwą głowę, która patrząc na mnie znad okularów uzna, że jestem zwyrodnialcem i nie ma dla takich miejsca na tym świecie.

Jesteście tym samym społeczeństwem, które mnie pochłonęło, przeżuło i wypluło, by następnie mnie oceniać i stawiać wyroki. Większość z was jest bardziej zepsuta i wypaczona ode mnie, z tym że ja miałem czelność chwycić za nóż. Zrobiłem coś, o czym większość z was fantazjuje codziennie. Zrobiłem to!

Odkąd pamiętam kotłowały się we mnie myśli. Nie da się tego uniknąć, gdy chce się przeanalizować własne czyny i zachowania oraz porównać je z innymi. Tej nocy jednak nie miałem żadnych zbędnych mętlików w głowie. Czy to dlatego, że pogodziłem się z tym co ma nadejść?

Nikt nigdy mi nie pokazał co jest dobre, a co złe. Wszystko musiałem oceniać sam, starając się wywnioskować czego świat ode mnie oczekuje oraz czego ja oczekuje od świata. Być może dlatego, że brak mi było autorytetu, oba te założenia nie zostały spełnione. Ani świat nie spełnił moich oczekiwań, ani ja jego. Tego, że jedno się wiąże z drugim też mi nikt nie powiedział. Mój ojciec wolał rozwiązania siłowe, a matka wierzyła, że wychowam się jakoś sam. Rodzeństwo natomiast było zbyt zajęte sobą, by cokolwiek mi wytłumaczyć lub przedstawić. I do nikogo nie mam pretensji, ani nikomu się nie dziwię. Wiem, że większość postąpiłaby tak samo, zachowując się ludzko, czyli kierując się własnym ego.

Czego wam nie powiedziałem? Wiecie o mnie już chyba wszystko. Kiedyś skrywałem większość faktów swego życia. Teraz jest mi wszystko jedno. W moim ostatnim dniu po raz pierwszy skierowałem się własnymi zachciankami. Zdaje sobie sprawę, że zrobiłem to dość drastycznie, nie dawkując pychy i dochodząc do swojego niesłusznego zdania aż nadto.

Śmierć jest dziwnym zjawiskiem. Traktujemy ją jako niecodziennność, mimo że jest normalną kolejną rzeczą. W mgnieniu jednej chwili zanika ludzka świadomość, która przeczesywała rzeczywistość przez dziesiątki lat. Nie odchodzi gdzieś indziej, ani nie budzi się w kimś nowym – po prostu gaśnie jak wypalona świeca.

Wydawać by się przez to mogło, że całe życie staje się przez śmierć całkowicie marne. Nie można świadomości i ego przenieść czy transportować w miejsce, gdzie mogłaby kontynuować swój byt. Żadne religijne przesłanki nie dają rozsądnych dowodów, by uparcie wierzyć w ciągłość istnienia. Wraz z ostatnim wdechem, bo człowiek najczęściej odchodzi podczas nabierania powietrza, zanika niezbadany jeszcze fragment człowieka, pozostawiając jedynie bezwartościowe ciało. Wszelkie troski, przyjemności i błahostki stają się jedynie zapisem w pamięci innych, którzy wciąż czekają na swój ostatni wdech.

Godzenie się ze śmiercią jest najtrudniejszym etapem w życiu każdego człowieka. Uzmysłowanie sobie, że już wkrótce wszystko stanie się bezkresną czarną pustką, pozbawioną impulsów wiecznością, wprowadza w ulatującego ducha stan przerażającego spokoju. Spokoju, który w żywotniejszych okolicznościach uznany powinien zostać za objaw szaleństwa, ponieważ każda istota pragnie istnieć.

Tymczasem jednak, spokój ten pozbawia emocji, wypiera z uczuć oraz daje chłodne poczucie dystansu do wszystkiego, co otacza ciało. Większość ludzi traktuje to jak przegraną, dla mnie jednakże jest to zwycięstwo. Zwycięstwem jest poddanie się normalnej kolei rzeczy, w przeciwieństwie do syzyfowej i nienaturalnej walki, która i tak ostatecznie prowadzi prędzej czy później do tej samej mety. Lepiej umierać ze spokojem w sercu, aniżeli w strachu i łapczywym łapaniem każdej sekundy.

Ten spokój oznacza dla mnie, że umarłem już dawno. Jak człowiek raz umiera, to nie da się go potem wskrzesić – ani psychicznie, ani fizycznie. Z ciepłego robi się zimny, nigdy odwrotnie.

Możecie mnie traktować jako zwyrodnialca i psychopatę. Nie godzi mnie to wcale, jako że jestem już zimny w środku, pogodzony z tym, co ma nadejść. Byłem pogodzony tak samo tydzień temu, jak i teraz, jak i w nocy pozbawiając życia tych wszystkich osób. Uznałem to za słuszne, wyznaczyłem sprawiedliwość po swojemu – nie musicie się z tym zgadzać. Nie szukałem w tak skrajnych czynach cząstek emocji, które już dawno ze mnie uleciały. Być może było to błaganie o pobudzenie wypalonych uczuć. Jeżeli choć odrobinę się przyczyniłem do poprawy czyjegokolwiek istnienia, to czuję się spełniony.

A nie ma nic piękniejszego niż umrzeć w poczuciu spełnienia.

Gdy było już po wszystkim, wybiegłem z apartamentowca. Nie pamiętam jak, nie pamiętam którędy. Wszystko było dla mnie zlepkiem migawek obcego człowieka. Pierwsze, co dokładnie pamiętam, to ławka w parku. Ją zanotowałem bardzo dokładnie. Świeżo malowana na brązowo, z sękatego drewna odrapanego scyzorykami przez tutejszych dzieciaków. Obok stał mały śmietniczek, lekko przechylony w przód, jakby zastygły w pozycji po kopnięciu. Na jego zielonej blasze była narysowana sprayem biała uśmiechnięta buzia, bez nosa i włosów. I ja, otoczony poranną rosą i kawałkiem popękanego od korzeni drzew chodnika. Płaczący, z twarzą zakrytą dłońmi. Na niebie rysowały się pierwsze odcienie błękitu, który zastępował czerń nocy niczym wiadro z farbą wylane nieostrożnym ruchem. Jeszcze kilkadziesiąt minut i pojawi się przeraźliwa tarcza słońca, która rozdmucha wszystko i udowodni, że noc wcale nie była snem.

Spojrzałem na wnętrze swoich dłoni. Były pokryte zaschniętymi cętkami krwi, powoli rozmazującymi się od łez, potu i brudu.

Chciałem uciec. Chciałem biec przed siebie i nie oglądać się do tyłu, pruć tam gdzie mnie nogi poniosą. Gdziekolwiek bym nie był, chciałbym stamtąd uciec. Ale byłem zbyt zmęczony.

Gdzieś daleko wyły syreny policyjne, a nieopodal, w zasięgu wzroku, starszy mężczyzna w płaszczu wyprowadzał psa na spacer. Za pagórkiem powinna być fontanna. Wstałem z jęknięciem i poczułem, że każdy mięsień mojego ciała delikatnie pulsuje, jakby rażony co chwilę prądem. Wszystko było migawką. Pokazem slajdów, rozdzielającym poszczególne ujęcia mrugnięciami.

Fontanna. Mężczyzna wyprowadzający psa na spacer. Zgasły latarnie, oznajmiając rozpoczęcie dnia.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, podnosząc z trawy mokry od rosy patyk. Koło niego warował golden retriever, czekając na rzut.

Spojrzałem na niego, a on opuścił wzrok.

Fontanna.

Umyłem ręce, opłukałem twarz.

Chciałem tylko zajrzeć do pokoju Alice. Chciałem popatrzeć jak cudownie spała. Chciałem spojrzeć na nią po raz ostatni.

Ruszyłem, powłóczę nogami. Na most.

Szum wody mnie uspokajał.

ROZDZIAŁ 27

Ponad tłumem, wrzawą i chaosem, który służby porządkowe starały się okiełznać, Robert dostrzegł pędzący samochód. Granatowa Toyota zatrzymała się przed policjantem blokującym przejazd, prawie wjeżdżając mu w kolana. Zza otwartej szyby wychyliła się głowa Lisy i wypowiedziała jakieś magiczne zaklęcie, które sprawiło, że policjant otworzył jej grzecznie drzwi od samochodu i wskazał na Roberta palcem. Zaklęcie zapewne brzmiało: „Jestem jego narzeczoną”. Nie mogła użyć słowa „byłam”, jako że Lisa uwielbiała dramatyzm i Robert dobrze o tym wiedział. Wiedział również, że gdyby nie policjant, zapewne wjechałaby w tłum i zatrzymała się tuż przy barierce. Teraz jednak musiała podążyć

za palcem skierowanym na dwie małe postacie siedzące na stalowej konstrukcji mostu. Kobieta siedziała okrakiem, mężczyzna był natomiast skierowany nogami w stronę rzeki. Rozglądał się nerwowo za siebie. Lisa zaczęła biec. Coś krzyknęła.

Nareszcie, pomyślał Robert. Ciekawe skąd ma ten samochód? Pewnie kochanka, o którym nie miałem pojęcia. Przecież gdzieś musiała pójść po ostatnim trzaśnięciu drzwiami. Teść jeździł nowiutkim Fordem F-150.

Westchnął, zawiedziony słuszością własnych przewidywań.

Lisa przepchnęła się przez tłum i zgrabnie przeskoczyła policyjną barierkę.

– Robert! – krzyknęła i wszyscy nagle zamilkli. Na przedstawienie wkroczyła nowa postać. – Robert, zjeżdż, nie wygłupiaj się – dyszała.

– Podejdz bliżej, musimy porozmawiać – odpowiedział jej sucho.

Zbliżyła się o kilka kroków, jednakże nadal była poza jego zasięgiem.

– Daj spokój, to nie w twoim stylu. – Wyciągnęła do niego rękę, jak matka zabierająca dziecko z huśtawki. – No chodź, nie rób wstydu.

– Fajny samochód – powiedział, patrząc gdzieś w przestrzeń.

– To Ricka, przyjaciela z pracy. Musiałam się tu dostać jak najszybciej.

– I pewnie też u niego się zatrzymałaś.

– No tak, musiałam się gdzieś podziać po naszym rozsta... – urwała. – Po naszej kłótni. Przecież nie wrócę do matki, do Berkley.

Robert uśmiechnął się ironicznie. Spojrzał na Dwayne'a, który zakradał się powoli do Lisy, by ją ostrzec.

– Odsuń się, bo skoczę – zadyrygował nim.

Dwayne cofnął się o krok, zmieszany. Rozejrzał się po twarzach innych policjantów szukając potwierdzenia, że Lisa nie powinna się zbliżać. Wszyscy jednak mieli ten sam niepewny wzrok.

– Proszę pani, proszę się nie zbliżać – odezwała się Laura. – Ten człowiek jest niebezpieczny—

– Zamknij się. Chcę z nią porozmawiać – przerwał jej Robert.

Jeden z policjantów wyciągnął broń i wycelował w Roberta. Dołączył tym samym do tego w okularach przeciwsłonecznych, który stał cały czas w bezruchu, trzymając odbezpieczony pistolet. Tak na wszelki wypadek.

Anna wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

– Wiesz co się stało w nocy? – zapytał, spoglądając po raz pierwszy na Lisę.

– Dlaczego niebezpieczny? – puściła pytanie w eter i spojrzała ze strachem na dwie uniesione bronie gotowe do wystrzału. – Co się stało w nocy?

– Szukałem cię wczoraj, wiesz?

– Jak wyszłam? Pobiegłeś za mną? – zapytała, uśmiechając się lekko, ale w jej oczach cały czas gościł strach.

– Nie. W nocy cię szukałem – powiedział szeptem, by nikt poza nimi tego nie usłyszał. – Chciałem cię znaleźć, ale nie wiedziałem gdzie pojechałaś.

– Chciałeś mi powiedzieć, że chcesz skoczyć? – również zniżyła głos.

Westchnęła.

– Chciałem się pożegnać.

– Rozumiem. Niepotrzebnie zakończyłam to tak gwałtownie i szybko. Ale to musiało nadejść, zbierało się od bardzo długiego czasu. Czekają tylko na odpowiednią chwilę. Ale mogliśmy to przedyskutować na spokojnie. Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Ale masz rację z tym szybkim i gwałtownym zakończeniem. I z tym, że musiało nadejść i się uzbierało. A ta chwila jest na to odpowiednia. Chciałem się pożegnać wczoraj, ale pożegnaj się tutaj.

Przyciągnął ją delikatnie do siebie, jak w intymnym tańcu. Mimo że odgradzała ich barierka mostu, czuł jej zapach i ciepło. Starał się spojrzeć Lisie w oczy, ale przy pierwszym kontakcie od razu odwróciła wzrok, jakby ich nic nigdy nie łączyło.

– Cześć – wyszeptał, a jego oddech poruszył kilka jej włosów.

Robert spojrzał prosto w lufę wycelowanej w niego broni policjanta.

– Nie—

Nie dokończyła. Szept przemienił się w charkot, gdy nóż utkwiał tuż nad miednicą. Lisa spojrzała na Roberta z przerażeniem. Ich wzrok spotkał się dopiero teraz. Po chwili opuściła głowę i dotknęła dłoni, która trzymała nóż, jakby chcąc się upewnić, że to Robert zadał cios. Spojrzała na niego ponownie, ale tym razem jej źrenice przybrały mętny i zaspany ton. Dało się jednak z nich wyczytać, że już wszystko zrozumiała. Zrozumiała dlaczego policjanci mierzą do niego z broni i co się stało minionej nocy. Zrozumiała też, że gdyby obierała telefony od swojej koleżanki ze studiów, która obecnie kręciła bezcenny materiał, najprawdopodobniej wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Gdy przeczytała wiadomość SMS o treści: „Natychmiast przyjedź na most Roosevelta. Chodzi o Roberta”, jej myśli same poskładały własny scenariusz.

Na siedzeniu pasażera granatowej Toyoty migała dioda telefonu od nieodebranych połączeń.

To zadziwiające jak małe decyzje, które podejmujemy w przyływie chwili, są w stanie zmienić nasze życie, pomyślał Robert. A moje życie było po prostu ciągłym cichym zwątpieniem.

Chciał jej to powiedzieć, ale rozumiał, że wyczytała to z jego oczu.

Zaczęła sapać, a jej usta wykrzywiły się w grymasie krzyku, jednakże z jej strun głosowych nie uleciał żaden dźwięk. Gdy pierwsze kilka kropel krwi upadło na beton, jakaś kobieta z tłumu zaczęła wrzeszczeć. Po chwili przyłączyło się do niej kilka innych. Robert wyjął nóż z i wbił go ponownie w to samo miejsce. Wykonał ruch ręki, jakby podnosił ciężką torbę. Rozciął ciało Lisy w górę, aż poczuł delikatne stuknięcie o kość, gdy dotarł do żeber.

Urwała w połowie swoje ostatnie sapanie, a jej głowa opadła lekko w przód. W kolejnej sekundzie rozluźniły się wszystkie jej mięśnie. Robert wyjął nóż z nieprzyjemnym mlaśnięciem. Ciało Lisy upadło na beton niczym worek ziemniaków.

Dookoła panował zgiełk. Krzyki, wrzaski, słowa i wszystkie inne odgłosy zlewały się w jedną kakofonię. Robert nawet nie usłyszał wystrzału pistoletu. Poczuł tylko palący ból w okolicy wątroby, jakby ktoś przytknął do jego ciała rozżarzony do czerwoności pręt. Zaszumiało mu w uszach, a przed oczami pojawiła się mgła zalewająca wszystko od zewnętrznej strony pola widzenia po sam środek.

Spojrzał na Annę, która jako jedyna przerażonymi oczami pełnymi współczucia przeglądała jego przypadek. Ze smutkiem pomyślał, że tak naprawdę żadnej Anny nigdy nie było. Tak jak nie było mostu, ludzi i całego świata. Nie było i nie będzie, albowiem za sprawą mocnego uderzenia o taflę, jego pamięć zostanie wymazana wraz ze świadomością. Nigdy nic nie było.

Nie jest.

I nie będzie.

Upuścił więc tę iluzję, jak i most. Ludzie, wraz z całym światem, zaczęli się od niego oddalać. Wszystko stawało się coraz mniejsze i rozmazywało od prędkości.

Leciał. Silny wiatr we włosach dawał poczucie wolności, takie samo jak przed laty, gdy wystawiał głowę za okno samochodu. Cały świat nikł i rozpadał się na części pierwsze, na okruchy, z których zbudowana jest rzeczywistość. Otoczenie traciło ostrość, jednakże, wydawałoby się, nie ze względu na pogarszanie wzroku, a raczej na stopniową degradację świata w rozmazaną plamę. Wszystkie płyty farby na moście oderwały się i poszybowały w

nicość, cząstki Anny rozpiechły się niczym garść piasku rzucona pod wiatr. Pozostali ludzie zniknęli, idąc w jej ślady, dematerializując się, wracając do popiołów, z których powstał. Tak nagle, jak za pstryknięcie palców, most uniósł się wszystkimi cząstkami i uleciał, zostawiając smugę cienia, obejmującego coraz większą część rzeczywistości. Cienia rozrastającego się jak rozlana czarna farba na martwym obrazie. Martwym i pozbawionym wszelkich oznak jakiegokolwiek bytu, wydającego się być tworem cudzej wyobraźni. Tak obcej i niezwyklej, że sam fakt zaistnienia sprawia wrażenie fantasmagorycznej.

Woda była gorzka, a jej zimno szczypało w gardło. Ale ten smak trwał tylko jedną tysięczną sekundy. Ledwo impuls dogonił do mózgu, gdy ten pod wpływem wstrząsu wystrzelił strumieniem fal, które przepaliły wszystkie neurony.

Wszystko zawiroowało i zniknęło w tej samej otchłani, w której on właśnie się zanurzył.

Ciało wypłynęło na powierzchnię i zawiroowało na tafli wody. Jak zdechła mucha wrzucona do toalety. Prosto z paczki po cukierkach.